Po co komu studia? • Krastew: Polska jest najciekawsza • Dziki w mieście
Polska i Ukraina: rachunek krzywd • Klub przyjaciół Borewicza • Odyseja Nolana

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 28 (3572), 8.07–14.07.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Szpital zły

Jak afera medyczna zamieniła się w polityczną

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 28
Wydanie w sprzedaży do 14.07.2026

© MACIEK JAŹWIECKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, AI/AMAR

eprasa.pl 0ca0981d75

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®

www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 0ca0981d75

© SHUTTERSTOCK

26
Polsko-ukraińskie rachunki krzywd

Tematy tygodnia

10 Michał Danielewski **Wakacje z aferami**
14 Ewa Wilk **Czy warto dziś studiować**

Polityka

20 **Iwan Krastew** o populistach, marszu skrajnej prawicy przez świat i węgierskiej lekcji dla Polski
23 Ewa Siedlecka **Jak zostać rzecznikiem praw obywatelskich**

Rozmowa POLITYKI

26 Prof. **Tomasz Stryjek** o tym, w czym Polacy i Ukraińcy się zgadzają, patrząc na swoją historię, a w czym nie mogą się porozumieć

Społeczeństwo

30 Rozmowa z prof. **Patrycją Trzeszczyńską** o pobycie w szpitalu psychiatrycznym
34 Joanna Podgórska **„07 zgłoś się": serial, który wciąż gromadzi fanów**
38 Martyna Bunda **Wyrok za dzwony**
41 Zbigniew Borek **Radni zamiejscowi**

Rynek

44 Cezary Kowanda **Jak i po co naprawiać zużyty sprzęt**
46 Joanna Solska **Konstancin: polskie Beverly Hills po nowemu**

Świat

50 Łukasz Wójcik TURCJA **Między nadziejami Zachodu a ambicjami Erdoğana**
53 Małgorzata Rejmer ALBANIA **Narkopaństwo udaje raj**
56 Andrzej Lubowski RPA **Afrykanerzy Trumpa**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Robert Jurszo **Zwierzęta w wielkim mieście: jak sobie z nimi radzić**
61 Kasper Kalinowski **AI projektuje wirusy**

Historia

64 Violetta Wiernicka **Polacy w Donbasie**
67 Jerzy Kochanowski **Jak się piło w PRL**

Kultura

74 Janusz Wróblewski **„Odyseja": kim jesteśmy, dokąd zmierzamy**
78 Piotr Sarzyński **Biennale Manifesta: sztuka bierze kościół**
81 Aneta Kyzioł **„Proud" i homofobia**
84 Marcin Piątek SPORT **Mundial długowiecznych**
86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

93–97 • **Zbieracze butelek** • **Telefon Commodore** • **Na oparach** • **Klimat i wino** • POCZTÓWKA POLITYKI: **Spokój w Omanie**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **13**, **91**, **98** Galeria POLITYKI
• **70** Afisz • **87** Orliński
• **88** Chutnik i Plebanek • **90** Sulej
• **91** Mizerski • **92** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 0ca0981d75

Operacja multikryzys

Mariusz Janicki

W kręgach rządowych coraz głośniej mówi się o „buncie prokuratorów" – ostatnio po kolejnym umorzeniu sprawy tzw. dwóch wież, w którą zamieszany miał być Jarosław Kaczyński. Akurat ten pretekst nie był najmocniejszy, bo afera z wieżami od początku wyglądała na najwyżej dwugwiazdkową, ale obserwacja o buncie wydaje się całkiem trafna. „Niezależność prokuratury polega na tym, że im nie zależy" – powiedział Bartłomiej Sienkiewicz. Niedawno minister Żurek, w kontekście niemrawych rozliczeń, przyznał, że część wymiaru sprawiedliwości jakby już czekała na zmianę władzy. Nie o samych prokuratorów czy sędziów tu chodzi, ale także o urzędników w ministerstwach, menedżerów w spółkach, ludzi w służbach, w policji oraz wielu innych instytucjach i agendach administracji rządowej.

Pisaliśmy o tym w POLITYCE już w 2024 r., niedługo po październikowym triumfie, kiedy ówczesna Trzecia Droga osłabła i – wobec przewagi sondażowej prawicy – pojawiły się pierwsze symptomy tymczasowości nowej władzy. Zjawisko „przeczekiwania Tuska" nasiliło się po zwycięstwie Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich – koniec tych rządów ma być przesądzony, a kara straszna. „Rozliczymy bandytów, rozliczymy złodziei" – zapowiedział Przemysław Czarnek w niedzielę w Kłodzku. Skoro ekipie Tuska nie udaje się rozliczyć dawnej pisowskiej władzy, to PiS przeszedł do ofensywy i zaczyna rozliczać koalicję.

Faktem jest, że Tusk nigdy nie przejął w pełni rządów. PiS pozostawił ludzi, struktury, instytucje, setki ustaw, media, i od samego początku w 2023 r. wtłaczał narrację, że premier z Platformy jest na chwilę, że to uzurpator, który samodzielnie nie wygrał wyborów, że prawowitą władzą jest PiS. I duża część aparatu państwa w tę opowieść uwierzyła. Rozumowanie jest tu proste: PiS potrafi się mścić, ma do tego zapał i wytrwałość, a Koalicja Obywatelska jest w odwecie leniwa, niekonsekwentna, a poza tym „musi się czymś odróżniać od PiS". Zatem ludzie Kaczyńskiego mogą bardziej zaszkodzić w przyszłości, niż teraz jest zdolna Koalicja, jeśli nawet dostrzeże obstrukcję, a i to nie jest pewne.

W tym sensie zrozumiałe jest obawianie się powrotu ludzi Kaczyńskiego i Ziobry, którzy mogą zniszczyć karierę, skazać na niedostatek i marginalizację. Przez osiem lat tamtej władzy publiczność widziała tę bezwzględność, a i teraz może ją obserwować, np. w przypadku czwórki sędziów Trybunału Konstytucyjnego, których prezes Święczkowski nie dopuszcza do pracy. Znowu widzą „potęgę" PiS i bezradność drugiej strony, która namówiła poważnych prawników na ryzykowną misję, a teraz nic nie może zrobić i naraża ich na prestiżowe dyskomforty.

To są sygnały, które wielu mogą skłaniać do refleksji, czy to życiowo roztropne, aby angażować się po stronie obecnej władzy, zwłaszcza że z sondaży nie wynika kontynuacja rządów koalicji 15 października. Czy warto zatem tworzyć ambitne projekty, skoro PiS wróci i wszystko zgruzuje? Czy uda się Tuskowi przełamać tę atmosferę schyłkowości, która pojawiła się po 2023 r. zaskakująco szybko, jakby to była już końcówka drugiej, a nie pierwszej kadencji? Sytuacja mimo wszystko nie jest beznadziejna, bo i PiS – poza obietnicą zemsty – nie ma za bardzo pomysłów.

Najnowsze badanie CBOS pokazuje, że Polacy są rekordowo w historii pomiarów zadowoleni ze swojej sytuacji osobistej i materialnej, a zarazem głęboko rozczarowani tym, co się dzieje w państwie i życiu publicznym. Widać zatem, że zasadnicza walka toczy się w sferze wizerunku, przekazów, zbiorowych odczuć; chodzi o zdobycie psychologicznej przewagi. KO pozostaje więc znalezienie sposobu, żeby pokazać wreszcie siłę, a przy tym uniknąć wrażenia desperacji.

Pojawia się pytanie o zawartość ostatniej fazy tej kadencji: czy to będą rządowe fajerwerki, czy zejściowe, finalne afery. PiS robi wszystko, aby przejść właśnie do etapu afer kończących KO, ukazania tej partii jako siedliska zgnilizny moralnej (Kłodzko) i korupcji (szpitale). Afera szpitalna trafiła już na samochodowe przyczepki obwożone zwłaszcza po prowincji, czyli PiS pokłada w niej wielkie nadzieje. Dekadę temu taką przyczepkową akcję zorganizowała opozycyjna wówczas Platforma po aferze z nagrodami dla rządu Beaty Szydło i sporo na tym ugrała. Teraz PiS, podobnie jak w 2014 r. przy pomocy „ośmiorniczek", chce wpędzić KO w multikryzys, w spiralę afer, gdzie jedna przechodzi płynnie w drugą (więcej o aferze s. 10).

Rzecz w tym, że nigdy nie wiadomo, która sprawa okaże się tą decydującą. Afera może trwać trzy dni, trzy tygodnie albo – biorąc pod uwagę szersze konsekwencje – i trzy lata lub jeszcze dłużej. Teraz coś, co zaczęło się jako kwestia zbyt dużych zarobków pewnego młodego lekarza, przekształciło się tym razem w ośmiorniczkę szpitalno-przestępczych powiązań z prosektorium i nowymi „łowcami skór" w tle, a przynajmniej tak chcieliby to przedstawiać ludzie od pisowskich przekazów. Tak czy inaczej pod dotychczasową nazwą Szpital Południowy raczej się nie utrzyma, bo już funkcjonuje jako „szpital zły". Tusk był wielokrotnie ostrzegany, że ochrona zdrowia to pole minowe, ale przeważała opinia, że lepiej tego nie ruszać, nie przypominać, nie dawać do resortu nikogo znanego, żeby nie przyciągał uwagi; że ludzie się przyzwyczaili do kolejek i standardowych dziesięciu godzin na SOR.

To wszystko okazało się nieprawdą, co dotarło i do premiera, który w końcu zaczął grozić konsekwencjami personalnymi i zapowiada zmiany w ochronie zdrowia, a prezydent Trzaskowski przyjął dymisje swoich zastępczyń. Pytanie, czy wystarczy tej afery, aby realne zmiany się dokonały. Ogólna zasada jest niestety taka, że kiedy sondaże zaczynają się znowu w miarę zgadzać, zapał do reform słabnie. Jednak ofensywa rządu z nowymi, systemowymi rozwiązaniami zdrowotnymi, które byłyby doprowadzone do finału, mogłaby się okazać najlepszym wyjściem z tej opresji, a może także materiałem na kampanię wyborczą, zwłaszcza jeśli uda się przypomnieć, że za obecnym systemem, który pozwala na ujawniane patologie, stoi głównie PiS.

eprasa.pl 0ca0981d75

Albatros travel

Albatros 40 lat

Słowenia

między alpejskimi szczytami a Adriatykiem

NOWOŚĆ

Wybierz się w wyjątkową podróż pełną zapierających dech w piersiach widoków i niezapomnianych wrażeń przemierzając górzyste krajobrazy Słowenii z wypadami do sąsiedniej Austrii i Włoch, a na koniec odpocznij na plaży nad Adriatykiem.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Lublany i przyjazd do Kranjskiej Gory. Ruiny zamku w Begunje, krótki spacer i kolacja powitalna. **Dz. 2** Kranjska Gora – Bled – Kranjska Gora. Zwiedzanie Bled, rejs po jeziorze i wizyta na wyspie Bled. **Dz. 3** Kranjska Gora – Bohinj – Radovljica – Kranjska Gora Jezioro Bohinj, lokalny obiad i muzeum pierników w Radovljicy. **Dz. 4** Kranjska Gora – Klagenfurt – Kranjska Gora. Wycieczka do austriackiego Klagenfurtu ze zwiedzaniem Starówki. **Dz. 5** Kranjska Gora – Lublana – Portorož. Spacer po stolicy Słowenii i przejazd na wybrzeże. **Dz. 6** Portorož – czas wolny lub wycieczka fakultatywna do jaskiń Postojna i Triestu z wizytą u lokalnego producenta żywności. **Dz. 7** Portorož – czas wolny i kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Portorož – Lublana – powrót do kraju.

8 dni
Wylot z Warszawy
23/09 2026

od **6.998,-**

Przywitaj Bali i warany z Komodo

Zwiedzanie i wypoczynek na egzotycznej wyspie Bali oraz poszukiwanie waranów w parku narodowym Komodo.

Poznaj najpiękniejsze zakątki Bali – Ubud, Munduk i Sanur – odkrywając tarasy ryżowe, wodospady, las deszczowy oraz lokalną kulturę. Program uzupełnia całodniowy rejs po Parku Narodowym Komodo z obserwacją waranów, snorkelingiem przy rafach koralowych i wypoczynkiem na rajskich plażach.

15 dni | Wylot z Warszawy 28/10 2026 | od **11.598,-**

Wielka podróż przez Chiny i Hongkong

Fantastyczna podróż szybkimi kolejami przez największe atrakcje Państwa Środka od Pekinu i Szanghaju po Hongkong i Makau.

Odkryj kontrasty Chin podczas podróży od Pekinu i Szanghaju po pola ryżowe Longji i rejs rzeką Li. Szybkie koleje, lokalne kultury, nowoczesne metropolie oraz Hongkong ukazują niezwykłe połączenie tradycji, technologii i zachwycających krajobrazów. Komfortowe hotele i pełne wyżywienie zapewniają wygodę.

15 dni | Wyloty z Warszawy 06/10 2026, 09/04, 28/05, 14/09 2027

od **15.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL25**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 0ca0981d75

Jazda i zjazd Igi

Coś niedobrego dzieje się u Igi Świątek. Tegoroczny Wimbledon, dla niej już zakończony, to był rollercoaster. Pierwsze zwycięstwo z fenomenalną deblistką Taylor Townsend musiała wyszarpać. Z kortu zeszła rozedrgana i zapłakana, i nie były to zapewne łzy szczęścia, lecz ulgi, że „wyciągnęła" to spotkanie po przegranym pierwszym secie (w tym sezonie większość trzysetówek przegrała). W kolejnej rundzie czekała Czeszka Karolína Plíšková, finalistka Wimbledonu 2021, przed laty liderka kobiecego tenisa. Dla Igi to był wzorcowy mecz, rozegrany pod jej dyktando. W trzeciej rundzie uległa już nerwowo 21-letniej Filipince Alexandrze Eali. Nie obroni tytułu, straci sporo punktów.

Można się pocieszać, że z turnieju odpadły liderka rankingu WTA Aryna Sabalenka, druga w zestawieniu Jelena Rybakina czy triumfatorka Rollanda Garrosa Mirra Andriejewa, ale kłopotów Igi to nie przysłania. Polka popełnia lawinowo niewymuszone błędy, nie pomaga jej serwis, źle dobiera uderzenia, nie czyta gry, mocuje się ze sobą. Potrafi znakomicie rozegrać set, by posypać się w drugim. Są przebłyski dawnej świetności, ale to nie wystarczy, żeby wygrywać. W tym sezonie Polka nie podniosła jeszcze pucharu. Efektów pracy z trenerem Francisco Roigiem na razie też nie widać, choć może na to za wcześnie. Co natomiast widać, to grymas u Hiszpana, który w boksie sprawiał wrażenie zniesmaczonego. Zachodnie media, doszukując się sensacji, donoszą o napięciach w sztabie Świątek i wszechmocnej „nadtrenerce" Darii Abramowicz. Sporadycznie chowana, psycholożka jest na miejscu w kluczowych momentach i z pewnością Idze nie pomaga (co najmniej wizerunkowo). Spadek w rankingu jest więcej niż pewny. Szkoda wielkiej mistrzyni, która zmaga się ze swoimi demonami, presją i hejtem.

Wimbledon nie jest dla Polaków najłaskawszy. Maja Chwalińska (doznała kontuzji przy piłce meczowej), Magda Linette i Magdalena Fręch nie przebrnęły pierwszej rundy. Kamil Majchrzak dotarł do drugiej. Najbardziej cieszył występ i postęp Huberta Hurkacza, który w 2024 r. na tych samych kortach upadł niefortunnie i długo leczył kolano. Niestety tym razem też ucierpiał i nie zdołał dograć meczu o ćwierćfinał. Z dobrych wiadomości: oddalił się od setnego miejsca w rankingu, a w te rejony już niebezpiecznie zdryfował, poza tym w dalszej części sezonu już niczego nie broni. Byle zdrowie dopisało. Oboje z Igą mogą zapewne czerpać ze swoich doświadczeń. (AŻ)

W kolejowym piekarniku

Fala rekordowych upałów z końca czerwca sparaliżowała ruch kolejowy. Nie wytrzymywała sieć trakcyjna, a gdzieniegdzie doszło do odkształcenia się szyn – ich temperatura w słońcu sięgała nawet 70 st. C. Na jakiś czas zamarł ruch towarowy, pociągi pasażerskie odwoływano, opóźnienia rosły do wielu godzin, a składy utykały w szczerym polu. Pech chciał, że zbiegło się to z pierwszym weekendem wakacji, gdy wagony były pełne. Liczba pasażerów u wszystkich przewoźników wynosiła ok. 1,5 mln. Aż o 30 proc. więcej niż trzy lata wcześniej.

Najbardziej we znaki dawały się problemy z klimatyzacją. Podróżni relacjonowali, że albo nie działa w ogóle, albo działa tylko w niektórych wagonach, a w niektórych przypadkach była rozkręcona na maksa, zamieniając przedział w lodówkę. Płynęły skargi, że prewencyjny wydatek na bilet pierwszej klasy okazał się zbędny, bo chłodzenie działało tylko w wagonach klasy drugiej, albo że podczas kupna biletu zapewniano, że pociąg będzie klimatyzowany, tymczasem podstawiano inny skład pozbawiony tego luksusu. Według informacji przekazanych przez PKP Intercity, spośród 1650 wagonów użytkowanych w ten upalny weekend 210 to stare składy bez klimatyzacji. Jak miał to ująć w przypływie szczerości kierownik jednego ze składów: w czasie wakacyjnego szczytu wyciąga się na tory wszystkie wagony, nawet z krzaków.

Odpowiedzialny za kolej wiceminister infrastruktury Piotr Malepszak oświadczył, że: „Temperatury w pociągach nawet powyżej 25 stopni stały się faktem". Najwyraźniej w ten weekend nie podróżował koleją, bo pasażerowie zalali internet dowodami, że temperatura w przedziałach przekraczała 40 stopni, nie było możliwości otwarcia okien i że zdarzały się dodatkowe, pozaupalne opóźnienia, bo do podróżnych, którzy zasłabli, trzeba było wzywać pogotowie ratunkowe. Spółka Intercity odpowiadała, publikując oświadczenia, z których wynikało, że pasażerowie sami są sobie winni – chłodzenie nie działa, bo otwierają okna (co wyłącza system), albo blokują nawiewy bagażami. Awarie wynikały też ze spadku napięcia w sieci trakcyjnej, co automatycznie uruchomiło bezpieczniki systemu chłodzenia.

Poszkodowani warunkami podróży pasażerowie mogą złożyć reklamację. Biuro prasowe PKP Intercity nie odpowiedziało na pytanie, jak wiele reklamacji wpłynęło. (MP)

© JESSE BROWN NELSON/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, ALBERT L. ORTEGA/GETTY IMAGES, MP, OLEG PALCHYK/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

Blizny wojenne

Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

Mychajło Fedorow, rocznik 1991, minister obrony Ukrainy. Wcześniej najmłodszy w historii kraju minister (Transformacja Cyfrowa). Kiedy zaczął rządy w MON, powiedział wprost: 200 tys. naszych żołnierzy zdezerterowało, 2 mln obywateli poszukujemy za uchylanie się od służby wojskowej. Trudny wątek, rzadki w mediach.

Przed wojną Siły Zbrojne Ukrainy liczyły 200 tys. zawodowych żołnierzy. Rok temu prezydent Zełenski przyznał, że w mundurze jest 900 tys. ludzi. Także przedsiębiorcy, lekarze, specjaliści IT. Ich talent widać w nowym, dronowym typie wojny. Szczególnie w ostatnich tygodniach, kiedy Ukraina wysadza w Rosji rafinerię po rafinerii.

Tradycyjna linia frontu pozostaje brutalna. Pokazał to zdobywca pierwszego Oscara dla Ukrainy, Mstyslav Chernov, w „20 dni w Mariupolu". Miałem okazję zrobić z nim wywiad w Gdańsku podczas Konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy. „Wojna zaczyna się od ciszy" – mówi Chernov. Rosjanie zaatakowali Mariupol w pierwszych godzinach wojny. Przez 20 dni Chernov z parą przyjaciół byli jedynymi reporterami w mieście odciętym od prądu, wody, ogrzewania i łączności. Lekarze operowali przy latarkach. Zabitych chowano we wspólnych mogiłach wykopanych w miejskim parku, bo do cmentarza nie dało się dotrzeć pod ostrzałem. Kiedy rosyjski nalot zniszczył szpital położniczy, Chernov sfilmował wynoszoną na noszach ciężarną Irynę Kalininę – jej syn Miron urodził się martwy, sama Iryna zmarła pół godziny później. Ten kadr obiegł świat i stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli ukraińskiej wojny.

Adrenalina w pracy reportera pozwala przetrwać najgorsze rzeczy, ale kiedy znika, ból i strach stają się nieznośne. „Jak sobie radziłeś z tymi obrazami?" – zapytałem. „Pomiń to pytanie, proszę. To nie jest moja historia" – powtarzał Chernov. „To pomnik dla tych, którzy w Mariupolu nie przeżyli". Chernov chciał, żeby film dawał nadzieję, bo Ukraińcy – mimo tragedii – nie tylko przetrwali, ale dalej skutecznie walczą.

Dobrze to widać w jego drugim filmie: „2000 metrów do Andrijiwki", nakręconym z Brygadą Szturmową pod Bachmutem. Realizm krwi, bólu, strachu, trudu okopów jest tak silny, że ciężko te obrazy oglądać. Nagrodzony Oscarem Chernov mówi, że ukraińska duma nie bierze się z propagandy: „Nawet w najtrudniejszym momencie nie jesteś tu sam. Cierpisz wtulony w grupę". A to wszystko kosztuje.

Wyniki pierwszego badania klinicznego 600 ukraińskich żołnierzy czynnej służby ze szpitali wojskowych i ośrodków rehabilitacji są jednoznaczne: PTSD ma 46 proc. z nich; jedna trzecia dodatkowo cierpi na ciężką depresję (Acta Psychiatrica Scandinavica, 2026 r.). Norweski instytut PRIO liczy, że po wojnie reintegracji będzie potrzebować nawet 5 mln weteranów razem z rodzinami. To 10 proc. społeczeństwa. Także tego, które pracuje teraz w Europie. To 4 mln ludzi. Prawie połowa to nasi sąsiedzi w Polsce.

„Co z wami będzie po wojnie?" – pytam Chernova. „To trudne, nie zmusisz nikogo do powrotu. Musi być cel: praca, bezpieczeństwo, poczucie sensu". Inne kraje doświadczone wojną przez lata budowały swoją siłę na diasporze. Być może to będzie też przyszłość Ukrainy. Demografii nie da się cofnąć tak jak linii frontu.

Umowy do wglądu

To rewolucyjna zmiana w jawności finansów publicznych od lat. 1 lipca ruszył **Centralny Rejestr Umów**, czyli ogólnodostępna baza, w której jednostki sektora finansów publicznych mają publikować informacje o zawieranych umowach. Ustawa o rejestrze została uchwalona przez Sejm już w październiku 2021 r., ale rejestr ruszył dopiero teraz. Wystarczy wejść na stronę: rejestrumow.gov.pl i już dziś widomo np., że Uniwersytet Warszawski 3 lipca wydał 210 zł na „stick do selfie do kamery"; 1 lipca Prokuratura Regionalna w Warszawie zawarła umowę na sprzątanie pomieszczeń w budynkach Prokuratury Regionalnej w Warszawie w swoich trzech lokalizacjach na 631 tys. zł przez rok; a Szpital Powiatowy w Limanowej za roczną dostawę cukru zapłacił 17 tys. zł. Obowiązek raportowania do CRU obejmuje – według szacunków MF – ok. 60–70 tys. podmiotów.

W rejestrze znajdują się m.in. dane o umowach zawieranych przez ministerstwa, urzędy, samorządy, szpitale, ośrodki pomocy społecznej, szkoły i przedszkola czy instytucje kultury, jak np. muzea czy biblioteki. W bazie można sprawdzić numer umowy, datę jej zawarcia, okres obowiązywania, strony, przedmiot, wartość. Można więc ustalić, kto, z kim, na co i za ile zawarł umowę. Na wprowadzenie tych informacji urzędnicy mają 30 dni od dnia zawarcia umowy.

Funkcjonowanie systemu teleinformatycznego zapewnia minister finansów, ale za udostępnianie informacji o umowach odpowiadają kierownicy zobowiązanych do raportowania jednostek. Po wielu bojach, także politycznych, zniesiono próg kwotowy umów, które mają być wpisywane do bazy. Wcześniej znaleźć się w niej miały tylko te powyżej 10 tys. zł, ostatecznie stanęło na tym, że wpisać trzeba każdą umowę od 1 gr wzwyż. Poza CRU pozostawiono umowy o pracę oraz umowy ustne, czyli zakupy bezpośrednie lub telefoniczne. I to może być furtka do ominięcia rejestru.

Do rejestru nie muszą raportować m.in. spółki Skarbu Państwa i spółki komunalne, ponieważ jako spółki prawa handlowego nie należą do jednostek sektora finansów publicznych. Obowiązek ten nie obejmie także instytutów badawczych, placówek zagranicznych oraz jednostek związanych z bezpieczeństwem państwa, w tym tych podległych MON. Wyłączenie SSP i spółek komunalnych wydaje się sporym defektem. W ostatnich latach to najczęściej w nich dochodziło bowiem do afer związanych z wydatkami (np. z kart służbowych) czy rozdawaniem zleceń po polityczno-towarzyskiej znajomości. (DĄB.)

eprasa.pl 0ca0981d75

Pierwsza ćwiartka USA

Czy to na pewno nie były 250. urodziny Donalda Trumpa?

Afrykańskie upały zakłóciły sobotnie obchody 250. rocznicy urodzin Stanów Zjednoczonych. W Waszyngtonie odwołano paradę, odczytanie Deklaracji Niepodległości przed gmachem Archiwów Państwowych przeniesiono do budynku, a burza z piorunami opóźniła przemówienie Donalda Trumpa i tradycyjne fajerwerki. Ekstremalna pogoda harmonizowała z tonem wystąpienia prezydenta, który mieszał patriotyczne komunały z zaciekłą agitacją na rzecz zwycięstwa Partii Republikańskiej w listopadowych wyborach połówkowych. Wbrew tradycji nakazującej jednoczyć naród w Dniu Niepodległości przemawiał jak na wiecach do swoich fanów.

Podobnie jak dzień wcześniej **pod górą Rushmore**, na której uwiecznieni są czterej najważniejsi prezydenci USA, znaczną część przemówienia Trumpa wypełniła tyrada przeciw „komunizmowi" jako „śmiertelnemu zagrożeniu dla amerykańskiej wolności". W USA w zasadzie nie ma komunistów, ale wszyscy zrozumieli, że chodzi o kilkoro zwycięskich w tegorocznych prawyborach Demokratów-socjalistów, czyli polityków z lewego skrzydła tej partii. Trump wezwał też do uchwalenia ustaw, które zmusiłyby wyborców do okazania przy głosowaniu dowodu tożsamości i świadectwa amerykańskiego obywatelstwa oraz wyeliminowały – z pewnymi wyjątkami – możliwość głosowania pocztą. Projekty utknęły w Kongresie, a opcję pocztowego głosowania podtrzymał nawet konserwatywny Sąd Najwyższy. Sąd ten odrzucił też niedawno prezydencki pomysł zniesienia prawa obcokrajowców i dzieci nielegalnych imigrantów do obywatelstwa amerykańskiego z tytułu urodzenia w USA.

Serię porażek na arenie krajowej i międzynarodowej (przegrywana wojna z Iranem) Trump rekompensuje sobie nasileniem narcystycznej tromtadracji. Rozwodząc się o tym, jak wielka jest Ameryka i jak kwitnie jej gospodarka, powtarza, że to jego zasługa, więc należą mu się wyrazy uznania w postaci jego wizerunku na niektórych nowo wydawanych paszportach, na pamiątkowej 24-karatowej złotej monecie i na proponowanym przez rząd 250-dolarowym banknocie. W efekcie obchody urodzin Ameryki przypominały często nie święto jednoczące Amerykanów, lecz celebrację jego prezydenckiej osoby.

W tłumach na rocznicowych uroczystościach w Waszyngtonie, oprócz największych entuzjastów patriotycznych zgromadzeń dominowali najwyraźniej trumpiści z MAGA, nagradzający owacją ataki na „komunistyczną" opozycję w mowach prezydenta. Nie zabrakło kilkuset białych rasistów z „Patriotycznego Frontu" w maskach w stylu Ku Klux Klanu, którzy maszerowali na Kapitol, niosąc flagi Konfederatów i skandując „Reclaim America!" (Odzyskać Amerykę). Gdzie indziej miliony Amerykanów świętowały po prostu 250. urodziny swego kraju, podkreślając, że są z niego dumni niezależnie od politycznych upodobań czy afiliacji. Jak 250 uczestników sztafety na cześć weteranów, którzy przekazywali sobie gwiaździstą flagę, biegnąc 2500 mil przez kilkanaście stanów.

Byli jednak i tacy, którzy zignorowali rocznicę, zaznaczając, że w 1976 r. uczestniczyli w obchodach 200-lecia, ale nie są w nastroju, by celebrować obecną. Badania wskazują, że od kilku dekad maleje poczucie dumy z Ameryki i rosną obawy o przyszłość. W najnowszych sondażach 70 proc. Amerykanów jest niezadowolonych z kierunku, w jakim zmierza ich kraj, 60 proc. uważa, że najlepsze Ameryka ma już za sobą, a trzy czwarte jest zdania, że ojcowie założyciele byliby rozczarowani tym, co się z nią dzieje.

Co jest przyczyną złego samopoczucia? Gospodarka amerykańska ma się dobrze, ale z owoców wzrostu korzystają głównie najzamożniejsi. Od lat słabnie zaufanie do instytucji państwowych. Dołują notowania Kongresu, Białego Domu, nawet Sądu Najwyższego. Przeciętny Amerykanin dostrzega głównie destrukcyjną rolę politycznej polaryzacji w kraju. Elity ostrzegają, że prezydentura Trumpa, skorumpowanego, dążącego do absolutnej władzy i łamiącego reguły etyki, a czasem prawa, zagraża dalszemu istnieniu liberalnej demokracji. I zauważają, że w ciągu ostatnich kilku lat, czego też dowodzą sondaże, popularność i prestiż Ameryki, raptownie obniżyły się na całym świecie.

Na jubileuszowych urodzinach USA nie przypadkiem więc pojawiły się głosy, że należy powstrzymać te negatywne trendy. Rocznica – słychać apele – powinna stać się okazją i inspiracją do naprawy republiki, której przetrwanie, jak przypominają komentatorzy powołujący się na Beniamina Franklina, nie jest zagwarantowane na zawsze. Trzeba tworzyć oddolne ruchy na rzecz zasypywania politycznego podziału i wzmacniania słabnącej demokracji.

Refleksjami w tym duchu podzielili się z rodakami czterej ostatni prezydenci: Bill Clinton, George W. Bush, Barack Obama i Joe Biden. A „New York Times", apelując, by obchody 250-lecia nie ograniczały się do wznoszenia flag i odpalania fajerwerków, wyraża jednak optymizm. Ameryka, przypomina dziennik w komentarzu redakcyjnym, nie zawiodła, gdy doszło do jej podziału i wojny domowej, nie zawiodła w czasie Wielkiego Kryzysu w latach 30. XX w., nie zawiodła w wojnie z nazizmem ani zimnowojennej konfrontacji ze Związkiem Radzieckim, więc poradzi sobie także z obecnym wyzwaniem.

TOMASZ ZALEWSKI

© JESSE BROWN NELSON/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, ALBERT L. ORTEGA/GETTY IMAGES, MP, OLEG PALCHYK/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

Obywatele mściciele

W rolach głównych: **Uwe Boll** z Niemiec (fot. z lewej), prawdopodobnie najgorszy reżyser świata, **Armie Hammer**, zdyskredytowany hollywoodzki aktor oskarżany przez wiele kobiet o molestowanie (a także fascynację kanibalizmem), i Elon Musk. Na drugim planie skrajnie prawicowi politycy, m.in. Dominik Tarczyński. Kontrowersje wokół filmu „Citizen Vigilante" („Obywatel mściciel") przestały być zabawne, a stały się niebezpieczne.

Najnowszy film Bolla, jak wiele poprzednich, utonąłby gdzieś w streamingu, gdyby nie przykuł uwagi prawicowych publicystów i polityków. Główny bohater, zirytowany bezsilnością unijnych władz (zdjęcia powstały w Chorwacji, ale na ekranie pojawia się jedynie napis „Europa") wobec zalewu imigrantów gwałcących i zabijających białe kobiety, bierze sprawy we własne ręce. I zaczyna mordować zagrażających europejskiemu porządkowi migrantów, najczęściej czarnych muzułmanów.

Jawnie rasistowski (a także fatalnie zrealizowany i zagrany) film w ojczyźnie Bolla nie trafił na wielkie ekrany. Niemcy nie nadali mu kategorii wiekowej, co sprawiło, że nie może być wyświetlany w kinach, więc reżyser obwołał się ofiarą systemu. Nad jego losem pochylił się Musk i na dwie doby udostępnił „Citizen Vigilante" za darmo na swoim profilu w serwisie X.com. Resztę zrobili prawicowi politycy, zachęcając do oglądania filmu. Dominik Tarczyński na facebookowym profilu zamieścił plakat filmu, tyle że ze swoim nazwiskiem i twarzą wklejoną zamiast głównego bohatera.

Uwe Boll wiele lat temu zaczynał karierę jako reżyser podrzędnych ekranizacji gier wideo. Zasłynął m.in. z tego, że nie tylko obrażał recenzentów negatywnie piszących o jego filmach, lecz także wyzywał ich na pojedynki bokserskie (kilku nawet wyzwanie przyjęło). Z biegiem czasu przerzucił się na tematy bardziej kontrowersyjne. Nakręcił m.in. epatujące przemocą „Auschwitz", które jego zdaniem miało przedstawiać prawdziwe realia życia w obozie, oraz wymierzonego w finansowe elity „Mściciela z Wall Street".

Swoim najnowszym filmem, jawnie wzywającym do przemocy wymierzonej w imigrantów oraz powrotu do czasów „białej" Europy, jednoznacznie opowiedział się po stronie skrajnej prawicy. Do głównej roli zatrudnił Armiego Hammera, niegdyś świetnego aktora (grał m.in. w „Tamtych nocach, tamtych dniach"), dziś – po oskarżeniach o gwałty i przemoc – zepchniętego na zawodowy margines, więc przez prawicę postrzeganego jako ofiara ruchu *woke*. Jak zwykle bywa w podobnych przypadkach, owi skrzywdzeni przez lewaków i cenzurę twórcy okazali się największymi wygranymi całego zamieszania. Po rozgłosie zapewnionym przez Muska prace nad drugą częścią „Citizen Vigilante" już się rozpoczęły. JD

Generał na prezydenta

Wielu Ukraińców widziałoby w generale **Walerym Załużnym** nowego prezydenta. On sam unikał dotąd jasnych deklaracji, ale – według nieoficjalnych wiadomości – właśnie potwierdził, że chce startować w wyborach. Ta deklaracja stanowi dla prezydenta Wołodymyra Zełenskiego potężny kłopot. Załużny to bohater, były głównodowodzący Zbrojnych Sił Ukrainy – w 2022 r. obronił Kijów i przeprowadził kontruderzenia, które doprowadziły do wyzwolenia dużych połaci kraju. Niezmiennie przewodzi rankingom zaufania.

Zełenski od dawna patrzył podejrzliwie na popularność głównodowodzącego. W lutym 2024 r. zwolnił go ze stanowiska w wojsku i posłał do Londynu. Od tej pory do ukraińskiej ambasady zaczęli pielgrzymować niechętni Zełenskiemu politycy i specjaliści od politycznego PR, by namówić generała do zajęcia się polityką. Z kolei bliscy współpracownicy prezydenta podobno namawiali Załużnego, żeby nie startował. Argumentowali, że to może doprowadzić do niepotrzebnych podziałów społecznych, i kusili stanowiskiem premiera. Załużny pozostał jednak przy swoim.

Zełenski ma kłopot tym większy, że nie jest lubiany w armii, jego pozycję podkopały afery korupcyjne. W majowych sondażach (pracownia KMIS) tylko 28 proc. Ukraińców uznało, że powinien być głową państwa w kolejnej kadencji. 30 proc. chce, żeby zniknął z polityki, a 15 proc. – by dostał zarzuty i stanął przed sądem. Według tej samej sondażowni Zełenskiego darzy zaufaniem 61 proc. badanych. Wyprzedzają go ludzie związani z armią, a na pierwszym miejscu jest Załużny (73 proc.). Drugie miejsce zajmuje generał Kyryło Budanow, do niedawna szef wywiadu, dziś szef Kancelarii Prezydenta.

Wśród innych możliwych konkurentów ciekawa mogłaby być kandydatura Mychajły Fedorowa – to polityk młodego pokolenia, obecnie minister obrony, a wcześniej minister cyfryzacji. W szranki mógłby stanąć również ktoś z polityków lokalnych (np. mer Charkowa Igor Terechow) czy działaczy społecznych (jak Serhij Prytuła, którego fundacja zajmuje się m.in. dostarczaniem wyposażenia na front).

Dziś największe szanse na zwycięstwo ma Załużny. Nikt nie zna jego poglądów, ale generał jest kojarzony z armią, której ufa cała Ukraina. Zełenski też ma atuty – kampania będzie krótka, konkurentom nie starczy czasu, by zbudować społeczne poparcie. Obóz prezydencki ma wpływy w mediach, a sam prezydent zrobi wszystko, żeby odwrócić uwagę od problemów z korupcją i skupić obywateli wokół siebie, np. podgrzewając konflikt historyczny z Polską. PR

eprasa.pl 0ca0981d75

Cisza przed burzą?

Zapomnijcie o wakacjach od polityki. Afera szpitalna, z nowymi wątkami, właśnie wybucha w twarz obozowi władzy, coraz głośniej o rekonstrukcji rządu, pojawiają się też fantazje o nowej partii. Co pokażą sondaże?

eprasa.pl 0ca0981d75

MICHAŁ DANIELEWSKI

Uświadomione lub podskórne znużenie obozem władzy staje się zjawiskiem coraz powszechniejszym, a zmęczenie koalicji 15 października samą sobą można dostrzec gołym okiem. Pęcznieją nacjonalistyczne narracje, prawicowa opozycja wydaje się być w uderzeniu, próbując surfować na fali nastrojów. Żywiąc się oburzeniem po ujawnianiu kolejnych skandali wokół Szpitala Południowego w Warszawie – to skrócony portret polskiej polityki chwilę przed sejmowymi wakacjami. Ale bynajmniej nie oznacza to, że nadchodzi „sezon ogórkowy" – czas, gdy lato było domeną zmyślonych wesołych newsów o wielorybie pływającym w Wiśle, staje się coraz mocniej wyblakłym wspomnieniem.

Szczególnie afera szpitalna ma potencjał, by zdominować politycznie nie tylko najbliższe dni, ale również najbliższe tygodnie. Sprawa początkowo była lekceważona przez Koalicję Obywatelską, która z automatu zastosowała wobec niej „standardową procedurę": wyrażono troskę i ubolewanie, zaordynowano kontrole, odwołano radę nadzorczą i zarząd szpitala, jednocześnie na drugą nóżkę wskazując patologie w czasach PiS. Od początku widać było jednak, że ta historia jest rozwojowa, choć chyba mało kto się spodziewał, że szpital na Ursynowie stanie się symbolem zdrowotnego jądra ciemności. Nie dość, że grasował w nim umocowany politycznie lekarz cwaniak, wyciągający miliony z systemu, nie dość, że ujawniono specjalną ścieżkę przyjęć poza kolejką dla VIP-ów, to jeszcze dowiedzieliśmy się o pokątnym handlu zwłokami oraz pomyleniu zarodków w procedurze in vitro.

Cały ten szokujący zestaw ustawił KO w bardzo ryzykownej pozycji formacji, która jeśli nawet nie jest bezpośrednio sprawcą patologii, to długo ją tolerowała, wykazując się co najmniej ślepotą i nieudolnością. Nadszedł więc czas na bardziej zdecydowaną reakcję: wskazanie winnych grubych ryb i zarazem przekonanie publiczności, że sprawa mimo wszystko nie jest jednostkowa, tylko systemowa. Bo kiedy winny jest system, to znaczy, że winni są wszyscy. Czyli nikt.

Czas spadających głów

Ofiarami zwrotu narracyjnego stały się Renata Kaznowska i Aldona Machnowska-Góra, które „zostały zrezygnowane" z funkcji wiceprezydentek Warszawy. Zwłaszcza dymisja Kaznowskiej, która odpowiadała za codzienne, operacyjne zarządzanie miastem, to duże wydarzenie w skali stolicy. Równocześnie premier Donald Tusk postawił ultimatum swoim podwładnym, domagając się przygotowania „właściwie od ręki" systemowych rozwiązań, które uporają się „z najbardziej oburzającymi praktykami" w ochronie zdrowia. Szef rządu wskazał szpitalne saloniki VIP, omijanie kolejek oraz lekarzy milionerów, „którzy zarabiają te miliony w sposób albo niezgodny z prawem, albo z nadużywaniem systemu". Stawką jest zachowanie stanowisk przez ministrę zdrowia Jolantę Sobierańską-Grendę oraz szefa NFZ Filipa Nowaka. Premier zaproponował też „pełny przegląd" wszystkich rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa, by oczyścić je z osób z legitymacjami partyjnymi.

Tym samym KO weszła w fazę próby przejęcia kontroli nad aferą, próbując wyjść z pułapki reaktywności. Kłopot w tym, że twarde zapowiedzi Tuska trzeba teraz przekuć w realne działania, bo np. liczbę działaczy w radach państwowych spółek media będą mogły łatwo zweryfikować. Pytanie też, co się wydarzy, jeśli propozycje Sobierańskiej-Grendy nie zadowolą Tuska, bo znalezienie nowej osoby skłonnej do objęcia funkcji ministra zdrowia może być zadaniem trudnym. Stanowisko, które do niedawna przypominało robotę sapera, w dzisiejszym kontekście zmieniło się w misję kamikadze. Jakimś rozwiązaniem byłoby tymczasowe przejęcie nadzoru nad resortem przez samego szefa rządu, skoro zmiany w systemie mają być priorytetowe, szybkie i głębokie. Jednak jest mało prawdopodobne, by premier zdecydował się na aż takie ryzyko.

Sondażowy klincz

Co może zdumiewać w tym zamieszaniu to fakt, że pomimo afer, zniecierpliwienia wobec rządzących i rozedrgania debaty publicznej Polska wciąż jawi się jako jeden z najstabilniejszych politycznie krajów w Europie. W Niemczech flirtująca z nazistowską przeszłością AfD zbliża się do 30 proc. poparcia. Francja i Wielka Brytania zmieniają rządy i premierów jak rękawiczki. Na Węgrzech wyborczy tajfun zmiótł z planszy rząd Orbána. Tymczasem nad Wisłą od wielu miesięcy zmiany w sondażach są na poziomie statystycznego szumu, rząd zaś – cokolwiek by złego o nim powiedzieć – jednak jakoś rządzi, mimo że składa się z czterech partii, dwóch stowarzyszeń i ma przeciwko sobie wrogo nastawionego prezydenta.

W trzech sondażach przeprowadzonych już po wybuchu afery szpitalnej (Pollster, United Surveys, IBRiS) spadki Koalicji Obywatelskiej są minimalne i nieistotne ze statystycznego punktu widzenia: to odpowiednio 1,4 pkt, 0,5 pkt oraz 1,3 pkt proc. W każdym z tych badań KO po odjęciu niezdecydowanych respondentów ma notowania powyżej 30 proc. (od 30,8 do 32,6 proc.), co jest de facto powtórzeniem jej wyniku wyborczego z 2023 r.

Od miesięcy sondażowe stopklatki sympatii partyjnych są w większości tak do siebie podobne, że potrzeba lupy, aby dostrzec jakiekolwiek istotne różnice między kolejnymi badaniami. To znajduje swoje odzwierciedlenie w sondażowych średnich, które od jesieni ubiegłego roku są łudząco do siebie podobne, wahając się w przedziale 2 pkt proc. Średnia z badań przeprowadzonych od początku maja do końca czerwca po proporcjonalnym rozłożeniu niezdecydowanych i zaokrągleniu wyników wygląda następująco: KO – 34 proc., PiS – 26 proc., Konfederacja – 14 proc., Korona Polska – 9 proc., Nowa Lewica – 7 proc., Razem – 4 proc., PSL – 4 proc., Polska 2050 – 2 proc.

Widać więc, że w fazie intensywnej rozgrzewki przed rychłą kampanią wyborczą wciąż utrzymuje się uwidoczniona w drugiej turze wyborów prezydenckich strategiczna równowaga między partiami, które głosowały za powołaniem rządu Donalda Tuska, a prawicową opozycją. Co dla opozycji jest dobrą wiadomością, bo ze względu na ordynację wyborczą i sposób przeliczania głosów na mandaty PiS, ▶

© SHUTTERSTOCK AI/AMAR

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ Konfederacja i Korona Polska Grzegorza Brauna mogłyby dziś liczyć na wyraźną sejmową większość w przedziale 240–250 mandatów.

Czy afery mają jeszcze znaczenie

Nie zmienia to faktu, że najbardziej zagorzali prawicowi wyborcy, zwłaszcza twardy elektorat PiS, patrząc na notowania KO powyżej 30 proc., poirytowani mogą sobie zadawać to samo pytanie, co zwolennicy opozycji w latach 2015–23: skoro tyle złego się dzieje, to dlaczego im wyraźnie nie spada?

– *Punktem odniesienia jest afera Rywina, bo pamiętamy ją jako początek upadku SLD i w konsekwencji przemeblowania całej sceny politycznej. Na tym doświadczeniu opiera się fałszywe dziś przekonanie, że odpowiednio duży skandal może nie tylko zmieść pojedynczego polityka, lecz także przebudować ład partyjny. Dziś to ekstremalnie trudne do powtórzenia, bo zmieniło się rzemiosło polityczne, nikt nie pozwoli już sobie, aby utracić kontrolę nad narracją, na przykład powołując komisję śledczą. Obowiązuje zasada: „Złapany za rękę krzycz, że to nie twoja ręka", bo za chwilę pojawi się kolejny temat* – mówi badacz opinii i analityk polityczny Marcin Duma, założyciel Fundacji IBRiS.

– *Inflacja uwagi jest tak duża, że wystarczy przeczekać: cykl informacyjny dramatycznie się skrócił, po kilkudziesięciu godzinach koty i pieski na Facebooku są dla odbiorców bardziej interesujące, algorytm prowadzi nas gdzie indziej. No i wyborcy, zwłaszcza starsi, są wciąż zasklepieni w swoich bezalternatywnych wyborach politycznych. Dlatego np. PiS z powodzeniem unikał konsekwencji kolejnych afer przez większość swoich rządów* – tłumaczy Duma.

Ale brak natychmiastowych, spektakularnych skutków politycznych afery szpitalnej nie oznacza, że nie będzie ona miała wpływu na notowania KO w dłuższym okresie. Obserwowaliśmy to przecież w czasach rządów PiS, kiedy afera wizowa z czasem coraz mocniej zakorzeniała się w społecznej świadomości, podmywając wiarygodność PiS w kluczowej kwestii: oto formacja, która miała bronić Polki i Polaków przed niekontrolowaną migracją, sama przyczyniła się do jej zwiększenia. Analogiczny proces może dotknąć partię Tuska: wygrana wyborcza z 2023 r. w dużej mierze ufundowana była na obietnicy przywrócenia standardów w życiu publicznym, więc jeśli mniej zaangażowani wyborcy stwierdzą, że różnica względem rządów PiS jest w tej kwestii zbyt mała, mogą powoli zacząć rozglądać się za alternatywą.

Strategia „kapiszona"

Jednak obawa przed druzgocącym skutkiem ujawnianych afer jest wśród polityków coraz mniejsza. Wystarczy przypomnieć sobie radykalne decyzje premiera Tuska podczas pierwszych rządów koalicji PO-PSL. Gdy samobójstwo w więzieniu popełnił mężczyzna skazany za współudział w głośnym porwaniu i zabójstwie Krzysztofa Olewnika, stanowisko błyskawicznie stracił minister sprawiedliwości Zbigniew Ćwiąkalski. Po ujawnieniu afery hazardowej Tusk również ciął równo z trawą: konsekwencje personalne dotknęły nie tylko bezpośrednich bohaterów skandalu – ówczesnego szefa klubu PO Zbigniewa Chlebowskiego i ministra sportu Mirosława Drzewieckiego – ale również m.in. potężnego w tamtych czasach wicepremiera i szefa MSWiA Grzegorza Schetynę oraz ponownie ministra sprawiedliwości, tym razem Andrzeja Czumę.

Po katastrofie wyborczej, która dotknęła SLD ledwie kilka lat wcześniej, prawdą czasu było przekonanie, że na wszelkie ujawniane nieprawidłowości należy reagować szybko i zdecydowanie, bo też i korupcja była postrzegana wówczas jako jeden z głównych problemów społecznych: według badań CBOS co piąty dorosły Polak deklarował, że osobiście zna kogoś, kto bierze łapówki (dziś to zaledwie 8 proc.). Nic dziwnego, że wszelkie podejrzenia należało – jak mówił wówczas Tusk – wypalać gorącym żelazem.

Opowieść o tamtych czasach brzmi dzisiaj jak bajka o żelaznym wilku, bo wraz z objęciem władzy przez PiS w 2015 r. wkroczyliśmy w erę nowożytną w zarządzaniu aferami. Ludzie Jarosława Kaczyńskiego zauważyli, że pogłębiająca się polaryzacja i początek gwałtownych zmian w krajobrazie medialnym pozwalają zbudować wokół rządzących ochronną kopułę chroniącą przed skandalami. Ta strategia opierała się na trzech filarach. Po pierwsze, afera jest dopiero wtedy, kiedy my, władza, ją odkryjemy lub uznamy za prawomocną – do tego czasu właściwie nie ma o czym mówić. Po drugie, media ujawniające rzekome skandale z zasady działają na zlecenie naszych wrogów i kłamią w imię politycznych interesów. Po trzecie zaś, nawet jeśli nie kłamią, to wyolbrzymiają, a ich ustalenia są zazwyczaj funta kłaków warte.

PiS doszedł w stosowaniu tych metod do takiej wprawy, że potrafił bagatelizować afery, zanim media zdążyły je ujawnić. Tak było np. w przypadku głośnego tekstu „Gazety Wyborczej" o dwóch wieżach Kaczyńskiego: gazeta jeszcze nie ukazała się w kioskach, a cała machina internetowa PiS już zdążyła narzucić opowieść, że sprawa jest dęta, a sam artykuł to „kapiszon": robi może trochę huku, ale bez żadnych konkretów.

W zarządzaniu aferami przydawało się też osadzanie ich na osi konfliktów społecznych. Na przykład kolejne odsłony afery Funduszu Sprawiedliwości często były przedstawiane jako wyraz pogardy opozycyjnych i medialnych elit, które piętnują wsparcie finansowe dla koła gospodyń wiejskich albo zazdroszczą strażakom ochotnikom nowego wozu gaśniczego. Gdy kolejne doniesienia są dawkowane, a afera zaczyna przypominać serial, ambicją polityków jest przejęcie kontroli nad scenariuszem następnych odcinków.

Kto lepiej zarządzi lękiem

Tego ostatniego chwytu używa dziś KO, próbując zejść z afery w Szpitalu Południowym na temat walki z patologicznym systemem, upartyjnieniem państwa oraz czarnymi owcami wśród lekarzy. Ta taktyka może okazać się skuteczna, nie należy się też spodziewać, że najbliższe tygodnie przyniosą jakieś sondażowe przełomy: kampanię wyborczą rozpoczniemy raczej ze zbliżonym do dzisiejszego poziomem poparcia między obozem władzy a opozycją. Zasadnicze znaczenie będzie zaś miało zarządzanie społecznymi emocjami, które są dziś dominujące i kluczowe z politycznego punktu widzenia: lękiem oraz potrzebą wiarygodnej obietnicy stabilizacji i bezpieczeństwa.

– *Mamy do czynienia ze zjawiskiem określanym jako „micro-macro gap" – różnicą między postrzeganiem własnej sytuacji a oceną sytuacji ogólnej. Towarzyszy temu paradoks: im kraj jest bogatszy, tym ludzie bardziej się boją, im lepiej nam się żyje, tym większa staje się rozbieżność między osobistymi doświadczeniami a oczekiwaniami co do przyszłości wspólnoty. Gdy zapytać*

eprasa.pl 0ca0981d75

GALERIA POLITYKI

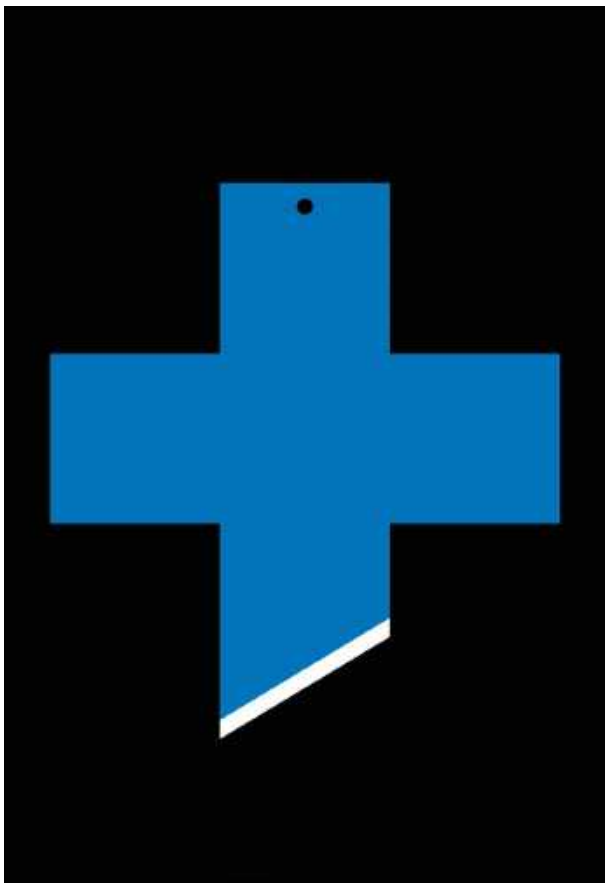

SYLWIA MARKIETA

przeciętnego Polaka, jak mu się wiedzie, odpowie, że świetnie. Ale gdy zapytamy o stan polskiej gospodarki, ocena będzie tragiczna. To nie jest jedynie polskie narzekactwo – podobne zjawisko występuje w innych dobrze rozwiniętych społeczeństwach – mówi Marcin Duma.

Według niego w miarę wzrostu poziomu życia kształtuje się kultura lęku: ludzie wręcz poszukują obszarów, o które można się bać – że coś stracą, że coś im ucieknie. – *Trudno uciszyć te obawy, bo zanikł system autorytetów, który mógłby na masową skalę zinterpretować rzeczywistość. Jesteśmy podzieleni na podgrupy, z których każda ma własne wartości i autorytety. Do tego dochodzi współczesny system medialny, który działa jak fabryka strachu: firmy sprzedają produkty, wykorzystując wzbudzanie lęku, a politycy w podobny sposób kupują poparcie. To właśnie schematy lękowe będą kluczowe – pytanie brzmi, na jakich obawach zagrają politycy.*

W tej specyficznej rywalizacji mimo wszystko wciąż szerszą paletę atutów wydaje się mieć obóz władzy, który w odróżnieniu od PiS i obu konfederacji dysponuje instrumentami, żeby nie tylko straszyć tym, co wychodzi z badań fokusowych (Ukraińcami, migrantami, wojną), ale również punktowo rozwiewać obawy i dawać poczucie stabilizacji, zwłaszcza w wymiarze ekonomicznym. Pytanie jednak, czy mocno poharatana dziś koalicja jest jeszcze do tego zdolna i zdąży poukładać się na tyle, żeby po wakacjach rozpocząć spójną narracyjną ofensywę. Mówi się o możliwej rekonstrukcji rządu i zwarciu szyków, z tym że są to pogłoski z gatunku powtarzalnych i oczywistych, a jedynym konkretem jest nieustająca chęć premiera Tuska, by zrzucić z koalicyjnego wozu Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz.

Fantazja o czymś nowym

Tymczasem wraz z zadyszką starych aktorów odżywają pomysły na stworzenie jakiejś nowej formacji politycznej. Swoją inicjatywę po wakacjach zapowiada Ryszard Petru, który chce budować – jak sam mówi – konfederację light, by odbierać głosy Bosakowi i Mentzenowi. Ze strony byłego lidera Nowoczesnej jest to jednak raczej działalność z gatunku autoreklamy: pokazuje, że istnieje i że można go wziąć na jakąś wyborczą listę. Nie wiadomo, jakie plany ma Szymon Hołownia, który twierdzi, że nabrał nowej energii i jest gotowy do działania.

Wygląda to wszystko odrobinę niepoważnie, ale Marcin Duma twierdzi, że w badaniach widać niszę dla nowego ugrupowania. – *Szczególnie po pandemii u istotnej części Polaków narasta poczucie, że państwo nieustannie dokręca im śrubę. Ciągle czegoś nie wolno, ciągle wprowadzane są jakieś nakazy i zakazy: gospodarcze, unijne, obyczajowe. Tego kryzysu wolności nie potrafi do końca dobrze obsłużyć ani Konfederacja ze względu na swój konserwatyzm, ani Lewica ze względu na pomysły gospodarcze. Ale nowa formacja całościowo wolnościowa, łącząca liberalnie zabarwiony populizm z obietnicą, że więcej wolności to także więcej stabilizacji, oraz odpowiadająca na rosnące napięcia międzypokoleniowe znalazłaby swoich klientów. Zwłaszcza gdyby to nie był monodram, tylko występ zespołowy: sojusz na rzecz ochrony wolności zawarty przez trzy generacje liderów, z trzema różnymi doświadczeniami i drogami życiowymi.*

Problem z nowymi inicjatywami jest jednak taki, że łatwo je wypreparować z badań socjologicznych i zaprojektować na papierze, trudniej skutecznie taki projekt zrealizować i utrzymać początkową atrakcyjność. Nieroztropne byłoby jednak lekceważenie narastającego społecznego zniecierpliwienia wobec całej klasy politycznej, które widać w badaniach CBOS. Politycy występują tam jako grupa homogeniczna, cynicznie podkręcająca konflikty, pozbawiona zasad moralnych, żyjąca na innych zasadach niż reszta społeczeństwa. Na horyzoncie zaś wykluwa się potrzeba „partii ludzi takich jak my", która zagoni klasę polityczną do pożytecznej roboty. Opisywana emocja nie jest czymś szczególnie nowym, ale są momenty w historii, kiedy staje się istotną motywacją wyborczą, co widzieliśmy choćby w 2015 r. na przykładzie Pawła Kukiza.

Sondażowa i polityczna stabilność może być więc ciszą przed burzą. Jeśli w odbiorze społecznym konflikt polityczny staje się coraz bardziej rytualny, wzajemne fundamentalne oskarżenia i obietnice rozliczeń zdają się puste, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo zachwiania starym porządkiem partyjnym. Widzimy to regularnie w wielu innych krajach, także tych wysoko rozwiniętych, gdzie tradycyjne formacje często ledwo dyszą. Nie oznacza to, że pęknięcie nastąpi już w nadchodzącym cyklu wyborczym. Ale rozpoczynający się po wakacjach nowy sezon polityczny może być ostatnim, gdy kategoria „mniejszego zła" będzie dominować wśród wyborczych motywacji.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 0ca0981d75

Gra w semestry

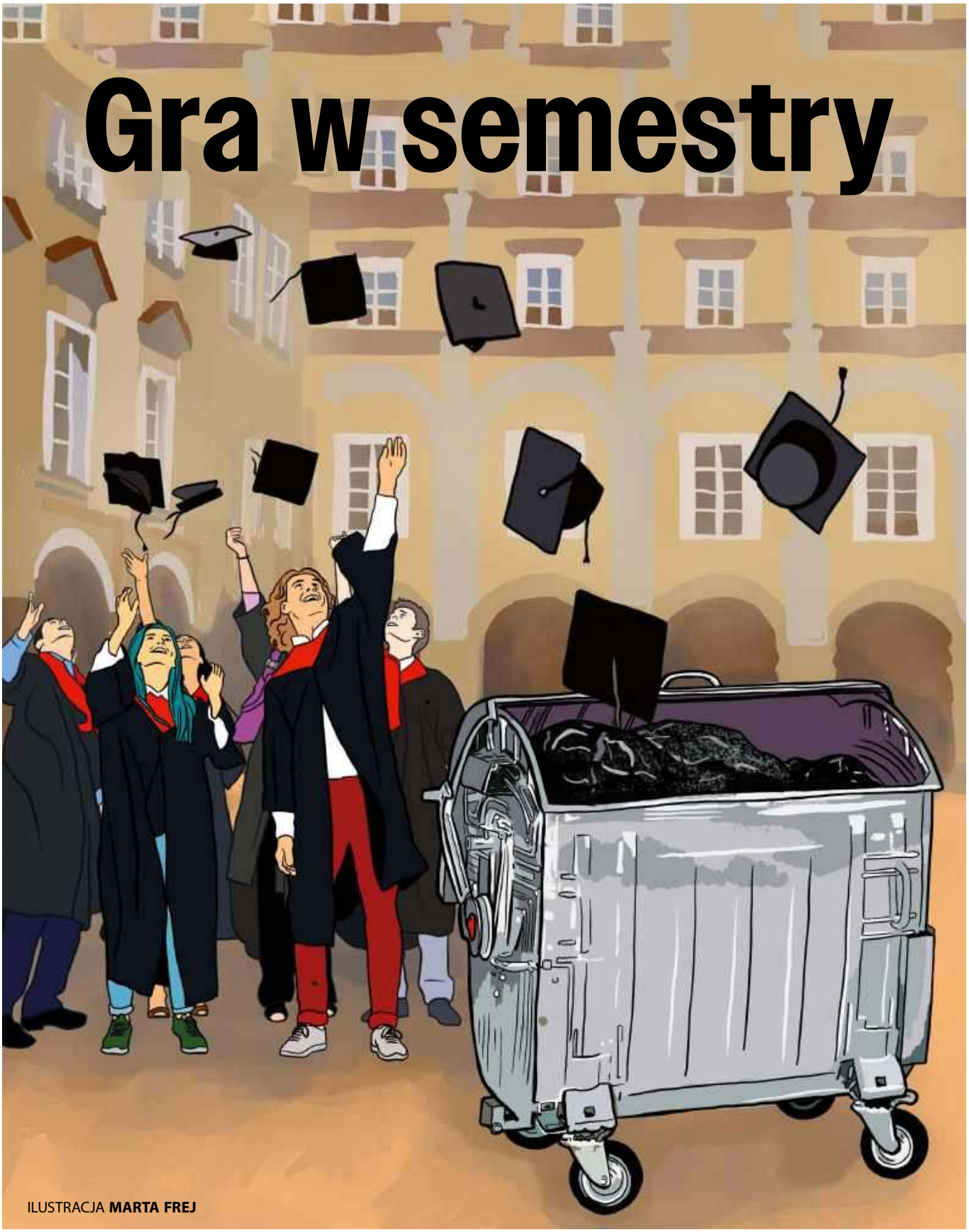

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 0ca0981d75

Już miesiąc temu swój wstępny akces na rozmaite kierunki zgłosiło nawet po kilkudziesięciu chętnych na miejsce. 8 lipca o godz. 8.30 rano wyniki matur podane do publicznej wiadomości rozpoczną wielkie tasowanie: najlepsi dostaną się na wymarzone kierunki. Pozostali? Jedno jest pewne: kto chce studiować, ten gdzieś zostanie przyjęty. Ale jaki to ma dzisiaj sens?

EWA WILK

Oczywiste jest, że udział wydatków na naukę w polskim budżecie jest za niski – to 1,4 proc. W krajach zachodnich, z którymi mamy dziś prawo porównywać się pod względem dostatku, np. Belgią, Danią, Finlandią, przekracza on 3 proc., a w Izraelu czy Korei Płd. 5 proc. Ale polski problem polega nie tylko na tym, że Skarb Państwa skąpi. Nasz system finansowania badań i dydaktyki jest iście orwellowską konstrukcją. W ciągu z górą 30 lat reform, nowelizacji, parametryzacji, algorytmizacji (i aktualizacji algorytmizacji), dostosowań do Europy itd. powstało biurokratyczne monstrum, trudne do ogarnięcia umysłem prostego magistra, nawet nauk matematycznych. Zżera ono uczelnie publiczne i komercyjne. Podważa sens studiowania i wykładania, zamienia jedno i drugie w zbiorową grę pozorów.

Nieocenieni i nieocenialni

Prof. X obiecuje smakowite anegdoty, ale pod warunkiem zachowania anonimowości. Nosi się właśnie z zamiarem porzucenia – nie ukrywa – intratnej posady dydaktycznej w renomowanej uczelni komercyjnej, więc nie chce narazić się na zarzut opluwania opuszczanego gniazda. Rzuca pracę z powodu definitywnego zwątpienia w jej celowość. Jest wykończony. Bynajmniej nie nawałem zajęć, ale poczuciem, że regularnie bierze udział w wielkiej nieetycznej mistyfikacji. Której – co najgorsze – wszyscy aktorzy są świadomi. I zachowują się na swój sposób racjonalnie.

Zatem **anegdota 1:** Większość zajęć na kierunku medialnym, jakie powierzono prof. X, odbywa się w weekendy, w trybie on-line, ponieważ większość studentów tego kierunku to tzw. zaoczni. Dosłowność tej zaoczności polega na tym, że w trybie on-line wchodzą oni na zajęcia, po czym natychmiast wyłączają kamery i mikrofony swoich urządzeń. Więc X czuje się jak dziad gadający do obrazu (a to wykańcza). Niekiedy tylko po drugiej stronie włącza się jakiś nieoczekiwany gwar. – *O, sorry* – mówi bynajmniej niezażenowana słuchaczka – *mikrofon mi się włączył, a jestem na paznokciach*. Albo: student znika i pojawia się na ekranie, więc pytany, czy jest jakoś obecny na zajęciach, powiada, że oczywiście, tyle że jedzie pociągiem i internet się rwie.

Oboje słuchacze zachowują się racjonalnie, ponieważ doskonale wiedzą, że nic im nie grozi. Są nieocenieni, bo płacą, i nieocenialni, ponieważ wykładowca zaliczy im zajęcia. Pod warunkiem że jest racjonalny. Nieracjonalny będzie wymagał, żeby coś przeczytali, sprawdzał, czy przeczytali, robił nieprzewidziane kolokwia. No to studenci napiszą skargę do dziekana albo i rektora. A koledzy nieracjonalnego poradzą mu: daj spokój, nie kop się z koniem, ja zaliczam wszystkim na piątki.

Opłata za płatnych

Prof. Anna Giza, znana socjolożka, przez siedem lat prorektor UW i przez cztery dziekan Wydziału Socjologii, patrzy na sytuację z punktu widzenia uczelni publicznej. Przebadała z pasją polskie szkolnictwo państwowe do szpiku kości, a do rozmowy z nią i publikacji jej autorstwa – „Przewodnika po systemie szkolnictwa wyższego w Polsce" – będziemy się tu cały czas odwoływać. Bez tego nie sposób ogarnąć, jak powstało wspomniane monstrum i jak ono działa. Zdaniem prof. Gizy również uczelnie państwowe tkwią w jego paszczy, podejmując grę o przetrwanie, czyli zachowując się racjonalnie.

Wszystko zaczęło się od dopuszczenia w Polsce możliwości prowadzenia odpłatnych studiów – dziś przychodzi za to zapłacić. Było to jedyną racjonalną możliwością, by na początku lat 90. nasz kraj dźwignął się intelektualnie. W 1989 r. zajmował przedostatnie miejsce w OECD, jeśli chodzi o odsetek obywateli z wykształceniem wyższym, ogółem ok. 6 proc., wchodzących wtedy na rynek pracy; w 1998 r. ledwie 11 proc. Polaków legitymowało się dyplomem magistra. W transformowanej na kapitalizm gospodarce głód magistrów narastał (zwłaszcza takich specjalności jak zarządzanie, prawo, ekonomia, finanse, rachunkowość), a dyplom gwarantował ewidentnie wyższe pensje (tzw. zwrot z inwestycji w postaci dochodów osiąganych na rynku pracy załamał się ok. 2005 r.).

Nie sposób było inaczej odpowiedzieć na aspiracje 80 proc. rodaków, pragnących dla swego potomstwa wyższych studiów, jak dokonać wyłomu w konstytucji, gdzie figurował zapis o bezpłatnym dostępie do edukacji. W 2000 r. Trybunał Konstytucyjny dopuścił pobieranie opłat za studia, również w uczelniach publicznych. Boom miał swój szczyt w roku akademickim 2009/2010: funkcjonowało wtedy 131 uczelni publicznych i aż 330 niepublicznych (dziś publicznych jest 135, a niepublicznych 262), studiowało 1,9 mln młodych ludzi (dziś 1,2 mln), spośród których 56 proc. płaciło za studia (ok. 440 tys. za wieczorowe lub zaoczne na uczelniach publicznych, a ok. 630 tys. na uczelniach niepublicznych). Czesne stało się filarem nie tylko dla sektora komercyjnego, ale i dla publicznego, gdzie 35 proc. słuchaczy lewarowało go finansowo.

Kraj pękał z dumy: w 2024 r. niemal połowa 25–34-latków miała już dyplom wyższej uczelni. Tylko malkontenci pojękiwali, że to ilościowe monstrum ciągnie uczelnie na manowce. Rozrosły się nieprawdopodobnie nauki społeczne. Studia te, po pierwsze, uchodziły za łatwe (gotowych do płatnego studiowania nauk ścisłych i przyrodniczych raczej nie było); po drugie, tanie (nie potrzeba tu laboratoriów, odczynników itd.).

Na uczelniach zapanowała „struktura klasowa" – narastały nierówności między potentatami przyciągającymi tłumy płacących (prawo, zarządzanie) a biedakami (np. filologia klasyczna). Jednocześnie bogate czuły się pokrzywdzone tym, że muszą płacić haracz na rzecz szkoły, sięgający 30 proc. ich wpływów.

Ktoś ten boom musiał obsłużyć, ale zamiast wzrostu zatrudnienia kadry naukowej pojawiły się szeroko opisywane zjawiska profesorów wieloetatowych, służących zajęciami kilku ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ uczelniom jednocześnie. Co prawda osobiste moce finansowe wieloprofesorów rosły, ale ich ambicje i możliwości badawcze z braku czasu spadały. Odbijało się to w końcu na jakości badań i poziomie umasowionych studiów.

Prof. X efekt umasowienia tzw. łatwych studiów społecznych widzi czarno – głównie obserwując nie tyle intelektualny poziom kandydatów i ich dramatyczne braki w edukacji szkolnej, ile motywacje i zainteresowanie tym, co studiują. Obrazuje to za pomocą prostego rysunku. Gdy sam studiował, mało było studentów słabych, potem – dużo studentów średnich i na koniec – grupka wybitnych. Teraz: słabi, słabi, słabi i skromna liczba zdolnych entuzjastów; średniacy są w zaniku.

Anegdota 2. Nabór na studia magisterskie w jego uczelni polega na ściśle formalnej rozmowie kwalifikacyjnej – wiadomo, że każdy bez poważnych opóźnień rozwojowych czy ewidentnych zaburzeń osobowościowych przedostanie się przez to sito (kolejna gra pozorów). O czymś jednak trzeba rozmawiać, więc pyta kandydatkę na studia medialne, czy ma jakiegoś współczesnego ulubionego dziennikarza, który byłby dla niej autorytetem zawodowym. Długo milczy, z wysiłkiem natęża pamięć, w końcu – eureka! Jerzy Urban (nawiasem, wtedy już od kilku lat nieżyjący).

Liczni i przeliczeniowi

To, że uczelnie niepubliczne w obliczu kryzysu demograficznego łowią „czesnych" gdzie się da, specjalnie nie dziwi (jest racjonalne). Ale do tego samego monstrum zmuszało przez lata także uczelnie publiczne. Robi to subtelnie za pomocą algorytmu, czyli wzoru matematycznego, który służy do wyliczania, kto ile dostanie pieniędzy ze wspólnej państwowej puli. Wprowadzono i zastosowano go po raz pierwszy w 1990 r., a potem systematycznie „doskonalono". Zamysł jest logiczny i racjonalny – muszą wszak istnieć rozmaite obiektywne miary wielkości i jakości uczelni, by według nich – a nie po uważaniu – przyznawać odpowiednią cząstkę z 1,4 proc. PKB.

Uwaga, zaczyna się zadanie dla tęgich umysłów. Obecnie w algorytmie uwzględnione są cztery główne czynniki: studencki (S), kadrowy (K), badawczy (B) i projektowy (P), którym przypisane są określone wagi. Władze publiczne mają moc modyfikowania algorytmu, ale wybór, na co się postawi, zależy od uczelni. Problem w tym, że w ów algorytm, skomplikowany wzór matematyczny, można niejako zaszyć system zachęt, np. do przyjmowania jak największej liczby studentów płacących czesne. W 1990 r. waga czynnika S (student) wynosiła aż 0,7; dziś już tylko 0,35. Ale do algorytmu nie wchodzi bynajmniej zwykła

Czy warto jeszcze studiować

Po co właściwie młodzi ludzie idą dziś na studia? Pytanie tylko z pozoru jest banalne. Owszem, studiuje się medycynę, żeby zostać lekarzem, idzie się na politechnikę – żeby budować, konstruować, projektować itd., po aktorstwie jest się aktorem. Ale w przypadku większości obleganych podczas rekrutacji kierunków, zwłaszcza uniwersyteckich, nie da się powiedzieć, kim po takich studiach człowiek będzie – ani w sensie przyszłego zawodu, ani zarobków, ani prestiżu społecznego. Ten aksjomat dotyczy głównie młodzieży z klasy średniej i wyższej, bo też ogółem odsetek chętnych do studiowania spadł do ok. 50 proc., gdy w początkach transformacji sięgał 80 proc.

Otóż studiuje się dzisiaj, bo się studiuje. „Podjęcie studiów postrzegane jest jako krok oczywisty i bezalternatywny przy zabezpieczaniu swojej ekonomicznej przyszłości" – czytamy w pierwszych słowach raportu „Więcej ze studiowania". To owoc przedsięwzięcia niecodziennego w polskiej rzeczywistości akademickiej. Piątka studentów socjologii na Uniwersytecie Warszawskim, wraz z kolegami z wielu ośrodków akademickich, pod kierunkiem prof. Anny Gizy, przeprowadziła autorski, szeroko zakrojony projekt (zdobywszy nań grant ministerialny), który daje mnóstwo ciekawych odpowiedzi na pytania o sens współczesnego studiowania.

56 proc. badanych studentów twierdzi, że wybrało swoje studia, kierując się od dawna żywioną pasją; dla 42 proc. wybrany kierunek był jedynym branym pod uwagę. Ale prawie 30 proc. nie wiedziało praktycznie nic o studiach, na które trafili; podobna liczba zdecydowała o swoim wyborze w ostatniej chwili. Lekko ponad 40 proc. studiuje coś zgodnego z wybranym onegdaj profilem klasy licealnej, ale niewiele mniej – 38 proc. – coś zupełnie nieprzystającego do zamiarów sprzed kilku lat. Czy to źle? Nie – odpowiadają młodzi badacze. Trzeba dać sobie czas na rozpęd. W dzisiejszej rzeczywistości akademickiej szczęśliwie nie jest tak, że wybrałeś jakiś licencjat i nie ma od tego odwrotu. Ale – to też niedobrze, że aż 40 proc. studentów porzuca studia. Pisał o tym zjawisku na naszych łamach w tekście „Studenci chwilowi" Adam Grzeszak: „Kiedy nauka okazuje się za trudna albo niezbyt ciekawa, a życie studenckie nazbyt kosztowne, wiele osób decyduje się na szybki drop-out. (…) Finalnie studia licencjackie lub inżynierskie kończy z dyplomem ok. 69 proc. osób, tylko połowa w terminie. Wtedy też następuje kolejna wielka fala drop-outu, bo studenci uznają, że licencjat im wystarczy".

63 proc. badanych studentów wyznaje, że wybrało kierunek całkowicie samodzielnie, 21 proc. – odwrotnie, polegając na opiniach rodziny czy znajomych. Pewnie wielu padło ofiarą zmasowanego, mniej lub bardziej finezyjnego marketingu.

To, na co najbardziej narzekają polscy studenci, to chroniczne przemęczenie, ale raczej nie z powodu nauki. Bo większość – 56 proc. wszystkich studiujących, nawet dziennie – pracuje, a zbliżając się do dyplomu – nawet 71 proc. Pracują, bo muszą. Jedni, by zarobić na czesne, drudzy – na lokum w wielkim mieście, liczni na jedno i drugie; jeszcze inni – by zawczasu praktykować w zawodzie, uzupełniając CV doświadczeniem. Trzeba zatem zdać sobie sprawę, że tzw. życie studenckie,

eprasa.pl 0ca0981d75

Wzór na studenta

Tak się oblicza, ile uczelnia ma otrzymać dotacji budżetowej z racji liczby studentów (wspomniany w tekście czynnik S). Można powiedzieć, że wzór ilustruje pojęcie „studenta przeliczeniowego".

$$S_i = \frac{\left(\sum_{k=1}^{x} ks_k \times Ls_{k,i} + \sum_{d=1}^{y} kd_d \times 6Ld_styp_{d,i} + \sum_{d=1}^{y} kd_d \times 1{,}5Ld_{d,i} + Lbk_i\right) \times d_i}{\sum_{i=1}^{n}\left[\left(\sum_{k=1}^{x} ks_k \times Ls_{k,i} + \sum_{d=1}^{y} kd_d \times 6Ld_styp_{d,i} + \sum_{d=1}^{y} kd_d \times 1{,}5Ld_{d,i} + Lbk_i\right) \times d_i\right]}$$

liczebność fizycznych osób pobierających naukę, lecz *studenci przeliczeniowi*. To abstrakcyjny byt – realna osoba przemnożona przez współczynnik kosztochłonności studiów, paszport (student zagraniczny waży więcej) i mobilność (udział w wymianie zagranicznej Erasmus+). Podobnie z K (kadry): do algorytmu wchodzą pracownicy wyrażeni w *doktorach przeliczeniowych*. I tak dalej, Orwell pozazdrościłby animuszu słowotwórczego. Prof. Giza waży zaledwie 2,5, ale gdyby była specjalistką informatyki medycznej z Chin, ważyłaby dwa razy więcej.

W efekcie w świecie nauki panuje powszechna gra na algorytm. Starając się zdobyć możliwie najwyższą dotację, władze uczelni nie tyle biorą pod uwagę rzeczywiste aspiracje co do swego poziomu, ile to, że startują w zawodach o sumie zerowej: jeśli ja nie pokombinuję tak, by dostać jak najwięcej, to inni to zrobią. Szkoły wyższe są wszak rywalami w walce o tę samą pulę. Wszyscy na wszelki wypadek muszą dążyć do poprawy swoich współczynników – pozyskiwać więcej grantów przeliczeniowych, więcej studentów przeliczeniowych, więcej doktorów przeliczeniowych. Każdy więc musi starać się o wzrost, zupełnie jak na rynkach finansowych. Co gorsza – nawet rosnąc, nie można być pewnym efektu, ponieważ inni mogli wzrosnąć jeszcze bardziej. Przejrzystość reguł tej gry jest dodatkowo ▶

pełne dobrej zabawy, współtworzenia specyficznej kultury i nawiązywania relacji, które przetrwają dziesięciolecia, to w ogromnej mierze legenda przeszłości. Nie ma na nie czasu. Ponadto imprezy kulturalne (np. juwenalia), poza nielicznymi wyjątkami, ciężko zachorowały na komercjalizację, a samorządy studenckie moralnie sparciały, bo często są traktowane przez aktywistów jako trampolina do kariery politycznej. Cała rzeczywistość sprzyja indywidualizacji studiowania, co w praktyce wygląda tak, że nawet studenci trzeciego roku nie znają imion swoich kolegów z grupy.

Kolejnym sygnalizowanym przez studentów problemem jest konstrukcja studiów, na którą mają znikomy wpływ. W sąsiedniej publikacji „Gra w semestry" opisujemy dokładniej biurokratyczną i finansową machinę, która pcha uczelnie w rozmaite absurdy.
Uczelnie są dziś zmuszone przez system iść na ilość, ponieważ od liczby studentów zależą w dużej mierze ich podwaliny finansowe – i dotacja budżetowa, i wpływy z czesnego. Szkoły wyższe zatem te miejsca mnożą i reklamują się dziś w mediach równie intensywnie, jak np. markety ze sprzętem AGD. Przygotowały 450 tys. miejsc. Maturę w tym roku zdało trochę ponad 344 tys. młodych ludzi, więcej niż np. dwa lata temu, bo to odłożony efekt rozpoczętej i zaniechanej reformy, by do szkoły posłać 6-letnie dzieci, co teraz przez dwa lata owocuje zwyżką liczby maturzystów. W przyszłych latach – można się spodziewać – podaż będzie jeszcze bardziej górować nad popytem. Dobra strona tej sytuacji jest taka, że młodzi ludzie mają w czym wybierać, szukać swojej ścieżki w dorosłości.

Co młodzież chce studiować? Absolutnym rekordzistą popularności okazał się w tym roku Wydział Aktorski w Krakowie – zgłosiło się 1267 kandydatów na 28 miejsc, czyli ponad 45 kandydatów na jedno miejsce.
Zbiorczych dla całego kraju danych jeszcze nie ma, ale na przykładzie największej polskiej uczelni – Uniwersytetu Warszawskiego – można się zorientować w trendach i modach. Największą liczbę kandydatów na jedno miejsce odnotowały:
kierunek lekarski: 24
Business and Management: 22
orientalistyka – japonistyka: 20,
sinologia: 14, koreanistyka: 13
kryminologia: 14
psychologia: 13
stosunki międzynarodowe: 11
filologia angielska: 10
zarządzanie: 8

Co nowego oferują uczelnie? Kuszą studentów nowymi kierunkami, często przekonując, być może słusznie, że przygotowują one do nieistniejących jeszcze zawodów. Przykładem niech tu będzie Akademia Górniczo-Hutnicza, która zwiększyła limity przyjęć o ok. 10 proc., czyli o 700 miejsc w porównaniu z rekrutacją ubiegłoroczną.
Nowe kierunki to: inżynieria wzornictwa i jubilerstwo, computer science for embedded systems, space engineering, geology of natural resources, edukacja matematyczna.

eprasa.pl 0ca0981d75

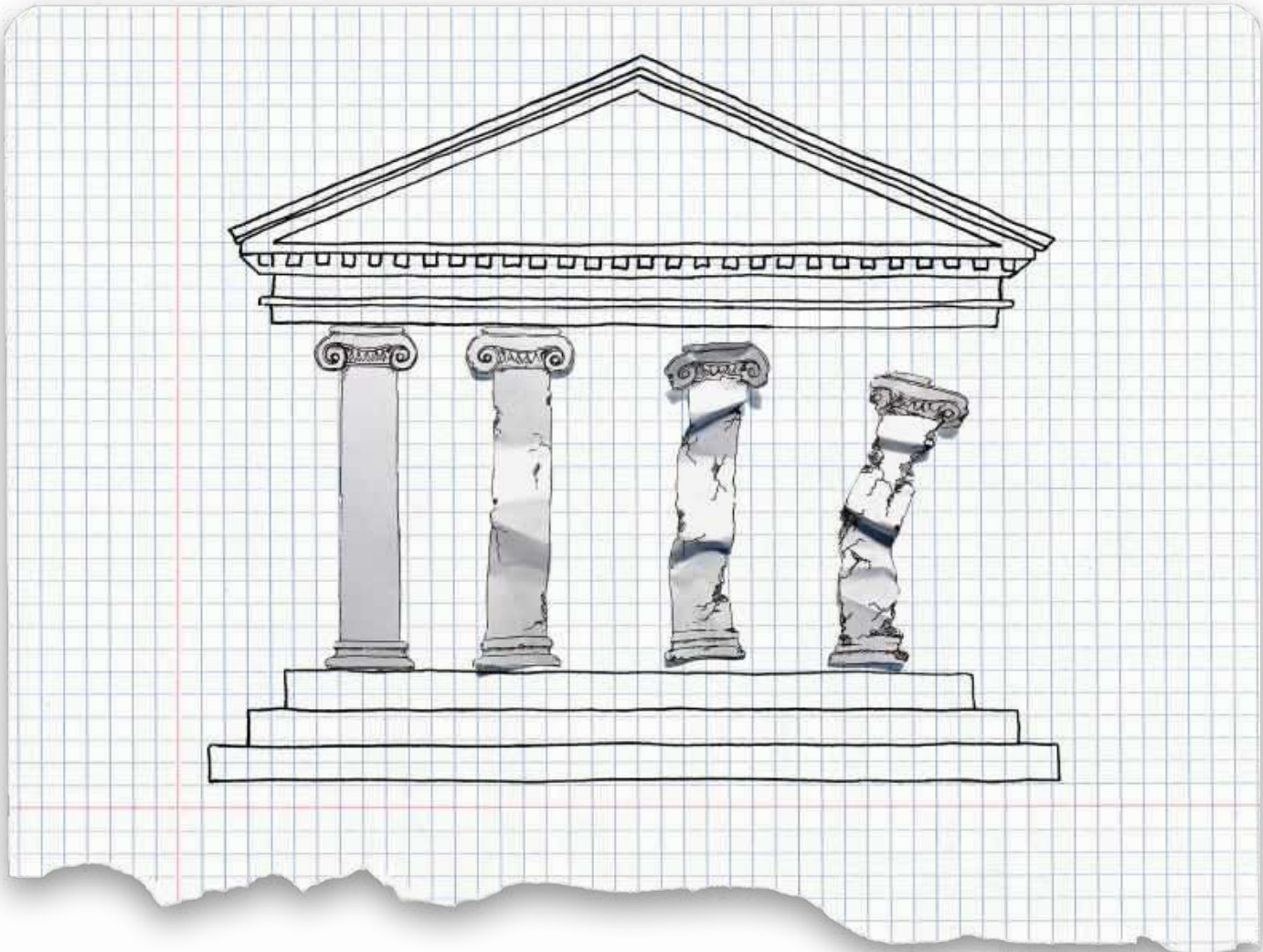

▶ ograniczana przez – łagodnie mówiąc – złożoność algorytmu. Przykład: wzór na obliczanie składnika studenckiego na załączonej ilustracji.

Prof. X w trakcie swojej dydaktycznej przygody zwątpił w to, w co zapewne wierzyła lewicowa czy liberalna część naszego społeczeństwa przez kilkadziesiąt ostatnich lat. W oświeceniowy aksjomat, że awans intelektualny ogromnej części społeczeństwa przyniesie postęp w każdym względzie – od ekonomicznego po moralny. Jego zdaniem pęka w zderzeniu z realiami cywilizacyjnymi.

To truizm: studiowanie, zwłaszcza nauk społecznych, polega na czytaniu. Słuchaniu, notowaniu – owszem, ale głównie na przemierzaniu wzrokiem i umysłem tysięcy stron druku. Dziś, powiada X, większość młodzieży po prostu nie czyta. Nie zna tej czynności jako nawyku czy choćby sposobu na zabicie nudy – gry są znacznie ciekawsze, angażujące emocjonalnie. Zderzenie z tekstem 15-stronicowym większość traktuje jak zagrożenie życia, a przynajmniej dobrostanu. Wielu nie potrafi obsłużyć się samodzielnie w bibliotece, oczekuje podsunięcia lektury pod nos w pliku PDF (płaci, to wymaga). Analiza tekstu dłuższego niż kilka akapitów sprawia trudność nie do przeskoczenia. PDF wrzuca się do AI, żeby zrobiła streszczenie – student jest przekonany, że wie, o co chodzi; nie zdaje sobie sprawy, że obcuje z uproszczeniami, a czasem przeinaczeniami. Prof. X mówi, że to wszystko nie jest krytyką, ale obserwacją. Takie przyszły czasy i trudno się na nie obrażać. Ani na samych studentów.

Anegdota 3. Profesor zadaje studentce rutynowe pytanie, czy zapoznała się z lekturą. Odpowiada szczerze i – jak pewnie uważa – racjonalnie: „Próbowałam, ale po trzech stronach odpadłam, to strasznie mnie znudziło”.

Defekty efektów

Dziś z powodu niżu demograficznego i opisywanej gry algorytmem krucha gałąź, na której siedziało szkolnictwo wyższe, usycha. Wpływy z czesnego to zaledwie 7 proc. budżetu szkół publicznych. Jeszcze gorzej jest z pieniędzmi z grantów i badań zleconych – 4,5 proc. Ponad 70 proc. ich przychodów pochodzi z państwowej kasy.

Jedyne, co nie usycha, to biurokratyczne monstrum. Karmi się ono regulacjami prawnymi, również tymi na poziomie UE. Tzw. proces boloński (deklaracja podpisana w 1999 r.), który w zamyśle miał ujednolicić szkolnictwo wyższe w stowarzyszonych krajach, zaowocował licznymi efektami ubocznymi. Dziś potężne wątpliwości budzi wprowadzenie trzystopniowego systemu, obejmującego studia licencjackie, magisterskie i doktoranckie, choćby dlatego, że studenci po licencjacie w jednej dziedzinie idą – na zasadzie prób i błędów – na coś zupełnie innego; w rezultacie nie są wystarczająco dokształceni w żadnej dziedzinie.

eprasa.pl 0ca0981d75

Niebywałej biurokratycznej mitręgi dostarcza system ECTS (European Credit Transfer Scores), który w założeniu miał zapewnić wzajemne uznawanie przez stowarzyszone kraje zdobytych przez studentów kwalifikacji na rozmaitych uczelniach.

Tajemnicą poliszynela jest, że w ogromnej mierze to rzeczywistość papierowa; wpisuje się, co trzeba, w kwity, które muszą być w porządku, zwłaszcza gdy nadchodzi nalot Państwowej Komisji Akredytacyjnej, teoretycznie kontrolującej jakość kształcenia, a w praktyce często sprawdzającej wyłącznie jakość kwitów.

Dowolność przechodzenia ze studiów na studia powoduje, że pojawia się coraz więcej egzotycznych programów magisterskich, niepowiązanych ze studiami na poziomie licencjackim, swoistych hybryd. Prof. X pracował na takiej hybrydzie. Trochę teorii mediów, elementy sztuki rzetelnej informacji (i manipulacji), próba wprowadzenia podstaw rzemiosła dziennikarskiego. Zarysy, wstępy, trochę tego, trochę owego. Niewiele to ma wspólnego z wykształceniem akademickim. Najdziwniejsze, że takie kierunki biją dziś rekordy popularności wśród studentów. Media tradycyjne – prasa, radio, telewizja są zagrożone, nie istnieje model biznesowy, który dałby im sukces w rywalizacji z gigantami cyfrowymi, a 12 proc. polskich studentów szykuje się do zawodu dziennikarza (rekord – 30 proc. bije psychologia; jak można się domyślać, w nadziei na zdobycie zawodu psychoterapeuty). Adepci dziennikarstwa najczęściej w czasie rozmów kwalifikacyjnych na ogół nie mogą się pochwalić elementarną choćby orientacją w krajowym rynku medialnym.

Anegdota 4. X, omawiając jakieś aktualne zdarzenie natury politycznej czy społecznej, pyta swych studentów, skąd TO wiedzą – jakim kanałem dotarła do nich dana informacja czy opinia. Główna odpowiedź: platforma społecznościowa. A może jednak jakaś gazeta? *Nie pamiętam, może „Gazeta Wyborcza", może „Polska", a to nie wszystko jedno?*

Rozpieszczeni czy rozgoryczeni

Klęska nie dotyczy absolutnie wszystkich uczelni i wszystkich kierunków. Ale na społecznych i niektórych humanistycznych (uczy się tam prawie połowa wszystkich polskich studentów) jest na tyle czytelna i powszechna, że bez ryzyka przesady można mówić o załamaniu systemu wyższej edukacji w Polsce. Studiowanie staje się fikcją, wykładanie oraz egzaminowanie – symulacją, a czasem niemal kpiną z powagi czegoś, co było kiedyś akademią, a powoli przekształciło się w instytucję zarobkową.

Są tacy, którzy sedno problemu widzą w młodym pokoleniu (np. prof. X). Twierdzą, że brakuje mu cierpliwości, gotowości do wysiłku, ba, do pracy w ogóle. Wydaje się ono mniej niż poprzednie odporne na krytykę i stres, za to bardziej roszczeniowe. Jest, jak to określa X, ofiarą swoistej kultury terapeutycznej. A ponadto, powiadają krytycy młodych, trzeba rozstać się z mitem, że da się wykształcić na poziomie wyższym połowę, albo i więcej społeczeństwa. Po prostu, genetyka robi swoje, tu się nic szybko nie zmienia i niewykluczone, że może tylko 10 proc., a może nawet mniej spośród nas ma predyspozycje do rzetelnej nauki na poziomie wyższym.

Ale są wśród dydaktyków uniwersyteckich i tacy, np. prof. Giza, którzy z tą opinią fundamentalnie się nie zgadzają. Młodzież, twierdzą, w niczym nie ustępuje potencjałem swoim przodkom; przeciwnie – jest znacznie bardziej otrzaskana w świecie, zna języki, ma mnóstwo kompetencji, choćby tych cyfrowych, w których starsi im nie dorównują. To, co oferuje państwo i społeczeństwo, m.in. opisaną tu grę pozorów, często nie dorasta do ich ambicji i potencjałów. Nie są rozpieszczeni – tylko coraz bardziej rozgoryczeni.

Są inteligentni, więc zmuszeni do udziału w owej grze pozorów, zaprzęgają do roboty sztuczną inteligencję. Można odnieść wrażenie, że to już kompletnie podważy prawdziwość czegoś nazywanego wciąż wyższym wykształceniem.

Anegdota 5. Prof. X dostał niedawno tasiemcowego esemesa od kolegi po fachu: Jak dziś wygląda promowanie prac dyplomowych na uczelni komercyjnej. 1. Student przynosi (nie każdy, ale jakieś 80 proc.) wygenerowany przez AI temat pracy. Spędzamy godziny, by go poprawić, a także dowiedzieć się, czy student tematem jest zainteresowany i czy ma szansę napisać na ten temat pracę. 2. Student przynosi wygenerowaną przez AI bibliografię. Spędzamy godziny... (jw.). 3. Student przynosi wygenerowany przez AI plan pracy. Spędzamy godziny... 4. Student przynosi wygenerowany przez AI pierwszy rozdział. Godziny... 5. Student przynosi wygenerowany przez AI drugi rozdział. I tak dalej aż do zwykle pomyślnej obrony, a jeśli promotor jest „nieracjonalny" – do dyscyplinującej rozmowy promotora z rektorem, i również pomyślnej obrony.

Anegdota 5a. Prof. Anna Giza brała niedawno udział w dyskusji z przedstawicielami władz na temat zagrożeń, jakie dla szkolnictwa niesie AI, i ewentualnych kroków prawnych, by zapobiec nadużyciom. Zabrali tam głos również studenci. Zadali trzy pytania. Co mówi o poziomie polskich uczelni fakt, że sztuczna inteligencja jest w stanie wygenerować pracę dyplomową? Co mówi o starszym pokoleniu fakt, że wszystkich studentów posądza się o skłonność do oszustwa? Co mówi o władzy fakt, że na problem znajduje jedno rozwiązanie: restrykcyjne prawo, które czegoś zabrania, i wierzy, że wszyscy to prawo będą stosować?

Na koniec pozostawmy inteligencji czytelników odpowiedź na pytanie: czy do takiego systemu warto i należy wrzucić jeszcze 2 proc. PKB? Rozpacz bierze, że naukowcy, zwłaszcza młodzi, zupełnie jak 30 lat temu – znów biedują, a ci wybitni jadą za granicę. Ale któż inny jak nie oni poskromi orwellowskie monstrum. Potrzeba do tego ich inteligencji, a niechby nawet przy wsparciu tej sztucznej. Od wychodzenia na ulicę trzeba by przejść do stopniowej, prawdziwej racjonalizacji całego systemu.

EWA WILK

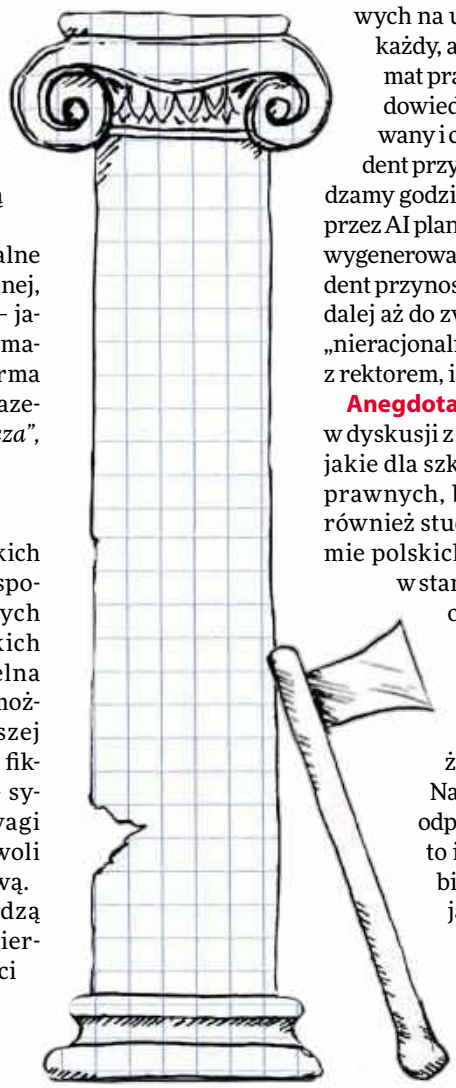

ILUSTRACJE **ADELA PODGÓRSKA**

eprasa.pl 0ca0981d75

Polska jest najciekawsza

Politolog Iwan Krastew uważa, że PiS przypomina Likud, a Viktor Orbán – Fidela Castro. I przekonuje, że cała Europa powinna się bać o samopoczucie Niemców.

Iwan Krastew (rocznik 1965) – bułgarski politolog, historyk idei, od lat związany z Instytutem Nauk o Człowieku w Wiedniu (IWM). Jest przewodniczącym sofijskiego Centrum Strategii Liberalnych, członkiem założycielem Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR). Regularnie publikuje m.in. w „The Financial Times", „Foreign Policy", „The Guardian" i Project Syndicate.

© FABIAN WEISS/LAIF/FORUM

eprasa.pl 0ca0981d75

MATEUSZ MAZZINI: **– Był pan zaskoczony rozmiarami zwycięstwa Pétera Magyara na Węgrzech?**

IWAN KRASTEW: – Wiedziałem, że Viktor Orbán przegra, choć nie sądziłem, że tak bardzo. Większość konstytucyjna dla opozycji to jednak niespodzianka. Ale lata obserwacji europejskiej polityki nauczyły mnie, że jeśli już duża część społeczeństwa decyduje się zmienić zdanie, to ta zmiana ma naturę radykalną. Zwłaszcza w kraju takim jak Węgry, gdzie Orbán sprawował władzę nieprzerwanie przez 16 lat. Wiedziałem też, że nieznaczna wygrana opozycji będzie gorszym scenariuszem niż kolejna kadencja Orbána.

Dlaczego?

Orbán przejął wszystkie niezależne instytucje, trafili tam jego ludzie. Ale dzięki temu opozycja mogła pokazać wyborcom, że państwo jest jednopartyjne. Trudno to porównywać do polskiego scenariusza, chociaż wielu ludzi to robi – w Polsce populiści nigdy nie mieli tak niekwestionowanej władzy jak na Węgrzech. Orbán i jego ludzie zainwestowali olbrzymie pieniądze w budowanie reżimu opartego na silnych i osobistych powiązaniach. Dlatego ta nowa większość konstytucyjna jest taka ważna – bo daje narzędzia i impet do zmiany na wszystkich poziomach.

Kiedy uznał pan, że tak głęboka zmiana będzie możliwa?

Sondaże od dawna wskazywały, że Orbán przegra. Ale ta prognoza wynikała też z innych badań socjologicznych – w elektoracie coś pękło, niemal każdy chciał zmiany. Tymczasem większość węgierskich rozmówców jeszcze na chwilę przed wyborami przekonywała mnie, że wynik stoi na ostrzu noża. Nagle przestali mówić o opozycji i zaczęli przekonywać, że możliwy jest triumf Orbána.

Czy to zaskakujące? Sondaże w ostatnich latach regularnie nie doceniały populistów.

Zgadza się. Dlaczego jednak przestaliśmy ufać nie tylko twardym danym, ale też własnym obserwacjom? Sygnały o możliwym zwycięstwie Magyara płynęły nie tylko z sondaży politycznych, ale również z badań nastrojów społecznych. Każdy, kto podróżował po Węgrzech przed wyborami, musiał odczuć nadchodzącą zmianę. Ale nawet ludzie doskonale znający własne społeczeństwo byli gotowi podważyć empiryczne obserwacje.

Innym niezrozumiałym zjawiskiem było wyniesienie węgierskich wyborów do rangi wydarzenia o znaczeniu globalnym, głównie przez zagraniczne media.

Polacy się do tego akurat dołożyli. Sam, będąc w Budapeszcie na wyborach, naliczyłem 36 dziennikarzy i członków ekip mediowych z Warszawy.

Akurat w waszym przypadku to mnie nie zaskakuje. Ale proszę spojrzeć na relacje z węgierskich wyborów w amerykańskich mediach – one poświęcały Budapesztowi tak dużo miejsca, jakby to były francuskie wybory prezydenckie, a nie głosowanie w małym kraju w środku Europy.

Przyczyną był oczywiście Orbán, który dla światowej populistycznej prawicy stał się tym samym, kim dla antyamerykańskiej lewicy czasów zimnej wojny był Fidel Castro. W obu historiach chodzi o mały kraj, który zawładnął wyobraźnią dużej części ludzkości. Ludzie nie wiedzieli dokładnie, na czym polega węgierska polityka wewnętrzna, tak samo jak nie do końca rozumieli przyczyny, przebieg i skutki rewolucji kubańskiej, ale i tak się tym emocjonowali, bo obie historie urosły do rangi globalnych symboli ideologicznych. Nie mówiąc o tym, że zarówno Hawana, jak i Budapeszt stały się awatarami supermocarstw chcących kreować politykę na drugim końcu planety.

Co to dało Orbánowi?

Doszedł do wniosku, że może grać na trzech frontach. Co innego oferował Rosjanom, co innego Chińczykom, co innego Amerykanom z MAGA. Zwłaszcza zaangażowanie amerykańskiej administracji było ogromne. Donald Trump do Budapesztu nie dotarł, ale był tam Marco Rubio, potem J.D. Vance. Im bliżej było wyborów, tym poparcie Amerykanów dla Orbána rosło. A przecież znali sondaże. Walczyli, jakby nie byli w stanie się już od Orbána odkleić.

Dlaczego?

Orbánowi udało się przekonać Amerykanów, że Europa jest po prostu o jeden cykl wyborczy za USA. Cokolwiek dzieje się za oceanem, w sposób nieuchronny musi wydarzyć się też u nas, tylko z opóźnieniem. Orbán urobił sobie ludzi z MAGA, wmawiając im, że przez świat przetacza się właśnie polityczna rewolucja. Przesądzone miały być już wyniki wyborów we Francji, w Hiszpanii, w Wielkiej Brytanii. Dlatego Amerykanie tak bronili Orbána, pierwszego żołnierza tej rewolucji – on po prostu nie mógł przegrać.

Rosjanie patrzyli na to inaczej.

Dla nich Orbán był ważny, bo niszczył unijną jedność w sprawie pomocy dla Ukrainy. Nie dlatego, że ma takie czy inne poglądy na temat wojny – bez trudu można znaleźć innych przywódców, którzy nie są skorzy do wspierania Kijowa. Orbán miał jednak odwagę wszystko wetować. Stał się więc naturalnym kandydatem do roli lidera antyukraińskiej koalicji, na której wyhodowanie liczyli Rosjanie.

I wciąż uważa pan, że międzynarodowe znaczenie węgierskich wyborów było wyolbrzymione?

Tak. Na Węgrzech mieliśmy do czynienia z wyborczym buntem przeciwko status quo. Orbán rządził 16 lat, ta władza się zużyła, więc ludzie chcieli zmiany. I tyle. Podobna dynamika pojawiła się teraz w Albanii przeciwko Ediemu Ramie (więcej na s. 53) czy w Serbii, gdzie rezygnację zapowiedział Aleksandar Vučić. Węgierskie wybory były ważne, bo Magyar ma teraz narzędzia do zniszczenia sporej części tej skrajnie prawicowej infrastruktury politycznej, którą Orbán stworzył za olbrzymie pieniądze: think tanków, fundacji, centrów kultury. Ale to nie oznacza, że europejski ruch populistycznej prawicy osiągnął już swój szczyt.

W takim razie co Węgry mówią o polskich wyborach 2027 r.?

Polska dynamika polityczna jest nawet ciekawsza od francuskiej, włoskiej czy hiszpańskiej, czyli pozostałych krajów, w których odbędą się w przyszłym roku wybory. Ten rok będzie zresztą kluczowy dla losów całej Europy. A Polska jest ciekawa, bo opiera się niektórym europejskim trendom. Dwa główne obozy polityczne od lat utrzymują podobne poparcie. Z jednej strony jest obóz liberalny, całkowicie skonsolidowany przez Donalda Tuska, który nie tylko ma nad nim całkowitą władzę, ale któremu udało się też odzyskać część wyborców utraconych po wyjeździe do Brukseli. Z drugiej strony na polskiej prawicy dzieje się coś odwrotnego – nie konsolidacja, ale podział.

Skupmy się więc na prawicy.

Polska prawica zaczyna przypominać prawicę izraelską. Centralną rolę odgrywa w niej PiS, partia dość tradycyjna ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ i należąca do głównego nurtu. Tak samo sytuował się przez długie lata Likud – ma doświadczenie w zarządzaniu instytucjami, część sukcesu gospodarczego Izraela jest też jego dziełem – tak samo PiS ma swój udział w polskim sukcesie. Ale dalej na prawo pojawiają się nowi i nieoczywiści gracze.

Konfederacja z jednej strony ma rys nacjonalistyczny, z drugiej – stawia na przekaz stricte gospodarczy, materialny. A potem jest Braun, całkowite ekstremum. Nie uważam, że on jest jakąś nowością, moim zdaniem taki rodzaj prawicy zawsze istniał w polskim społeczeństwie, tylko nigdy nie miał tak dużej reprezentacji politycznej. Braun i jego formacja nie znikną – bez względu na to, kto wygra kolejne wybory.

Dlaczego?

Prawica głównego nurtu będzie go potrzebować, żeby rządzić – bez niego zabraknie jej mandatów. I wtedy Jarosław Kaczyński znajdzie się w sytuacji, w której od dłuższego czasu jest Beniamin Netanjahu. Nie wierzę, że Netanjahu popiera wszystkie postulaty osadników na Zachodnim Brzegu Jordanu, ale musi żyrować ich działania, bo tylko koalicja z ekstremistami pozwala mu rządzić. W podobnej sytuacji będzie PiS po wyborach w 2027 r.

Marsz skrajnej prawicy będzie trwał?

Przekonanie, że skrajną prawicę można wiecznie trzymać z dala od rządów, jest absurdalne. Nasze demokracje przechodzą transformację dużo głębszą niż wymiana kolejnych partii u władzy. Niektóre warunki brzegowe dla istnienia demokracji liberalnych, jak stabilna sytuacja demograficzna, wzrost gospodarczy, pokój i relatywnie powolne zmiany technologiczne, po prostu przestały już istnieć. A od kiedy Trump wrócił do władzy, pojawiły się dwa nowe trendy.

Po pierwsze, stare partie głównego nurtu w Europie poszły w kierunku suwerenistycznym, widać to nawet w Polsce. Częściowo wymusiła to wojna w Ukrainie, częściowo sytuacja migracyjna w Europie, a częściowo – reakcja na działania Amerykanów. W tę stronę poszedł Friedrich Merz w Niemczech. Nawet Emmanuel Macron, postrzegany jako główny europejski liberał i obrońca powojennego porządku, stał się suwerenistą, choć ludzie tego nie dostrzegają, bo są zbyt skupieni na jego osobowości.

A drugi trend?

Jest nim zmiana nastawienia niektórych partii skrajnie prawicowych do Unii Europejskiej. Jeszcze niedawno każda z nich była maksymalnie suwerenistyczna, często domagały się wyjścia z Unii. Ale w wyniku sytuacji z Trumpem te same partie zaczęły promować ideę globalnej rewolucji konserwatywnej, prawicowej międzynarodówki. A potem nastąpiło zderzenie z rzeczywistością. Część ich przywódców zorientowała się, że w takiej międzynarodówce ich relatywnie małe państwa stracą jakiekolwiek znaczenie. Dlatego nikt już nie mówi o wychodzeniu z Unii – nawet nacjonaliści tacy jak Giorgia Meloni czy Jordan Bardella chcą w niej zostać, żeby ją zmieniać od środka.

Podobnie zmienia się nastawienie do migracji.

Właśnie. Wystarczy wyjść poza retorykę partyjną, tweety czy wywiady, a okaże się, że większość dużych europejskich partii niczym się w tej sprawie nie różni. Inny przykład to Zielony Ład – niby wszyscy go krytykują, ale po wojnie w Iranie wiadomo, że nikt nie wycofa poparcia dla inwestycji w odnawialne źródła energii. Bo nie mówimy już o kwestiach klimatycznych, obowiązkach moralnych, ale o energii jako elemencie bezpieczeństwa narodowego. Dodatkowo, w tym obszarze są do zarobienia olbrzymie pieniądze.

Obronność to kolejny przypadek.

W Europie są dwie grupy ludzi, które popierają większe wydatki na zbrojenia. Pierwszą są politycy i wyborcy suwerenistycznej prawicy. Wierzą, że w ten sposób uda się udobruchać Trumpa i utrzymać amerykańskie zaangażowanie militarne w Europie. Druga grupa to krytycy Trumpa, liberałowie i centrolewica, uważający, że dzięki zbrojeniom Europa stanie się bardziej niezależna od Ameryki. O ile więc na poziomie retorycznym panuje gorący spór, o tyle już na poziomie działań obowiązuje niemal całkowity konsens.

Co się stanie z tym układem, jeśli Trump przegra jesienne wybory do Kongresu?

Europejska skrajna prawica zacznie się dystansować od Ameryki. I wtedy pojawi się szansa na szeroki dialog w europejskiej polityce. Nie tylko na poziomie intelektualnym, ale także wyborczym. Zwłaszcza że zaraz po amerykańskich wyborach zacznie się sezon wyborczy w Europie. I tu znów wracamy do kluczowych dla kontynentu wyborów w Polsce.

Dlaczego one będą kluczowe?

Polska zbroi się najszybciej w Europie i jednocześnie ma wszczepione dwa historyczne bezpieczniki o fundamentalnym znaczeniu dla kontynentu. Po pierwsze, jesteście bardzo czuli na rosyjski imperializm. Po drugie, nawet jeśli doceniacie niemieckie zbrojenia, to jednak macie świadomość, że muszą być one zakorzenione w strukturach europejskich, międzynarodowych, bo z niemiecką armią też macie złe skojarzenia. Polska ma szansę być liderem procesu odnawiania europejskiej obronności, bo po prostu może wprowadzić równowagę pomiędzy skrajnościami.

W przyszłym roku nie tylko w Polsce odbędą się ważne wybory.

Drugie szykują się we Włoszech, bo po porażce Orbána Meloni stanie się w Europie kluczowa dla Trumpa i MAGA. Ona jest naturalną przywódczynią frakcji *soft* na skrajnej prawicy, jednocześnie będąc ważną sojuszniczką Brukseli. Dużo mówi o państwach narodowych, ale też wie, że one samodzielnie niczego nie osiągną.

A Hiszpania?

Premier Pedro Sánchez to polityk szalenie utalentowany, może nawet tak samo jak Orbán. Pod wieloma względami jest zresztą Orbánem, tylko odwróconym. Wziął na sztandar najbardziej polaryzujący temat w europejskiej polityce, czyli migrację, i zagrał przeciwko mainstreamowi – tak samo jak Orbán w kwestii Ukrainy. Jego rząd chce przyznać obywatelstwo 500 tys. nielegalnych imigrantów. Co prawda większość z nich pochodzi z krajów Ameryki Łacińskiej, więc kulturowo nie jest tak odmienna od Hiszpanów, ale to robi wrażenie.

I w końcu Niemcy.

Akurat tam w przyszłym roku wyborów federalnych nie będzie. Ale Niemcy są w znacznie słabszej pozycji niż jeszcze kilka lat temu – i nie są tego nawet do końca świadomi. Niemiecki model gospodarczy gwałtownie się sypie, co ma przełożenie na spadającą jakość usług publicznych. Niemcy nagle odkryli, że żyją w państwie pod wieloma względami dysfunkcjonalnym. To jest szok cywilizacyjny, upadek wizerunku całej nacji, wręcz tożsamości narodowej. Dla Niemców zaczyna się więc czas chaosu, do którego nie są przyzwyczajeni. Nie wiedzą, jak się zachować, gdy pociągi nie jeżdżą na czas, kiedy brakuje lekarzy, nie można załatwić podstawowych rzeczy w urzędach. O Niemców trzeba się bać.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl 0ca0981d75

Rzecznicy w tajemnicy

EWA SIEDLECKA

Rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek kończy kadencję. Zastąpi go zapewne Sylwia Gregorczyk-Abram. Po akademickiej ostrożności – aktywistyczna przebojowość. Szkoda tylko, że kandydatów wyłaniano bez udziału opinii publicznej.

Marcin Wiącek rozpoczynał kadencję jako nieznany szerzej profesor prawa. Działał w zaciszu gabinetu, ale jednoznacznie wypowiadał się w sprawie łamania prawa przez oba rządy: PiS i Koalicji.

© MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

Marcin Wiącek został wybrany na rzecznika po 10-miesięcznym pacie. Rządzące wówczas Prawo i Sprawiedliwość było zmuszone do kompromisu z opozycją z braku większości w Senacie, który zatwierdza wybór RPO dokonany przez Sejm. Obecna koalicja rządząca ma przewagę i w Sejmie, i w Senacie. Wybór padł na Sylwię Gregorczyk-Abram, brawurową działaczkę Wolnych Sądów walczących z pisowską reformą zmierzającą do upolitycznienia sądownictwa. A więc nie jest to kandydatura kompromisowa. A przede wszystkim nie była publicznie przedyskutowana.

Na obie nogi

Marcin Wiącek, gdy rozpoczynał kadencję, był nieznanym szerzej profesorem prawa z Uniwersytetu Warszawskiego. Zastąpił Adama Bodnara, który przed rzecznikowaniem był prezesem Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, a jako rzecznik stał się symbolem oporu przeciw antypraworządnościowej władzy PiS. Panowała dość powszechna opinia, że Marcin Wiącek nie wejdzie w konfrontację z władzą.

Zaczął fatalnie – od zwolnienia, bez podania powodów, powołanej przez poprzednika zastępczyni RPO Hanny Machińskiej, która zasłynęła odważną obroną praw człowieka pushbackowanych migrantów na polsko-białoruskiej granicy, upominaniem się na komisariatach policji o bezprawnie przetrzymywanych tam demonstrantów czy wizytacjami w więzieniach i ośrodku w Gostyninie. W proteście przeciwko jej zwolnieniu dymisję złożyło kilkunastu doradców RPO, a pod siedzibą Rzecznika demonstrowali w jej obronie przedstawiciele organizacji pozarządowych, opozycji ulicznej i korporacji prawniczych.

Jednak w ciągu pięciu lat kadencji Marcin Wiącek dał dowody zaufania do fachowości urzędników Biura RPO, podpisując proponowane przez nich projekty wystąpień i decyzji, co wpłynęło na postrzeganie jego działań jako kompetentne i bezstronne. Tym bardziej że deklarował, iż urzędy, z którymi wchodzi w polemikę, są dla niego partnerami, a nie przeciwnikami.

O ile Adam Bodnar, którego niemal cała kadencja przypadła na rządy PiS, widoczny był w mediach, wypowiadając się zdecydowanie i jednoznacznie w obronie ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ łamanej praworządności, o tyle Marcin Wiącek działał raczej w zaciszu gabinetu, koncentrując się na napływających do niego skargach, przystępując do postępowań sądowych i wnosząc nadzwyczajne środki odwoławcze w sprawach konkretnych osób.

Nie autoryzował jednak antyprawo-rządnościowych poczynań PiS. Tu przydała się jego akademicka skłonność do analizy kosztem syntezy. Na trudne politycznie (ale też prawnie) tematy wypowiadał się wieloaspektowo i niezbyt konkluzywnie. Na przykład w sprawie neosędziów: „Z prawnego punktu widzenia to nie jest tak, że jeżeli istnieją wątpliwości dotyczące procedury powołania określonej osoby na określoną funkcję, to nawet jeżeli te wątpliwości są uzasadnione, to osoba nielegalnie pełni tę funkcję. To jest uproszczenie problemu".

Podobnie „okrągło" wyglądało stanowisko w sprawie sporu, czy rację miał prokurator generalny Adam Bodnar, uznając, że Dariusz Barski został nieskutecznie przywrócony do czynnej służby przez Zbigniewa Ziobrę, a w związku z tym, czy powołany w jego miejsce na prokuratora krajowego Dariusz Korneluk pełni tę funkcję legalnie. A także w sprawie wywołania skutków prawnych przez opublikowane w Dzienniku Ustaw orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego wydane w składzie z dublerem. „Czym innym jest, według siatki pojęciowej nauk prawnych, nieprawidłowość umocowania organu władzy publicznej (...) a czym innym – nieistnienie organu czy nieistnienie rozstrzygnięć podejmowanych przez ten organ".

Ale potrafił też wypowiadać się zdecydowanie. Na przykład: „Nie ma podstaw prawnych do tego, żeby nie publikować orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego" – to à propos niepublikowania od 2023 r. wyroków TK przez premiera Donalda Tuska. Zdecydowany był też w wystąpieniu do Komendanta Głównego Policji z września 2021 r. w sprawie działań wobec demonstrantów, w którym stwierdza, że policja, przynajmniej w Warszawie, bezzasadnie zatrzymuje uczestników protestów, naruszając ich wolność, i godzi w ich chronioną konstytucją godność osobistą. Zauważa też, że zwierzchnicy policjantów starają się chronić funkcjonariuszy przed odpowiedzialnością dyscyplinarną za naruszenia prawa potwierdzone prawomocnymi orzeczeniami sądów.

Jednoznacznie wypowiadał się w sprawie łamania przez oba rządy: PiS i Koalicji, praw człowieka wobec migrantów na granicy białoruskiej. I wobec zawieszenia prawa do azylu przez obecną władzę: „Prawo azylowe, tak jak każde inne prawo konstytucyjne, można tylko ograniczać, a nie można go wyłączyć (...). Ta ustawa nie powinna wejść w życie". Podobnie zdecydowanie wyraził się w bardzo politycznej sprawie odwołania 19 grudnia 2023 r. przez ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza prezesów Polskiego Radia, TVP i PAP i powołania nowych rad nadzorczych tych spółek, stwierdzając, że na gruncie konstytucji taka decyzja członka władzy politycznej jest niedopuszczalna. I wskazał, że w decyzjach takich uczestniczyć powinna Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, której trzeba ustawowo przywrócić tę kompetencję.

Ostatnio zaś zdecydowanie wypowiedział się na temat rejestracji w Polsce małżeństw zawartych za granicą przez osoby tej samej płci: „Polska musi uznawać więzi rodzinne sformalizowane w innych państwach członkowskich. Fakt jest taki, że w ramach Unii Europejskiej mamy wspólnotę państw. Ta wspólnota państw na coś się umówiła. Umówiła się m.in. na to, że jeżeli jest związek osób tworzących rodzinę w jednym państwie, to będzie ten związek osób uznawany za rodzinę w każdym państwie UE" (wypowiedź po wyroku NSA wykonującym wyrok TSUE w tej sprawie).

Tak więc w zgodnej opinii naszych rozmówców z kręgów prawniczych i pozarządowych prof. Marcin Wiącek spokojnie i bez fajerwerków przyzwoicie robił, co do niego należało. Zdecydował, że nie będzie ubiegać się o drugą kadencję, ale realnie i tak nie miał szans, bo Koalicja Obywatelska, która ma w tej sprawie wszystkie karty, miała już swoją kandydatkę.

Niezależna, ale od kogo?

Czekając do ostatniego możliwego terminu (23 czerwca), partie zrzeszone w KO jako kandydatkę na RPO zgłosiły Sylwię Gregorczyk-Abram – adwokatkę, współzałożycielkę Wolnych Sądów i przewodniczącą rządowej komisji „do spraw wyjaśnienia mechanizmów represji wobec organizacji społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015–23". Kluby PSL, Polski 2050 i ugrupowania Pauliny Hennig-Kloski kandydatów nie zgłosiły, ale zapewne zagłosują za kandydatką KO. Prawo i Sprawiedliwość zgłosiło zaś Adama Borowskiego: działacza podziemnej opozycji PRL, niedoszłego posła z ramienia PiS, przewodniczącego warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej", członka zarządu Stowarzyszenia Wolnego Słowa i członka komitetu wspierającego kandydaturę Karola Nawrockiego na prezydenta RP.

Gołym okiem widać, że trudno go uznać za kandydaturę apolityczną. Kłopot z tym niewielki, bo – z uwagi na sejmową arytmetykę – i tak nie ma szans na wybór. Według prawa: „Rzecznikiem może być obywatel polski wyróżniający się wiedzą prawniczą, doświadczeniem zawodowym oraz wysokim autorytetem ze względu na swe walory moralne i wrażliwość społeczną". A więc kandydat powinien mieć wszystkie te cechy. Tymczasem Adam Borowski, przy całym swoim niezłomnym życiorysie z czasów PRL-owskiej opozycji, w żaden sposób wiedzą prawniczą się nie wyróżnił. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że prawo nie wymaga, aby RPO miał prawnicze wykształcenie.

W wiedzę prawniczą Sylwii Gregorczyk-Abram nie ma powodu wątpić. Pokazała ją w czasie walki o wolne od politycznego zwierzchnictwa sądy przez osiem lat rządów PiS, m.in. broniąc pro bono prześladowanych sędziów, kierując sprawy do międzynarodowych trybunałów i występując przed nimi. Ma też cechy osobowości: przebojowość, odwagę, upór, które z pewnością będą potrzebne, jeśli okaże się, że – jak Adamowi Bodnarowi – przyjdzie jej sprawować urząd podczas rządów dzisiejszej opozycji.

Jednak padają w stosunku do niej zarzuty braku niezależności od obecnej władzy. Chodzi o jej odpłatną pracę w charakterze przewodniczącej powołanej przez premiera komisji „do spraw wyjaśnienia mechanizmów represji...". W jej ramach zaprezentowano dwa raporty: o wykorzystywaniu mediów publicznych do nagonki na aktywistów opozycji ulicznej i krytyków rządu, w tym sędziów i prokuratorów, i o pozwach SLAP mających odstraszyć od publicznej krytyki władzy. Trzeci – o działaniach policji przeciw opozycji – zapowiadano na kwiecień, ale dotąd się nie ukazał. O publikacji decyduje premier i być może nie robi tego dlatego, że wobec funkcjonariuszy dopuszczających się nadużyć nie wycią-

eprasa.pl 0ca0981d75

gnięto dotychczas żadnych konsekwencji, a o przyczyny dziennikarze mogliby pytać szefa MSWiA, wicepremiera Marcina Kierwińskiego.

Na niezręczność kandydowania na urząd RPO z poręczenia partii rządzącej w sytuacji, gdy pracuje się dla premiera rządu, zwracają uwagę przede wszystkim stawiający rzecznikowi bardzo wysokie wymagania działacze organizacji pozarządowych. A „internety" wyciągają jej pracę w zagranicznej kancelarii prawniczej, gdy ta, działając z pełnomocnictwa ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza, brała udział w przygotowaniu prawnego gruntu pod przejęcie przez ministra mediów publicznych. To właśnie w tej kancelarii powstało pismo procesowe, które ze swoim podpisem prokuratorka Ewa Wrzosek rozesłała do sądów, by powstrzymać przejęcie rad nadzorczych mediów publicznych przez PiS.

Rzecznik etyczny, nie polityczny

Sylwia Gregorczyk-Abram odmówiła nam skomentowania zarzutów o brak apolityczności i w ogóle rozmowy o swojej kandydaturze, deklarując, że wypowie się dopiero podczas publicznego wysłuchania – a więc prawdopodobnie na forum Sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, która będzie opiniować obie kandydatury i zaprosi zapewne na posiedzenie przedstawicieli kilku organizacji pozarządowych z prawem zadawania pytań.

A mogło to być inne, społeczne forum. Miesiąc przed upływem terminu zgłaszania kandydatur inicjatywa Nasz Rzecznik ogłosiła podpisany przez 173 organizacji apel do polityków „W sprawie standardów wyboru RPO" pod hasłem „Wybierzcie Rzecznika etycznie, nie politycznie". Zaproponowano w nim, by przed ostatecznym wskazaniem kandydatów przez partie odbyło się publiczne przesłuchanie osób kandydujących i wybór najlepszej kandydatury. „W dobrze funkcjonującym demokratycznym państwie obywatele i obywatelki muszą widzieć, że mają do czynienia z rzeczywistym wyborem, nie polityczną nominacją, a osoby, które ubiegają się o najwyższe stanowiska, odznaczają się najwyższymi standardami, doświadczeniem i wiedzą" – napisały organizacje w apelu do polityków.

Politycy zrobili po swojemu. Podobnie jak pięć lat temu, gdy inicjatywa Nasz Rzecznik zgłosiła w imieniu ponad tysiąca organizacji pozarządowych Joannę

W wiedzę prawniczą Sylwii Gregorczyk-Abram, adwokatki i aktywistki, nie ma powodu wątpić. Dowiodła jej za rządów PiS. Jednak zarzuca się jej brak niezależności od obecnej władzy.

Rudzińską-Bluszcz jako obywatelską kandydatkę na RPO. Formalnie zgłosiły ją KO i Lewica, ale przepadła głosami PiS. Rzecznika udało się wybrać tylko raz, w 2015 r., gdy ponad 50 organizacji pozarządowych zaapelowało do polityków o wybór Adama Bodnara. Zgłosiły go wtedy PO i SLD. Jak się okazało, było to najlepsze, co mogły zrobić, bo zaraz potem nastąpił atak władzy PiS na państwo prawa, gdzie opoką okazał się właśnie RPO.

Tym razem środowisko organizacji pozarządowych nie widziało osoby, którą mogłoby zgodnie poprzeć. Wystosowano za to apel do polityków o transparentne wybory. Rezultat: kandydatury zgłoszono w ostatniej chwili i są tylko dwie – zgodnie z obowiązującym w polskiej polityce paradygmatem polaryzacji. Wygląda to tak, jakby politycy ukrywali przed obywatelami, kogo chcą wybrać na rzecznika ich praw. Podobnie zresztą jest z kandydaturami na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Trudno nie pomyśleć, że ta tajemnica ma utrudnić debatę o kandydacie. Jeśli chodzi o PiS, nie jest to zaskoczeniem. Jednak Koalicja Obywatelska i osobiście Donald Tusk obiecywali transparentność, powrót do społecznych konsultacji i współpracę z organizacjami społeczeństwa obywatelskiego.

O tym, że to politycy wskazują i wybierają rzecznika, zdecydowano w konstytucji. Jest naturalne, że poszczególne ugrupowania wskazują osoby, których poglądy zbieżne są z ich programem i wartościami. Co nie znaczy, że rzecznik ma być od nich uzależniony. Znaczenie mają cechy charakteru, autorytet w środowisku naukowym prawników, ale liczy się też transparentność wyboru .

Od początku XXI w. organizacje pozarządowe zajmujące się kwestiami praworządności (m.in. INPRIS, Fundacja Helsińska, Fundacja im. Stefana Batorego, Panoptykon) prowadziły monitoring kandydatów na wybieralne urzędy kontrolne. Najpierw dotyczyło to Trybunału Konstytucyjnego, potem RPO, NIK, Urzędu Ochrony Danych Osobowych. Organizacje przygotowywały dossier kandydata/tki, posyłały im ankiety do wypełnienia, zapraszały – z różnym skutkiem – na organizowane przez siebie publiczne wysłuchanie. Tak zebrany materiał nieraz pokazywał drastyczne różnice kompetencji lub/i poglądów kandydatów i pomagał wyrobić sobie zdanie o ich przydatności na dany urząd. W przypadku TK bywało, że po takiej publicznej lustracji partie wycofywały się z poparcia dla danej osoby.

Od niedawna organizacje w porozumieniu z marszałkami obu izb organizują przesłuchania w parlamencie. W 2025 r. odbyło się takie przesłuchanie kandydatów na urząd szefa Krajowego Biura Wyborczego, potem na prezesa NIK, a w 2024 r. – na urząd Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych.

W tym roku najwyraźniej nie ma na co liczyć, poza wspomnianą możliwością zadawania pytań już zgłoszonym kandydatom na posiedzeniu sejmowej komisji Sprawiedliwości. Jednak inicjatywa Nasz Rzecznik na początku lipca organizuje zdalne spotkania z Sylwią Gregorczyk-Abram i Adamem Borowskim. Będą to sesje tematyczne: prawa kobiet, dzieci, migrantów, osób LGBT+, osób z niepełnosprawnościami, o zdrowiu, edukacji, ochronie środowiska. Osoby, które się wcześniej zarejestrują, będą mogły zadawać pytania. Relacje ze spotkań znajdą się na stronie internetowej naszrzecznik.pl. Będzie to rodzaj depozytu zobowiązań, które wobec społeczeństwa zaciągną kandydaci.

EWA SIEDLECKA

© MACIEJ ZIENKIEWICZ/FORUM

eprasa.pl 0ca0981d75

Plakaty powieszone we Lwowie w 2013 r. informujące w językach ukraińskim, angielskim i polskim m.in. o tym, że Polacy w latach 1944–47 wspólnie z władzą radziecką deportowali z etnicznych ziem ukraińskich ponad 600 tys. Ukraińców

Rachunki krzywd

W czym Polacy i Ukraińcy się zgadzają, patrząc na swoją historię, a w czym nie mogą się porozumieć i dlaczego tkwimy w ślepej uliczce, opowiada prof. Tomasz Stryjek.

EDWIN BENDYK: **– Żyjemy emocjami wywołanymi przez Wołodymyra Zełenskiego, który nazwał jeden z oddziałów wojskowych imieniem Bohaterów Ukraińskiej Powstańczej Armii. Odpowiedź Karola Nawrockiego – odebranie Orderu Orła Białego – emocje podkręciła. Poprzednią awanturę w sierpniu 2024 r. wywołały słowa ówczesnego ministra spraw zagranicznych Ukrainy Dmytra Kułeby, który ofiary akcji Wisła, czyli Ukraińców i Łemków, przymusowo przesiedlonych z południowo-wschodniej powojennej Polski, przedstawił jako deportowanych z terytoriów ukraińskich. Niektórzy komentatorzy słowa te odczytali jako wyraz roszczeń terytorialnych wobec Polski. Czy rzeczywiście powinniśmy się obawiać ukraińskiego rewizjonizmu?**

TOMASZ STRYJEK: – Rewizjonizmu i sporu o granice z Ukrainą nie musimy się obawiać, nie znam żadnych środowisk politycznych podnoszących taki pomysł i nie widziałem takich tendencji po 1991 r. Powinniśmy natomiast pamiętać, że Ukraińcy posługują się pojęciem ukraińskich ziem etnicznych, i o to chodziło Kułebie. Drogi rozwoju narodów polskiego i ukraińskiego oraz obu państw się różniły. Ziemie etnicznie polskie znajdują się dziś w całości w obrębie państwa polskiego, które w granicach zbliżonych do współczesnych wkroczyło na arenę dziejową już w X w.

Nazwa Ukraina pojawiła się po raz pierwszy w przestrzeni historycznej w XII w., a pojęcie to obejmowało ziemie w rejonie Kijowa i rozprzestrzeniało się, obejmując coraz szerzej etniczne ziemie ukraińskie, czyli zamieszkane przez ludność o wspólnych

© PAP/DAREK DELMANOWICZ, POLSKA AKADEMIA NAUK

eprasa.pl 0ca0981d75

cechach etnolingwistycznych. Proces ten zakończył się w zasadzie dopiero pod koniec XIX w. Ale dzisiejsze państwo ukraińskie jest spadkobiercą terytorium Ukrainy Radzieckiej i nie obejmuje całości ziemi, jakie historiografia na przełomie XIX i XX w. wyznaczyła jako ukraińskie ziemie etniczne. W związku z tym na mapach używanych przez historyków ukraińskich w odniesieniu do przeszłości cały czas Chełmszczyzna, Nadsanie, Łemkowszczyzna, czyli obszar, na którym przeprowadzono akcję Wisła, opisywany jest tym pojęciem.

Kiedy biorę do rąk np. książkę historyka Wiktora Brechunenki „Historyczne kresy Ukrainy i współczesne granice ukraińskim kosztem", wydaną rok temu, lub gdy słyszę Marsz Nowej Armii, hymn ukraińskiego wojska kończący się słowami o walce o zjednoczoną Ukrainę od Sanu aż po Kaukaz, to nie wyraża się w nich resentyment do Wielkiej Ukrainy?

W Ukrainie dyskurs publiczny o historii jest zbudowany na etnicznej koncepcji narodu. Ukraińcy w odróżnieniu od Polaków przez długi czas nie mieli własnego państwa. Ruś uległa podziałom, a jej historia została później zawłaszczona przez Rosję. W tej narracji Ukraina traktowana jest wyłącznie jako rosyjska prowincja. Powstał więc pomysł, żeby naród ukraiński definiować nie poprzez państwo, ale w oparciu o język, lud i terytorium przez ten lud zamieszkane.

Ukraińcy mają poczucie historycznego niespełnienia i braku uznania z zewnątrz. Płynące z Polski uwagi do ukraińskich narracji historycznych, polityki pamięci – w szczególności w sprawie Wołynia – uznawane są za pouczanie wynikające z poczucia wyższości i braku równorzędnego traktowania.

W takiej sytuacji odwoływanie się do silnych haseł, jak to przywołane z Marszu Nowej Armii, w moim przekonaniu nie wyrażają terytorialnego resentymentu, tylko niezaspokojone poczucie prestiżu narodowego. To nie Polska jest traktowana jako główny sprawca deficytu, lecz Rosja. Z tym że my natarczywym dyscyplinowaniem Ukraińców zaczynamy potwierdzać ukraińskie przekonanie, że do rosyjskiego starszego brata dołączył polski i wyniośle poucza. Wchodząc w tę rolę, weszliśmy w ślepą uliczkę.

To może spróbujmy poszukać z niej wyjścia, uciekając głębiej w historię. Popatrzmy na momenty i postaci, które mogą wywoływać spory interpretacyjne i być podstawą złych emocji w polsko-ukraińskich relacjach. Jak daleko powinniśmy sięgnąć? Do Bolesława Chrobrego? Wyprawa kijowska i Szczerbiec stały się częścią polskiej mitologii narodowej. Czy później – do Kazimierza Wielkiego i zajęcia Rusi Halickiej?

Okresem do Kazimierza Wielkiego bym się nie zajmował, nie wywołuje on kontrowersji. To był czas równorzędnych relacji między książętami polskimi i ruskimi. Podczas częstych najazdów Piastowie łupili Rurykowiczów i odwrotnie, ale nie było to wyrazem konfliktu narodowego lub religijnego. Po prostu średniowieczno-feudalny stan powtarzającej się wojny z wynikiem remisowym.

A Kazimierz Wielki?

W polskiej historiografii Kazimierz przejął w 1349 r. władzę nad Rusią Halicką i Włodzimierską zgodnie z prawem dynastycznym. Ziemie te pod późniejszą nazwą Galicji Wschodniej pozostaną w granicach Rzeczpospolitej do pierwszego rozbioru. Ten fakt będzie podstawą do polskich roszczeń wobec tych terenów w 1918 r. To jednak na tych terenach w XIX w. rozwijała się najsilniej ukraińska myśl i ideologia narodowa. Dlatego pojawiają się różnice w ocenie Kazimierza Wielkiego: czy bezprawnie najechał na nie swoje, czy też wszedł w posiadanie nowych ziem zgodnie z regułami ówczesnego prawa? Spór ważny nie tylko historycznie, bo głębokich źródeł wojny o Galicję i Lwów, jaka wybuchła między Polakami i Ukraińcami w 1918 r., należy doszukiwać się w rozbieżnych interpretacjach faktów historycznych z XIV w. Dziś jednak ta sprawa nie wywołuje już emocji wśród historyków, a politycy też nic by na tym temacie nie ugrali.

Tomasz Stryjek – historyk i badacz pamięci Ukrainy oraz innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, profesor Instytutu Studiów Politycznych PAN , autor m.in. książek „Ukraińska idea narodowa okresu międzywojennego" oraz „Wojna po wojnie. Antysowieckie podziemie w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1944–1953".

A unia lubelska i włączenie Wołynia oraz pozostałych ziem ruskich do Korony w 1569 r.? Jak to wydarzenie przedstawiają historycy ukraińscy? Czy patrzą nań jak na początek kolonialnego podboju przez Polskę?

Nie są zgodni w interpretacjach. Przeważa pogląd, że do unii lubelskiej doszło na skutek zdrady ruskich elit szlacheckich. W tej perspektywie owe elity zdecydowały się na włączenie w granice Korony dla obrony swoich stanowych przywilejów, a nie interesu narodowego. Aktowi temu przeciwstawili się tylko nieliczni z książąt ruskich, jak książę Wasyl Ostrogski. Takie myślenie prezentują głównie historycy, którzy widzą w Kozaczyźnie fundament ukraińskiej tożsamości.

Istnieje alternatywna wizja historii tamtego okresu, której ikoną stała się wybitna historyczka Natalia Jakowenko, a dziś to dzieło kontynuuje jej uczennica Natalia Starczenko. Interpretują one wydarzenia historyczne zgodnie z kryteriami epoki, a nie z perspektywy nam współczesnej. Pokazują, że ruska szlachta była dojrzałym podmiotem politycznym, który aktywnie negocjował warunki unii, walcząc o zachowanie wolności i przywilejów, z utrzymaniem odrębnego systemu prawnego opartego na kodeksie litewskim włącznie.

Książka Starczenko „Ukraińskie światy Rzeczypospolitej" ukazała się po polsku. Można się z niej dowiedzieć, że Rzeczpospolita Obojga Narodów była wspólnym projektem politycznym elit polskich, litewskich i ruskich niż realizacją planu kolonialnego podboju i polonizacji.

Ta sama autorka przyznaje jednak, że Rzeczpospolita nie dotrzymała warunków kontraktu w momencie, gdy nie była w stanie zaakceptować elity kozackiej w roli podmiotu politycznego równego szlachcie. Zwyciężył interes stanowy magnaterii wywodzącej się zarówno z ziem ruskich, jak i polskich. Jej celem była ekspansja gospodarki folwarcznej opartej na pańszczyźnie nad Dnieprem.

Ruch kozacki był początkowo ruchem społecznego sprzeciwu, nie miał charakteru narodowego czy religijnego. Dopiero na początku XVII w. zaczął dostrzegać polityczny potencjał w obronie prawosławia podporządkowanego Rzymowi po unii brzeskiej z 1596 r. Kozacy, wspólnota wieloetniczna i wielowyznaniowa, stali się gwarantem dyz-unii, czyli prawosławia. Symbolem tej konsolidacji był hetman Petro Sahajdaczny. Ten, który chodził z Polakami na Moskwę i w 1621 r. wspólnie bronił Chocimia przed Turkami.

W 1620 r. nastąpiło, w tajemnicy, odnowienie hierarchii prawosławnej przez patriarchę jerozolimskiego Teofana III, gdy wracając z Moskwy, zatrzymał się w Kijowie. Sahajdaczny z wojskiem ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

Od lewej:
Bohdan Chmielnicki i jego kozacy

Symon Petlura i Józef Piłsudski jako sojusznicy w wojnie z bolszewikami, 1920 r.

Ekshumacja szczątków zamordowanych przez UPA mieszkańców wsi Ugły na Wołyniu

▶ kozackim zapewnił patriarsze bezpieczeństwo, co było ważnym aktem konsolidacji politycznej kozackiej starszyzny. Warszawa uznała odnowienie prawosławnej hierarchii w 1632 r.

Jednak Rzeczpospolita kozackich aspiracji politycznych nie uznała i tu dochodzimy do Bohdana Chmielnickiego. Czym był zainicjowany przez niego zryw w 1648 r.: powstaniem narodowo-wyzwoleńczym, jak ciągle jeszcze podają historycy ukraińscy wierni szkole narodnicko-sowieckiej? Rewolucją kozacką czy może rewolucją burżuazyjną – bo i takie tropy spotkałem? I czy mają się o co spierać historycy polscy i ukraińscy?

Żywsza dyskusja toczy się w Ukrainie, gdzie zaczyna się upowszechniać perspektywa rewolucji kozackiej odrzucająca interpretację narodowo-wyzwoleńczą. Z kolei w Polsce już chyba nie ma historyków, którzy by nie uznawali, że elity Rzeczpospolitej, nie znalazłszy miejsca dla Kozaków w systemie politycznym, dopuściły się błędu.

Ukraińcy zgadzają się, że Chmielnicki i starszyzna kozacka podczas tworzenia państwa kozackiego inspirowali się wzorami ustrojowymi Rzeczpospolitej. Ale różnią się z Polakami w uznaniu jej za w pełni otwartą na inne kultury. Postrzegają ją jako wyraz typowych w tamtej epoce tendencji.

Dyskusje dotyczą też dalekosiężnych skutków unii brzeskiej – wpływu Kościoła grekokatolickiego na kształtowanie ukraińskiej tożsamości narodowej i okcydentalizacji Ukrainy. Historycy ukraińscy zgadzają się, że Kościół unicki miał znaczenie, ale tylko na części terytorium, głównie w Galicji. Znacznie większy wpływ na ukraińską tożsamość przypisują Kozaczyźnie i prawosławiu. W każdym razie Chmielnicki już Polaków i Ukraińców nie dzieli. Gdybyśmy mieli pisać wspólny polsko-ukraiński podręcznik do historii, to do 1914 r. chyba byśmy się nie pokłócili.

A koliszczyzna i rzeź Humania z 1768 r., gdzie wymordowano ponad 20 tys. Żydów i Polaków? W sowieckiej mitologii bunt Iwana Gonty i Maksyma Żeleźniaka przedstawiany był jak powstanie chłopskie przeciwko polskiemu uciskowi. Pomnik koliszczyźnie wystawił także Taras Szewczenko w poemacie „Hajdamacy". Ze względu na bezwzględne okrucieństwo i skalę przemocy przywoływana bywa w kontekście rzezi wołyńskiej.

Koliszczyzna przywoływana jest czasem jako argument, że warstwy ludowe w warunkach trwałego ucisku, bez szansy poprawy swej doli, zdolne są do spontanicznego krwawego zrywu i okrucieństwa. Ruch Gonty i Żeleźniaka nie zajmuje dziś specjalnie ukraińskich historyków, bo badania nad XVIII w. na prawobrzeżnej Ukrainie są słabiej rozwinięte niż w Polsce. Znacznie więcej uwagi poświęca się w Ukrainie badaniom tamtego okresu na Lewobrzeżu, gdzie istniało autonomiczne państwo kozackie. Koliszczyzna i rzeź Humania są natomiast istotnym elementem pamięci żydowskiej.

To prawda. Próby obchodów 250. rocznicy koliszczyzny w 2018 r. spotkały się z protestami środowisk żydowskich. Przejdźmy do 1914 r., w którym pańskim zdaniem interpretacje polskich i ukraińskich historyków zaczynają się rozchodzić.

Polacy dążyli do restauracji państwa w granicach przedrozbiorowych, Ukraińcy odwoływali się do koncepcji ukraińskich ziem etnicznych. W Galicji Wschodniej przed wybuchem pierwszej wojny mieszkało 61 proc. Ukraińców, 25 proc. Polaków i 12 proc. ludności żydowskiej. W 1918 r. Ukraińcy wszczęli wojnę o swoje przeciwko Polakom, którzy do tych ziem ich zdaniem nie mieli prawa, ale wywalczyli je siłą.

Polska, wygrywając wojnę o Lwów i Galicję Wschodnią, zniszczyła Zachodnioukraińską Republikę Ludową; jej armię, najlepszy zrąb ukraińskiej państwowości. Polscy historycy wskazują, że to ukraińscy politycy popełnili błąd, walcząc do końca, zamiast uznać polską przewagę militarną i przyjąć propozycję gen. Josepha Barthélemyego z 1919 r. o zamrożeniu działań zbrojnych z pozostawieniem Lwowa po stronie polskiej. Ich zdaniem, przyjmując ją, mogliby skierować swoje siły na wschód i wesprzeć Ukraińską Republikę Ludową Symona Petlury i jego walkę z bolszewikami oraz białymi.

Historycy ukraińscy z reguły widzą to inaczej. Przedmiotem sporu jest ciągle także ocena układu Piłsudski–Petlura z 1920 r., w którego ramach ukraiński przywódca zrzekł się Galicji Wschodniej na rzecz Polski w zamian za polskie wsparcie w wojnie z bolszewikami. I nie dość, że ustąpił Piłsudskiemu, to przegrał, i pokój ryski w 1921 r. został zawarty między Polską, Rosją i Ukrainą radziecką za plecami ukraińskimi, kosztem ukraińskiej niepodległości. Dla wielu Ukraińców był to akt zdrady ze strony polskiej. Ale mimo tych różnic interpretacyjnych polscy i ukraińscy historycy o tych sprawach są w stanie ze sobą rozmawiać bez większych emocji. Emocje rosną po 1921 r.

© OLEKSANDR KOVALCHUK/ALAMY/BE&W, ALAMY/BE&W, PAP/VLADYSLAV MUSIENKO

eprasa.pl 0ca0981d75

Dlaczego?

Różnice zaczynają dotyczyć już nie tylko interpretacji, ale też samych faktów. Czy działania sabotażowe Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów miały na celu przygotowanie do rewolucji, która mogłaby zagrozić integralności II Rzeczpospolitej na terenach zamieszkanych w większości przez Ukraińców? A w związku z tym operacja pacyfikacyjna państwa polskiego na tych ziemiach w 1930 r., jakkolwiek brutalna, mieściła się w standardach? Czy też, jak twierdzą niektórzy historycy ukraińscy, działania ukraińskich nacjonalistów miały na celu głównie przygotowanie do działań przeciwko państwu sowieckiemu wobec nasilającej się kolektywizacji?

Z każdym rokiem sytuacja staje się coraz bardziej skomplikowana, dyskusja o rzezi wołyńskiej i akcji antypolskiej UPA to dwie równoległe opowieści. Polscy historycy przekonują, że akcja była zaplanowana i przeprowadzona na rozkaz wydany przez górę hierarchii wojskowo-politycznej ukraińskiego podziemia. Ukraińscy historycy nawet jeśli nie kwestionują zbrodniczego charakteru działań UPA na Wołyniu i w Galicji, to wpisują je w logikę wojny polsko-ukraińskiej, z symetryczną odpowiedzialnością za zbrodnie po obu stronach.

Czyli ciągle jesteśmy w ślepej uliczce. Czy jest z niej wyjście?

Timothy Snyder, amerykański historyk zajmujący się dziejami „skrwawionych ziem", jak nazwał terytoria Europy Środkowo-Wschodniej, ostrzegł przed laty, by unikać w dyskusji najcięższych, nieodwracalnych stwierdzeń. Mówił, że tego, co się na „skrwawionych ziemiach" działo, nie powinno się opisywać pojęciem ludobójstwa, nawet jeśli miało, jak na Wołyniu, charakter masowych zabójstw i zbrodni przeciwko ludzkości. Bo kto zacznie, ten w reakcji napotka opór, a nie zrozumienie. Izby polskiego parlamentu w okresie od 2009 do 2025 r. dziewięciokrotnie przyjmowały uchwały posługujące się pojęciem ludobójstwa w odniesieniu do rzezi wołyńskiej. Nie przekonaliśmy w ten sposób Ukraińców do przyjęcia naszego stanowiska. Przeciwnie. Dlatego trudno mi dostrzec w tej chwili dobre wyjście.

ROZMAWIAŁ EDWIN BENDYK

O Polakach, którzy budowali przemysłową potęgę Donbasu, czytaj na s. 64.

REKLAMA

Mrok mnie kusił

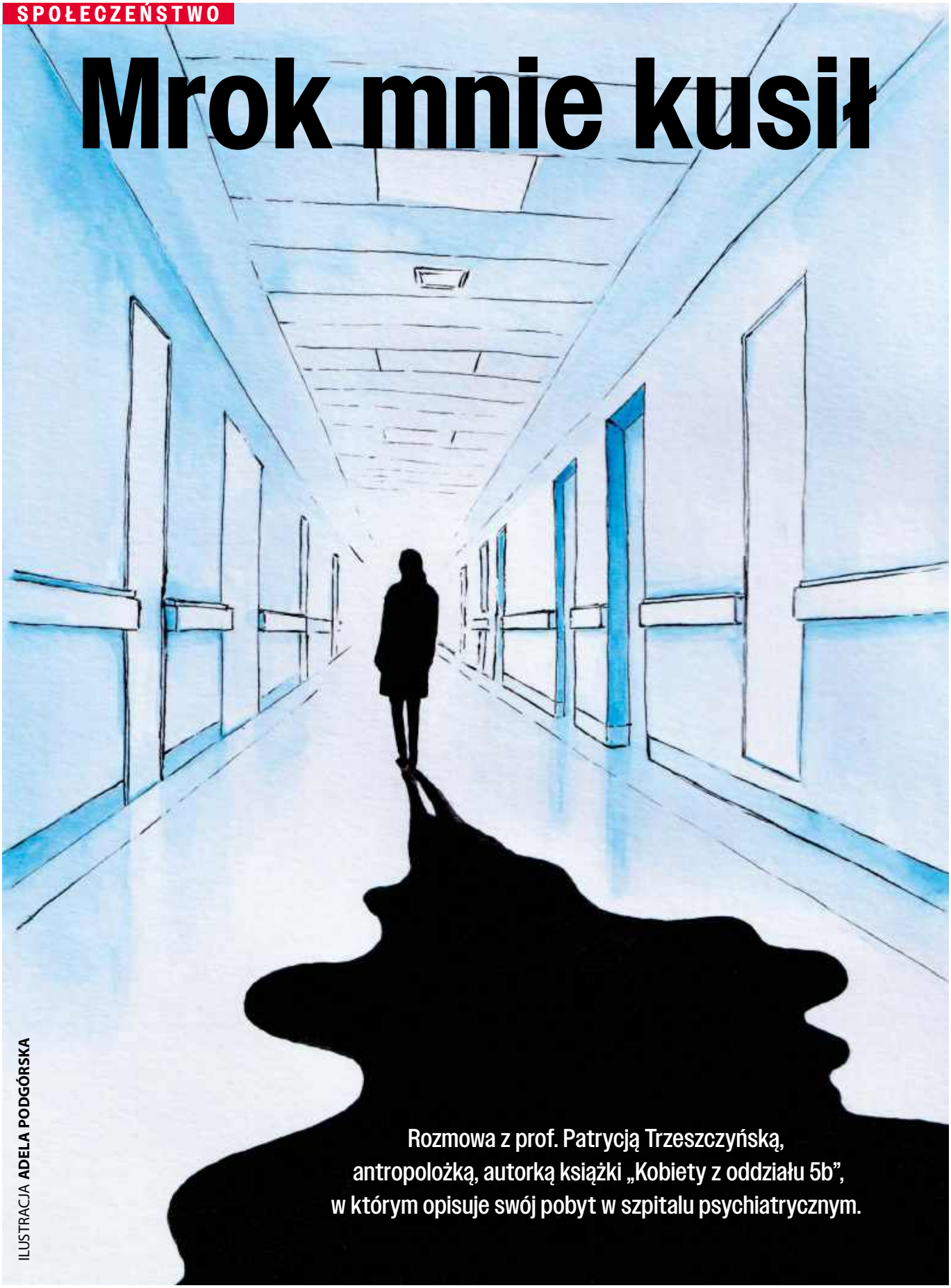

ILUSTRACJA **ADELA PODGÓRSKA**

Rozmowa z prof. Patrycją Trzeszczyńską, antropolożką, autorką książki „Kobiety z oddziału 5b", w którym opisuje swój pobyt w szpitalu psychiatrycznym.

eprasa.pl 0ca0981d75

PAWEŁ RESZKA: **– Napisała pani „Zagoniłam się na samo dno”.**

PATRYCJA TRZESZCZYŃSKA: – Działałam jak automat, który przełącza się z trybu na tryb: sesja, dom, rozprawa naukowa, grant. Lecę na autopilocie i nie wiem dokąd.

Pewnego dnia wychodzi pani na balkon w wynajętym przez uniwersytet mieszkaniu w Alejach Jerozolimskich w Warszawie i…

...pojawiła się ta wizja, już wtedy dopadł mnie ogromny kryzys psychiczny...

Wizja, że rzuca się pani w dół.

Tak.

Idzie pani na dworzec, jedzie pociągiem do domu, ale myślami jest pani ciągle na balkonie.

Myśl, że rzucam się w dół, pojawiała się w sytuacjach codziennych i nie chciała się odkleić.

„Mrok mnie kusił”, to też cytat z pani książki.

Bo w tym jest coś pociągającego. Myśl, że można to wszystko zakończyć, daje ukojenie: „Nie jest tak źle, jest wyjście”. Przeraziło mnie to, zapaliło czerwoną lampkę.

Cofnijmy się. Kiedy spotkaliśmy się kilka lat temu, pomyślałem: „Ale rozpędzona!”. Książki, kariera naukowa, tytuły, granty. Fajny styl. Była pani chodzącym sukcesem.

Raczej biegnącym. W szybkim tempie zrobiłam habilitację, będąc jednocześnie młodą mamą. Pracowałam straszliwie. Myślę, że ludzie nie zdają sobie sprawy, pod jaką presją są akademicy. Szczególnie od reformy szkolnictwa wyższego autorstwa Jarosława Gowina, kiedy pojawiła się duża presja na umiędzynarodowienie, granty i konieczność gromadzenia wielu punktów za publikacje.

Pani jest perfekcjonistką, prawda?

Tak. Myślę, że to jest problem, z którym się mierzę od lat. Jednak nie na tyle, żeby sobie odpuścić. Próbowałam balansować między życiem prywatnym i zawodowym. Chciałam tu i tu być na 150 proc. Czułam się jak podpięta do prądu, ale trudno było się wyrobić. Brakowało czasu, rosło poczucie frustracji.

Znam to. Bliscy podarowali mi podkoszulek z napisem: „Jak ja się z tym wszystkim wyrobię?”. Zdziwiłem się. Wyjaśnili mi, że bardzo często powtarzam to zdanie.

Tak, bo liczba zadań do wykonania przytłacza. Stajesz na głowie i jakoś sobie z tym radzisz. Tyle że nie następuje żadna ulga. Natychmiast przychodzą następne niecierpiące zwłoki sprawy. I to nie ma końca. Z medycznego punktu widzenia spowodowało to u mnie silne „pogłębienie zaburzenia depresyjno-lękowego”, na które cierpiałam od lat. To również potraktowałam jako kolejne zadanie do wykonania. Wygrzebać się z tego, nie poddać myślom samobójczym. Psychiatra zwiększyła mi dawkę leków do maksimum, mimo to ciągle zapadałam się w mroku.

Znów idzie pani do lekarza. Diagnoza brzmi: „Ciężki epizod depresyjny i myśli samobójcze”. Doktor mówi: „Czas na szpital”. Przerażające?

Tak. Wiadomo, co myśli się o takiej placówce: wariatkowo, psychuszka. Zamyka się tu ludzi na długo. Znikają z radaru, wegetują za murem, poddawani są jakimś strasznym procedurom.

Dr hab. **Patrycja Trzeszczyńska** – prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, etnolożka i ukrainoznawczyni. Adiunktka w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ. Zajmuje się m.in. antropologią pamięci i przestrzeni. Badania prowadzi w Polsce, Ukrainie i Kanadzie. Autorka książek „Łemkowszczyzna zapamiętana”, „Diaspora – pamięć – miejsca”, „Pamięć o nie-swojej przeszłości”.

„Lot nad kukułczym gniazdem”?

Właśnie te popkulturowe wyobrażenia. Jestem odporna na stereotypy, potrafię dekonstruować różne wyobrażenia społeczne. Jednak tym razem byłam przekonana, że trafiam do beznadziejnego miejsca. W dodatku uważałam to za osobistą klęskę, bo nie dałam rady pokonać choroby własnymi siłami.

Nie idealizuje pani szpitala, ale przekaz książki jest taki, że to miejsce, które czasem jest jedynym dobrym wyjściem.

Szpital nie jest instytucją opresyjną. Placówka ma nam pomóc w sytuacji głębokiego kryzysu psychicznego. Potrafi zasiać w pacjentkach przekonanie, że istnieje droga do polepszenia naszego stanu. Oczywiście to nie jest miejsce idealne, gdzie zaznamy samych przyjemności. Niemniej bilans jest zdecydowanie pozytywny. Śmiało mogę powiedzieć: nie bójmy się szpitala psychiatrycznego.

Problem raczej w tym, że szpitalna pomoc jest mocno reglamentowana. Oddział 5b to miejsce dla dorosłych, jednak spotykała się tam pani z nastolatkami.

Tak, 17-letnie dziewczyny po próbach samobójczych, z uzależnieniami. Czekały tu, aż zwolni się miejsce na oddziale dla dzieci. Oddziały dziecięce są przepełnione i generalnie jest ogromny problem z dostępem. Przekrój wiekowy był więc bardzo szeroki.

Pacjentce na oddziale przysługuje jedna wizyta u psychoterapeuty tygodniowo. Można zgłosić się w trybie ekstraordynaryjnym, ale brakuje gabinetów.

I żeby można było porozmawiać w cztery oczy, reszta pracowników musiała opuścić pokój i czekać na korytarzu. Jeśli chodzi o psychoterapię, to rzeczywiście byłam rozczarowana. Było jej po prostu za mało. Wynika to także z tego, że brakuje terapeutów. Moja psychoterapeutka np. po pierwszym spotkaniu poszła na dwa tygodnie zwolnienia lekarskiego i nikt nie zaproponował mi możliwości skorzystania z pomocy innej osoby.

Rozumiem, że to duży wysiłek otworzyć się przed kimś, opowiedzieć o sobie. Tym większy jest zawód, gdy nie ma ciągu dalszego.

Otwarcie się to ogromny wysiłek i stres emocjonalny. Do tego na początku pobytu, kiedy w ogóle trudno zebrać myśli. Moje leczenie ograniczało się głównie do farmakoterapii. Ważna była też rola wspólnoty terapeutycznej, która się w szpitalu tworzyła.

O wspólnocie porozmawiamy, ale najpierw geografia. Oddział jest podzielony na piętro, parter i palarnię. Na początku każda pacjentka trafia na piętro.

Tak, pierwsze dni pobytu oznaczają wdrożenie farmakoterapii, nowych leków lub zamianę dotychczasowych. Oprócz leków wiodących wdrażane są też równolegle inne leki. Najczęściej silne środki uspokajające, wyciszające, nasenne. Pacjentki bardzo dużo śpią, są przytłumione, pojawiają się zaniki pamięci. Człowiek snuje się po korytarzu, nie bardzo wie, co ze sobą zrobić, trochę jak zombie. Dziewczyny na piętrze nie czytają, nie sprawdzają wiadomości, nie rozmawiają przez telefon. Są zahibernowane. ▶

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ Chyba chodzi o to, żeby się odciąć od gonitwy codzienności.

Tak. Pacjentka zostaje sam na sam z lekami i swoimi myślami. To dobry moment na zrozumienie, co nas przywiodło do szpitala, nauczenie się wglądu w chorobę. Wszelkie bodźce, które mogą to utrudniać, są przytłumione. To czas podarowany pacjentce, którego być może dawno nie miała. Można wrócić do ciała, ponownie się w nim rozgościć.

Pisała pani, że choroba to ciągłe napięcie mięśni, drżenie. Sprawia, że ciało jest bytem odrębnym, jakby niepotrzebnym. Nie odczuwała pani np. potrzeby jedzenia.

Jedzenie przestało być dla mnie istotne. Zmuszałam się, żeby jakieś małe porcje przyjąć ze względu na leki psychiatryczne. Opadałam coraz bardziej z sił. Coraz mniej zostawało ich na konfrontację z rzeczywistością. Pętla.

Miło jest odzyskać ciało?

Na piętrze po prostu działają leki. Przychodzi rozluźnienie, znikają napięcia, skurcze i jest to fantastyczne. Jednak prawdziwy powrót do ciała następuje po przeniesieniu na parter. Tam są zajęcia: choreoterapia, gimnastyka, relaksacja, muzykoterapia. Leżysz na karimacie, słuchasz muzyki. Albo tańczysz. To ma połączyć na powrót głowę z ciałem.

Na parter zaraz zejdziemy. Najpierw powiedzmy, że łącznikiem między dwoma światami jest palarnia – dostępna dla nowicjuszek z piętra i weteranek z parteru.

Do palarni chodzi się od początku ze względu na nałóg i to jest miejsce najintensywniejszych kontaktów z innymi pacjentkami. Mała przestrzeń, dużo przeżyć, emocji i potrzeby nawiązania relacji z drugim człowiekiem. Palarnia staje się przestrzenią opowieści, wentylem bezpieczeństwa. Bez palarni pacjentki miałyby trudniej. Tam dziewczyny się otwierały. Często to były bardzo skromne komunikaty. To się dzieje naturalnie, bo to nie jest opowieść dla lekarza, ale opowieść dla samej siebie. Właśnie w palarni zawiązywała się społeczność terapeutyczna. Zaburzenia i choroby psychiczne są bardzo demokratyczne. Na oddziale 5b były niepracujące, biznesmenki, akademiczki, osoby zagrożone bezdomnością, alkoholiczki w depresji. W zewnętrznym świecie dzieli je bardzo duży dystans społeczny, być może w ogóle by się nie spotkały. A szpital niweluje różnice i relacje się zawiązują bez względu na kontekst. Powstaje wspólnota osób, które przeżywają chorobę. Starsze pacjentki matkują trochę nastolatkom, te, które mają dostęp do papierosów, ubrań, dzielą się z innymi. Ale oczywiście nie zawsze jest gładko.

Ciekawe, że u pacjentek z parteru, szczególnie tych blisko wyjścia, pojawia się dystans do tych, które właśnie pojawiły się w szpitalu, zaczynają na pierwszym piętrze.

Im bliżej jest wyjście na zewnątrz, tym ten dystans się zwiększa. Nie znaczy, że dochodzi do jakiegoś odrzucania. Po prostu to jest poczucie, że ja już tam byłam. Teraz muszę się skupić na sobie, przygotowywać się do powrotu do normalnego życia.

Pani mówi, że szpital to czekanie.

Zwykłe rzeczy i czynności są reglamentowane ze względów bezpieczeństwa. Nie można mieć u siebie suszarki, można ją tylko wypożyczyć na chwilę od pielęgniarki. Więc suszarka przestaje być banalną rzeczą, trzeba o nią zabiegać. Nie można ładować telefonu na sali, nie można mieć zbyt długiego kabla itd. Brak dostępu do zwykłych codziennych rzeczy i czynności jest przykry i uciążliwy. W zamian pacjentka otrzymuje czas. Czas ma wiele odcieni, czasem jest go bardzo dużo. Niektóre dziewczyny miały czas na wystudiowane makijaże. Zamawiały ubrania na różnych platformach wysyłkowych. Nie chodziły w piżamach. O ubrania dbały, robiły pranie, zmieniały je. Chodziło o zachowanie godności. O to, by nie poddać się szpitalowi i chorobie do końca.

Pewnego dnia mówią: „Pani Patrycjo, czas iść na parter".

To absolutnie przełomowe zdanie. Nagroda za cały najgorszy okres w życiu. Ale jest jeszcze coś. Zejście na parter zbliża nas do wyjścia ze szpitala, do powrotu do życia na zewnątrz. A to budzi niepokój. Parter to większa swoboda, mniejszy nadzór pielęgniarek, pojawiają się zajęcia, o których mówiłam: relaksacja, ceramika. Przepustki, tzw. trening samodzielności, czyli możliwość wyjścia na spacer.

Była pani trochę zdziwiona, że świat bez pani obecności nadal się kręcił? Studenci dalej się kształcili, konferencje naukowe się odbywały…

Zupełnie nie miałam łączności z tym aspektem mojego życia. Pomagało mi to, że przebywałam na urlopie dla poratowania zdrowia. To był ważny bufor bezpieczeństwa. Nie wszystkie pacjentki go miały. Ja w każdym razie zupełnie wyłączyłam się z życia zawodowego. Praca po raz pierwszy w życiu zupełnie mi zobojętniała i straciła znaczenie.

Opisała pani jedną z pacjentek, która z łóżka szpitalnego prowadziła biznes.

Nie mogła go po prostu zawiesić na kołku, bo straciłaby firmę. Inne dziewczyny nie mogły np. zrezygnować z jakiegoś zlecenia – bo straciłyby nie tylko pieniądze, ale i ważnego klienta. Szły więc do dyżurki pielęgniarek, brały kabelek, siadały na łóżku, odpalały laptopa i pracowały.

Bliscy dostrzegali chorobę wcześniej, przed szpitalem?

Mąż oczywiście wiedział, chociaż nie byłam w stanie od razu mu powiedzieć o myślach samobójczych. Nie chciałam go ranić, bałam się, że nie zrozumie.

A córka? Już przed szpitalem niepokój o nią wypełniał pani życie.

Tak, ciągle o nią drżałam, wiecznie projektowałam sobie jakieś straszne historie – że miała wypadek, że coś się wydarzy, że ktoś ją skrzywdzi. To dokładało się do całości mojej kondycji. Kiedy trafiłam do szpitala, bolało, że nie ma mnie w domu. Córka miała sześć lat, dziecko w takim wieku bardzo potrzebuje mamy. To potworne dla wszystkich pacjentek, które były mamami. O dzieciach raczej się nie rozmawiało. To ponad nasze siły.

Córka zrozumiała?

Tak, że mama jest w szpitalu, bez szczegółów. Mąż robił wszystko, by moja nieobecność nie była dotkliwa. Bardzo zaangażowała się moja mama. Początki były najgorsze. Córka nie była w stanie rozmawiać ze mną przez telefon. Namiastka kontaktu była gorsza niż brak tego kontaktu. Dzieci nie mogą też odwiedzać pacjentek na oddziale. Dopiero kiedy dostałam przepustkę, mogłyśmy się zobaczyć. Moja choroba była więc wyzwaniem dla całej rodziny.

Jak to jest wyjść?

Do wyjścia przygotowują przepustki. To jest rodzaj sprawdzenia, jak pacjent radzi sobie poza murami szpitala. Jedzie się do domu na krótko, zazwyczaj na drugi dzień trzeba się zgłosić do szpitala. Wyjście na pół gwizdka, ale i możliwość zaczerpnięcia życia, które toczyło się wcześniej, próba odnalezienia się w nim w kontrolowanych warunkach.

A jak to jest wyjść na dobre?

Bardzo się bałam zarówno przepustki, jak i wypisania ze szpitala. Tkwił we mnie strach przed światem. Ale wyjście ze szpitala, gdzie pacjentka często czuje się bezpiecznie, i konfrontacja

eprasa.pl 0ca0981d75

z ludźmi, pracą, zwykłym biegiem spraw nie są łatwe. Z czasem mój strach się zmniejszył, bo leki „wskoczyły" i byłam silniejsza.

W książce nie mogłem się oderwać od opisów palarni. Tam, na ścianach, była cała kronika szpitala. Na przykład napis: „Palenie zabija. Na szczęście".

Tak, pacjentki zapisywały różne refleksje. Brakowało miejsca. Spod nowych wyzierały starsze. Jak się człowiek odpowiednio wpatrywał, to dostrzegał wpisy, które opisywały mój stan emocjonalny. Na które byłam gotowa.

„Czasem chodzę na różowo, bo mi przykro", mówię w nawiązaniu do gustownych różowych oprawek okularów, które pani nosi.

Dziękuję. Ja pamiętam napis: „Wstyd to się nie leczyć" albo: „Kochanie, co to za cień za tobą?".

I jeszcze taki: „Nigdy tu nie wrócę". I dopisek: „Też tak mówiłam".

Tak, tak, to było bardzo znamienne i, myślę, takie odzwierciedlające doświadczenie tych pacjentek, które wracały do 5b.

Pani też wróciła.

Wróciłam. Mój stan bardzo się pogorszył, ponieważ leki przestały działać. Trzeba było je zmienić. Tak się czasem dzieje. Lekarka powiedziała, że najlepiej robić to pod kontrolą, w szpitalu.

Porażka?

Nie. Zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Wiedziałam, czego się spodziewać, po co tam idę i że będę w bezpiecznym miejscu. Mam kryzys, a oni mnie tutaj znowu naprawią. Pierwszy pobyt dał mi samoświadomość i dobry wgląd w chorobę.

Napisała pani: „Taki szpital budzi określone skojarzenia". Jest pani ze środowiska akademików, ludzi wykształconych, otwartych. Ale czy obawiała się pani, że po powrocie świat spojrzy na panią inaczej? Wie pani jak…

Tak, obawiałam się. W moim miejscu pracy tylko dwie osoby wiedziały, gdzie trafiłam. Kiedy już wróciłam do pracy, też o tym nie opowiadałam. Więc sprawa nie była powszechnie znana. A teraz jest książka. Chciałam ją napisać, opowiedzieć swoje doświadczenie, bo uważam, że trzeba otwarcie mówić o chorobach i zaburzeniach psychicznych i o tym, że każdy może tego doświadczyć, niezależnie od tego, kim jest i co robi w życiu. Chciałam też opowiedzieć o kobietach, które tam spotkałam i które dały mi bardzo wiele przez długie i szczere rozmowy – o ich doświadczaniu zaburzeń psychicznych, o życiu z chorobą, o wzajemnym wsparciu i zrozumieniu. No i chciałam pokazać instytucję szpitala, jak działa, jak to jest być pacjentką. I zostawić taki przekaz, że szpital psychiatryczny jest miejscem, w którym działają siły zdolne nas przeprowadzić przez kryzys psychiczny.

Myśli pani, że uciekła od mroku?

Nie mam poczucia, że zostałam cudownie uzdrowiona. Szpital nie wyłącza magicznie choroby, ale daje siłę i narzędzia, żeby sobie z nią radzić. Pyta pan, czy uciekłam od mroku. Chodzę teraz w kolorowych ubraniach.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ RESZKA

Podkast psychologiczny – rozmowy dziennikarki tygodnika POLITYKA Joanny Cieśli o psychologii, edukacji i terapii. Słuchaj i oglądaj:

REKLAMA

PROMOCJA

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

NOWY PORZĄDEK NA RYNKU PRACY

Umowa śmieciowa?

Nie musisz się na to godzić.

8 lipca w życie wchodzą nowe przepisy o Państwowej Inspekcji Pracy. Jeśli pracujesz jak na etacie, ale nie masz umowy o pracę, **możesz zgłosić się do Państwowej Inspekcji Pracy**.

Teraz PIP będzie mogła przekształcić Twoją umowę śmieciową w umowę o pracę, gwarantując należne Ci prawa pracownicze:

- płatny urlop
- płatne zwolnienie chorobowe
- ochronę przed zwolnieniem z dnia na dzień
- płatny urlop macierzyński, ojcowski i rodzicielski
- inne uprawnienia z Kodeksu pracy zwiększające pewność i bezpieczeństwo pracy

Dowiedz się więcej:

eprasa.pl 0ca0981d75

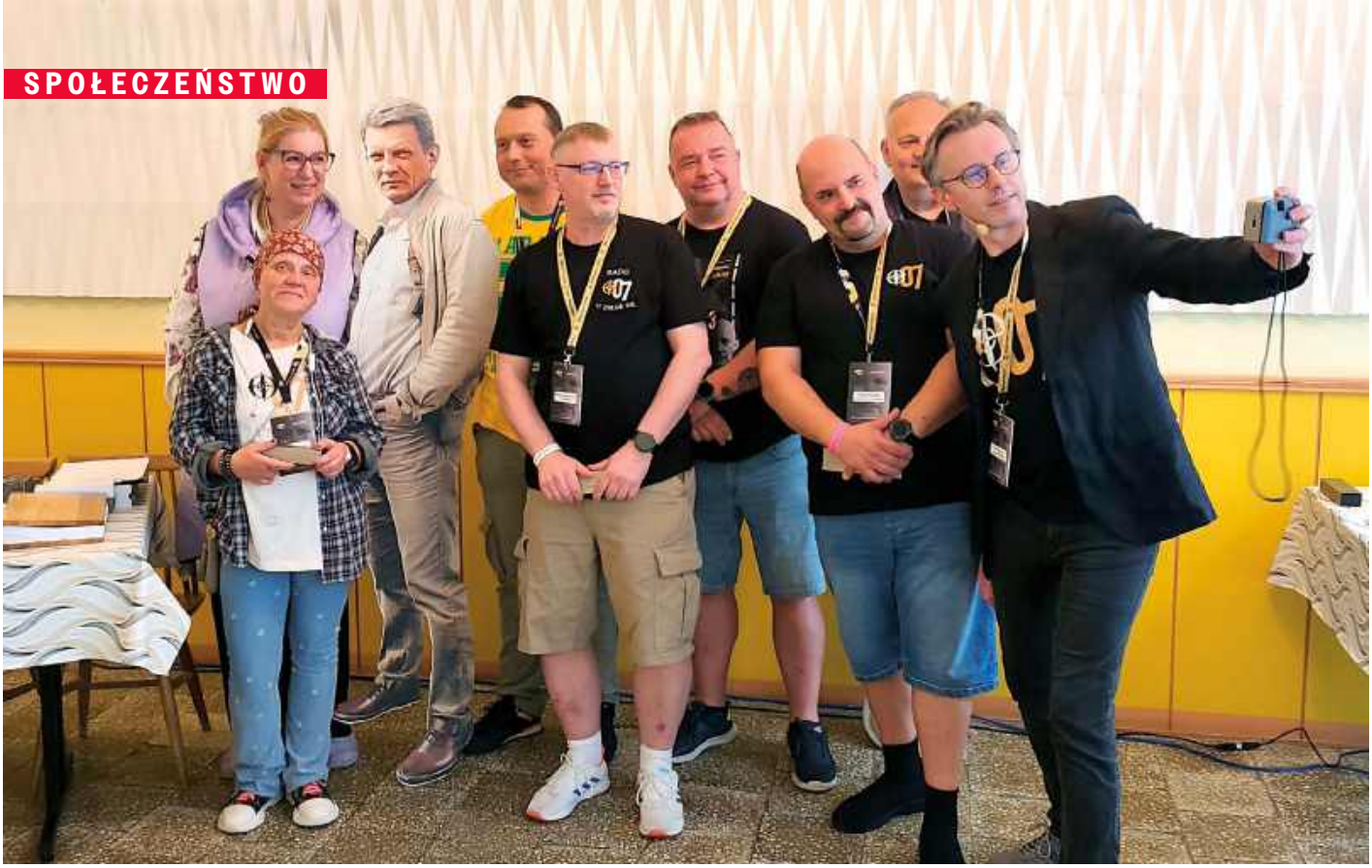

Kto zjadł Tatara?

Od emisji pierwszego odcinka „07 zgłoś się" mija właśnie pół wieku, a liczba fanów serialu rośnie. Porucznik Borewicz wiecznie żywy.

JOANNA PODGÓRSKA

„Co jadła Lusia w odcinku »Grobowiec rodziny von Rausch«?" (ogórki kiszone), „Jaki był kolor kostiumu kąpielowego stewardesy Małgosi, z którą romansował Borewicz?" (czerwony), „Jaki błąd ortograficzny popełniła Marta na karteczce zostawionej Borewiczowi?" (nie telefonój). Jeśli ktoś zna odpowiedzi z nawiasów, to spokojnie może jechać na zlot fanów serialu „07 zgłoś się" w augustowskim ośrodku Skowronek nad jeziorem Sajno.

Samo miejsce zlotów to nie przypadek. To tu kręcono odcinek „Hieny", w którym grany przez Piotra Fronczewskiego kierownik Walasek prowadzi zakamuflowany, acz luksusowy dom publiczny. Sam ośrodek od tego czasu niewiele się zmienił. Idealnie zachował klimat późnego PRL. W tym roku fani spotkali się tu po raz trzeci.

Serialowe opowieści

Na pytanie, ile razy oglądał 07, Michał Wojciechowski odpowiada pytaniem: A ile razy była pani u fryzjera? – *No właśnie, przychodzi taki moment, gdy człowiek czuje, że czas się ostrzyc. Z serialem o Borewiczu jest podobnie* – tłumaczy. Wraz z Eweliną Hellmann administrują stroną fanów serialu na Facebooku. Liczy ona już prawie 65 tys. członków. Minus tak intensywnego obcowania z serialem – Michał Wojciechowski i Ewelina Hellmann mają zakaz startu w konkursach.

Byłoby nudno, gdyby co roku wygrywali. Wyznaczono ich więc do wymyślania pytań. Jedno z finałowych: „Jak miał na imię Tatar, którego zjedli zbiedzy z więzienia na Sachalinie w opowiadaniu majora Wołczyka?" – (Ogl) na tym polegli wszyscy. Dodatkowa atrakcja zlotów to tropienie aluzji. Organizator Piotr Furmanek, witając uczestników, mówi: dla kogo jestem Piotr, dla tego Piotr, dla was jestem pan kierownik (tak kierownik Walasek sztorcuje graną przez Dorotę Kamińską recepcjonistkę). Pytania konkursowe zostają przyniesione w żółtej teczce. Kto wie, ten wie – należąca do szantażysty zamordowanego w odcinku „Strzał na dancingu" żółta teczka, w której zgromadził haki na połowę Warszawy, była osią akcji. Jedną z nagród w konkursie jest czekolada Suchard, taka, jaką mieli podrabiać przestępcy w odcinku „Złocisty".

Nie ma wątpliwości, że „07 zgłoś się" to dziś serial kultowy, choć sam Bronisław Cieślak, odtwórca roli Borewicza, nie lubił tego określenia, kwitując, że kultowa to jest Matka Boska.

– *To się nie miało prawa udać* – mówi Rafał Dajbor, autor wydanej właśnie książki „07 zgłoś się. Milicyjny serial wszech czasów". – *Do kanonu szybko weszły komedie Barei, „Rejs", „Czterdziestolatek". Ale serial o MO, skazanej właśnie na śmietnik historii? Uznawany raczej za wstydliwy przykład peerelowskiej propagandy?*

Reżyser Krzysztof Szmagier mimo wszystko planował kontynuację. Na ekrany

eprasa.pl 0ca0981d75

Augustowski ośrodek Skowronek nad jeziorem Sajno. To tu kręcono m.in. odcinek „Hieny". Z tego pomostu skakał serialowy porucznik Borewicz (Bronisław Cieślak, na fot. poniżej).

Na sąsiedniej stronie: fani serialu z figurą porucznika Borewicza, w fioletowej bluzie prof. Ewelina Hellmann, w żółtej koszulce Michał Wojciechowski. Selfie robi organizator zlotów Piotr Furmanek.

miał wrócić zweryfikowany Borewicz, ale Bronisław Cieślak się na to nie zgodził. Uważał, że to tylko ośmieszyłoby serial. Nie chciał grać nawróconego Borewicza, bo – jak mówił – zbyt wiele cudownych nawróceń widział po 1989 r. On sam w 1991 r. został zwolniony z TVP, nie dostał się do Sejmu i zajął się prowadzeniem kiosku. Był nawet zarejestrowany jako bezrobotny.

Czytanie między kadrami

Czy „07 zgłoś się" był serialem propagandowym? I tak, i nie. Z pewnością, poprzez postaci porucznika Borewicza czy sierżant Olszańskiej, pokazywał ludzką twarz MO. Ale intencją Szmagiera było przede wszystkim zrobić pełnokrwisty serial kryminalny. „Z polskim kryminałem to jest tak – siedzi dwóch facetów w więzieniu i jeden pyta drugiego: – Za co siedzisz? – Za kasę. – Pancerną? – Nie, grycaną. Pomyślałem więc, by zrobić coś, co będzie trochę lepsze" – mówił w jednym z wywiadów. Borewicz to nie był klasyczny funkcjonariusz z powieści milicyjnej. Sam mówił o sobie glina, nie protestował, gdy pomyłkowo nazywano go policjantem. Młody, inteligentny, dowcipny, otarł się o Zachód, biegle władał angielskim. Ani razu nie pokazał się w mundurze. Zazwyczaj nosił sztruksy i amerykańską kurtkę wojskową.

Kontrastem dla niego miał być porucznik Zubek – twardogłowy safanduła, służbista bez polotu. Niektórzy twierdzili, że to nazwisko znaczące (z UB). Szmagier zaprzeczał, ale Polacy byli mistrzami czytania iluzji. Problem w tym, że – jak mówiono – Zubek się Szmagierowi „urwał". Odtwórca tej roli Zdzisław Kozień miał w sobie tyle ciepła i uroku, że widzowie nie umieli go nie lubić. W pewnym momencie w serialu zastępuje go siostrzeniec – porucznik Jaszczuk. Jerzemu Rogalskiemu, który dostał tę rolę, Szmagier zapowiedział: masz zagrać tak, żeby sąsiad, który cię lubi, nasrał ci na wycieraczkę. I Rogalski tak zagrał – tępy, arogancki buc; socjalistyczne slogany w jego ustach zmieniały się w żenującą karykaturę. Tak naprawdę w „07" więcej niż propagandy było mrugania okiem do widza. Weźmy taki dialog – podejrzany, ważny dyrektor ostrzega Borewicza, że należy do partii, a ten odpowiada: „Znam poważniejsze błędy".

W odcinku kręconym w 1981 r. Borewicz przejeżdża obok bramy Stoczni Gdańskiej. Tej stoczni. Na stopklatce można odczytać wiszący nad bramą transparent: „Rząd rządzi, partia politykuje, a Solidarność służy narodowi". Jednak ujęcie pokazujące Pomnik Poległych Stoczniowców zostało wycięte przez cenzurę. Przez moment mignął tylko postument.

Jeszcze przed 1989 r. serial w całości lub części emitowano nie tylko we Włoszech czy Finlandii, ale też w krajach socjalistycznych: Czechosłowacji, NRD, Chinach i Bułgarii. Cieślak wspomina, że gdy ze Szmagierem zostali zaproszeni do Sofii, już na lotnisku odczuli żywe objawy zainteresowania. Rano pod hotelem stały tłumy fanów, zablokowano ruch uliczny. Bułgaria była ortodoksyjnym aliantem ZSRR, a tam nie zezwolono na emisję. Z zakupu serialu była niesłychanie dumna, traktując to wręcz jako manifestację suwerenności i odwagi.

Lata 90. to jeszcze nie był czas na nostalgię. Wszystko było nowe, rozpędzone, patrzyło się naprzód, a nie wstecz. ▶

© LESZEK ZYCH, INPLUS/EAST NEWS

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ Dopiero później, gdy kontrast między dawniej a dziś był niepodważalny, PRL nabrał patyny. A „07” wraz z nim. Dla paru pokoleń to w końcu były wspomnienia dzieciństwa i młodości; czasów, kiedy wszystko było proste. I to, co nie miało prawa się udać, jednak się udało.

Z dokumentalnym zacięciem

– *Dlaczego? Szmagier był dokumentalistą i kręcił ten serial tak, by rejestrować jak najwięcej obszarów ówczesnej rzeczywistości, dzięki czemu te sentymentalne podróże są możliwe* – mówi Dajbor. – *Ale poza wszystkim to jest dobry kryminał, który nawet dziś można oglądać na poważnie. Do tego wspaniała obsada, nawet w małych epizodach.* Fakt, przez serial przewinęli się, poza Piotrem Fronczewskim i Grażyną Szapołowską, m.in. Leon Niemczyk, Barbara Brylska, Ewa Szykulska, Bożena Dykiel, Dorota Stalińska, Laura Łącz, Karol Strasburger czy Artur Barciś, dla którego to był filmowy debiut.

TVP dość regularnie nadawała powtórki serialu, ale latem 2003 r. nastąpił pik – jeden z odcinków obejrzało ponad 4,5 mln widzów. Średnia oglądalność kolejnych niewiele mu ustępowała; mimo że serial był dostępny na płytach DVD, które też rozeszły się na pniu. To się przełożyło na wartość marketingową. Do serialu wprost nawiązywała kampania reklamowa wody Cisowianki o pojemności 0,7 litra. W role detektywów, którzy jej poszukują, wcielili się członkowie Kabaretu Moralnego Niepokoju. W kampanii sieci Play zagrał sam Bronisław Cieślak, parodiując Borewicza, podkładał nową ścieżkę dialogową pod fragment jednego z odcinków.

Pierwszą próbę organizacji środowiska fanowskiego podjęła dziennikarka „Gazety Wyborczej” Dorota Szymborska w 2003 r. Na spotkanie przyjechali m.in. Krzysztof Szmagier, Bronisław Cieślak, Ewa Florczak (sierżant Olszańska), Zdzisław Tobiasz (odtwórca roli majora Wołczyka, przełożonego Borewicza), Tatiana Sosna-Sarno (epizody w dwóch odcinkach) i Jerzy Dziewulski, który wraz ze swoją ekipą pojawił się na planie trzykrotnie. Dalszego ciągu to spotkanie jednak nie miało. Do pierwszego zlotu fanów musiało upłynąć jeszcze ponad 20 lat.

– *Od dłuższego czasu byłem przekonany, że pogrupowani na forach fani bardzo chcieliby się spotkać. Były jakieś przymiarki, ale brakowało łącznika. Stałem się nim ja* – wspomina Piotr Furmanek, organizator zlotów. Serialem zafascynował się w czasach, gdy jeszcze jako mocno nieletni nie powinien go oglądać. Dziś porównuje go do kulturowej kapsuły czasu, w której z przyjemnością można podróżować.

Dokumentalne zacięcie Szmagiera pomaga śledzić sztafaż epoki. Ulice, samochody, plakaty Kombi, Maanamu, Ewy Demarczyk, Ireny Jarockiej. Laleczki dyndające na samochodowych lusterkach, polski tonik, pomarańczowy sok Dodoni w puszce. Z jednej strony cienka warstwa ówczesnego blichtru – nielegalne kasyna, gdzie leje się whisky i gin, a krupier mówi po francusku, badylarskie wille, wnętrza hotelu Victoria, który był szczytem luksusu. W jednym z odcinków pojawia się nawet posiadłość Mieczysława Wilczka z sauną i kortem tenisowym, na którym – we własnej osobie – gra z Borewiczem. Nie był jeszcze wówczas ministrem w rządzie Mieczysława Rakowskiego, ale milionerem prowadzącym firmę futrzarską. A z drugiej strony – zaplute praskie zaułki, parszywe dworce czy Bazar Różyckiego. Szmagier, żeby móc tam spokojnie kręcić, umówił się ze stałymi bywalcami, że zatrudni wszystkich jako statystów, a niektórzy dostaną nawet stawki za epizody. Wyszedł z tego niezły kawałek reportażu.

Trochę fan, trochę klub

Niestety, w 2024 r. nie można już było zaprosić Krzysztofa Szmagiera, Bronisława Cieślaka czy Zdzisława Tobiasza, bo odeszli. Gośćmi pierwszego i drugiego zlotu byli m.in. Ewa Florczak, Laura Łącz, Tatiana Sosna-Sarno, Alicja Majewska i Włodzimierz Korcz, autor ścieżki dźwiękowej – zdumieni tym, co się wokół serialu dzieje. W tym roku oprócz Tatiany Sosny-Sarno przyjechali „chłopaki od Dziewula”: Duch, Siwy, Szwagier, Kuba i Maniek.

Zlotowi weterani oprowadzają pierwszorocznych po ośrodku: tu na pomoście Szapołowska opalała się topless (to był pierwszy raz, gdy pokazała biust w polskim filmie), tu obok Fronczewski rzucał do jeziora cegłę, którą Borewicz ma wyłowić, żeby udowodnić, że nadaje się na ratownika, na tym tarasie stał Zubek i jadł kanapkę (z żółtym serem), patrząc, jak Borewicz z dziewczynami nadpływa motorówką (silnik radziecki, kierownica od Syreny).

Część zlotowiczów śledzi popisy psów policyjnych. Panie stoją w kolejce na pomoście, by przepłynąć się policyjnym skuterem wodnym. Serdecznie zapraszają policjantów na wieczorny dancing. I żeby przyprowadzili kolegów. Która ze zlotowiczek nie chciałaby zatańczyć z funkcjonariuszem na tym samym parkiecie, na którym tańczył Borewicz z recepcjonistką? Obok Ewelina Hellmann (w życiu zawodowym profesor SGGW, zaliczana przez ranking Uniwersytetu Stanforda do 2 proc. najbardziej wpływowych naukowców świata) i Michał Wojciechowski (pracownik techniczny w Polskiej Spółce Gazownictwa) rozstawili się z wystawą książek. Udało się już odszukać wszystko. Nie tylko niebieskie zeszyty z serii „Ewa wzywa 07”, na podstawie których powstawały scenariusze, ale też książki czytane na ekranie przez bohaterów. Jest nawet pierwszy tom „Słownika języka polskiego”, z którego Borewicz odczytywał Zubkowi definicję słowa „dupa”, żeby udowodnić, że można go już legalnie używać. Fascynacja prof. Hellmann serialem zaczęła się od koszmaru.

– *Jako dziecko obejrzałam odcinek, w którym po zwłokach mordercy, utopionego w kanałach, biegają szczury i potem mi się to śniło po nocach* – wspomina. – *Ale Borewicza polubiłam bardzo. Z jednej strony dzielny milicjant, któremu wszystko się udaje, z drugiej postać trochę tragiczna – żona go porzuciła, niby ciągle miał nowe kobiety, ale one też go zostawiały. Trochę samotnik, trochę outsider. Dołączyłam do grupy fanów na Facebooku i przepadłam.*

Michał Wojciechowski też musiał pokonywać pewne opory. Dom był opozycyjny i Borewicza się nie lubiło. Polubił, gdy zaczął oglądać samodzielnie. Zgromadził całą serię na DVD i dziś uchodzi za tego, który o „07 zgłoś się” wie wszystko. Z pamięci potrafi wymienić adres Borewicza – nieistniejący, ale blok, który zagrał, udało się zidentyfikować, numer pokoju w Victorii, gdzie porucznik spotkał się z byłą żoną, graną przez Izabelę Trojanowską, rejestracje Fiatów 125 p i Polonezów, którymi jeździł. Ten Polonez to była wówczas sensacja. Borewicz w odcinku „24 godziny śledztwa” jeździ jednym z trzech prototypów; jeszcze bez nazwy (trwał konkurs). Wokół ekipy podczas zdjęć gromadziły się tłumy, żeby go zobaczyć.

Fani szukają na aukcjach przedmiotów, które pojawiły się w scenografii serialu. Dzięki stopklatkom i zrzutom ekranu łatwiej identyfikować detale. Podczas drugiego zlotu udało się odtworzyć gabinet majora Wołczyka. Jedna z uczestniczek

eprasa.pl 0ca0981d75

Pokaz umiejętności psów policyjnych dla uczestników zlotu w ośrodku Skowronek

upolowała na aukcjach pełne wyposażenie: telefony z centralką, proporczyki, godło, popielniczki.

– *Ja ostatnio odszukałem czerwone lampki grzybki, które stały w night clubie i recepcji w odcinku „Hieny". Na Allegro kosztują 1,5 tys. zł. Widać moda na peerelowską estetykę trwa* – mówi Maciek, z zawodu elektronik. Jego prawdziwą pasją jest jednak odszukiwanie serialowych lokalizacji – ulic, podwórek, bram, barów, stacji kolejowych – i porównywanie, jak wyglądają dziś. Udało mu się nawet odnaleźć starą stodołę, w której Borewicz z ekipą z ukrycia śledzili poczynania szantażysty, który ma złożyć okup przy mostku nad rzeczką. Mostek też udało się zidentyfikować. Okazało się, że leży dość daleko od stodoły – magia ekranu.

– *Przyznam szczerze, że szczęka mi opadła. Myślałem, że tej stodoły nie da się odnaleźć* – mówi Rafał Dajbor.

– *Maciek taki jest. Jak złapie trop, to nie ma przeproś* – kwituje Michał Wojciechowski. Kolejny rok razem z Maćkiem próbują zidentyfikować domek, w którym jako kierownik Walasek mieszkał Piotr Fronczewski. Nie jest to łatwe. Skowronek zachował tamten klimat, ale domki były przebudowywane. Jak zgadza się kształt desek, którymi domek jest wyłożony, to nie zgadzają się okna.

Na tarasie night clubu siedzi pani Ewa ze znajomymi. Mieszka w Niemczech, ale co roku latem przyjeżdża do pobliskiego Sajenka. O zlocie dowiedziała się przypadkiem i zajrzała z sentymentu. Jako 16-latka „pracowała" dla ekipy filmowej w charakterze zaopatrzeniowca. A konkretnie – jako jedyna niepijąca – była posyłana rowerem do Pewexu w Augustowie. Maciek i Michał biorą ją na solidne przesłuchanie. I bingo.

– *Wysokość drzew, jakie rosną wokół domku, nie jest wskazówką, zbyt wiele czasu minęło. Ale już kąt, pod jakim rosną – tak* – tłumaczy Maciek. – *I tu mi się wszystko zaczyna zgadzać.*

Inne pasje fanów to m.in. szukanie w bibliotekach wydań gazet, które pojawiają się na ekranie, identyfikowanie muzyki z tła czy szukanie błędów. Tych akurat wiele nie było – leżący na podłodze pistolet, który przestępca rzuca dopiero w kolejnej scenie. Ci najbardziej wnikliwi dostrzegli, że na żaglówce, na której Fronczewski grozi Szapołowskiej, że ją utopi, przez ułamek sekundy miga ktoś trzeci. Na Facebooku trwa zabawa w cytaty. Np. wymień cytaty na literę „A", albo cytaty konkretnej postaci, albo z odcinka 21. Najlepsi potrafią cytatami rozmawiać; podobno nawet sensownie.

Stały punkt zlotów to wspólne oglądanie odcinka w augustowskim kinie Iskra. Tym razem wybrano „Zamknąć za sobą drzwi", też z Piotrem Fronczewskim w roli emerytowanego amerykańskiego gliniarza polskiego pochodzenia. Przed emisją spotkanie z Tatianą Sosną-Sarno i „chłopakami od Dziewula", którzy zagrali tam epizody. Wspomnienia z planu. I spoza planu.

– *Po zdjęciach trzeba było się wyluzować, a tu skończyły się napoje. Jedziemy we dwóch do jedynej otwartej knajpy. W środku harmider jak w westernie. Wchodzimy w pełnym umundurowaniu i zapada cisza. Patrzyli na nas jak na kosmitów* – wspomina Siwy. – *W ciszy barmanka spakowała nam do torby cały zapas „Bałtyku". Wychodzimy i harmider wybucha ponownie. Zadanie wykonane.*

Lista gości do zaproszenia niestety stale się kurczy. Jerzy Dziewulski zmarł niespełna rok temu. Serial jednak wciąż wzbudza zainteresowanie. Kolejne powtórki w telewizji biją rekordy popularności. Pytanie, czy ta fala nie wygaśnie wraz z pokoleniami, dla których ma on wymiar nostalgiczny. Piotr Furmanek jest dobrej myśli.

– *Większość uczestników to ludzie w wieku 40–60 lat. Ale jest też sporo młodszych, a ci starsi deklarują, że będą przyjeżdżać co roku; choćby o kulach czy z balkonikami* – mówi. – *Ja planuję 21 zlotów, tyle, ile było odcinków. Myślę, że wytrzymamy.*

Wypalony, ale popularny

Porucznik Borewicz odszedł wraz z PRL. Ostatni odcinek był emitowany w maju 1989 r. Wnikliwi analitycy dostrzegają, że przez te kilkanaście lat, wraz z PRL, zmieniał się sam Borewicz. W pierwszych odcinkach, przy poruczniku Zubku, który jest kulturalnym starszym panem, zachowuje się przyzwoicie. Jest uśmiechnięty i dowcipny. Z czasem staje się coraz bardziej impertynencki, na granicy chamstwa. W jednym z odcinków każe Jaszczukowi „spierdalać". Ostatnie części to już obraz wypalenia zawodowego. Później Bronisław Cieślak pojawił się w polsatowskim serialu „Malanowski i partnerzy" jako prywatny detektyw. Ale Borewicz do dziś bije go na głowę popularnością.

W ośrodku Skowronek niby czas się zatrzymał. Ewa zauważyła, że w stołówce nie wymieniono nawet pękniętej w latach 80. szyby. Ale po cegłę rzuconą przez Fronczewskiego już nie da się w tym samym miejscu zanurkować. Wody po kolana.

– *Jezioro zarasta, kurczy się; to jego naturalny cykl* – tłumaczy prof. Ewelina Hellmann. – *To w końcu żywy organizm. Też się starzeje.*

JOANNA PODGÓRSKA

PS Poza książką Rafała Dajbora korzystałam z „07 zgłasza się. Opowieść o serialu" autorstwa Piotra K. Piotrowskiego.

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 0ca0981d75

Cisza, aż dzwoni

Wyrok nakazujący parafii w Tucholi zapłacić sąsiadowi 30 tys. zł zadośćuczynienia za hałas dzwonami nie jest jeszcze prawomocny. Ale już precedensowy.

MARTYNA BUNDA

Osiedle jest maleńkie, ale chodzi nie o jakąś tam dzwonnicę. Raczej o dzwony godne kolegiaty. Zestaw lux: trzy odlewane dzwony spiżowe, z których największy waży niemal tonę. Z najwyższej półki, z pracowni Felczyńskich-Tarciszów, gdzie powstało „serce Łodzi" dla archikatedry, dzwony dla bazylik w Kielcach i Olsztynie czy też dzwon dla prawosławnej Hagii Sophii w Warszawie. Zestaw trzech dzwonów, grający w *tonacji maryjnej Fis-A-H* opisanej przez zakład ludwisarski jako „zwołująca żywych, opłakująca martwych i sławiąca bohaterów", zawisł w 2015 r. w Rudzkim Moście, niewielkim osiedlu sypialnianym Tucholi, na specjalnie postawionej 20-metrowej wieży.

Domy były pierwsze. Osiedle na obrzeżach miasta istnieje ponad pół wieku, w latach 90. zaczęło się zagęszczać – ale to wciąż były domki z ogrodami. Żadnego przemysłu, zakładów pracy, ruchliwych dróg. Spokój, cisza. Rzeka. Kościół na Rudzkim Moście też istniał od dawna – ale kameralny, drewniany. Z dzwonem, który ludzie nazywają zwyczajnym, bo brzmiał miło i ciepło, i wszyscy byli do niego przyzwyczajeni. Rządzący tu od dekad proboszcz Wiesław Herold zawsze uważał jednak, że kościół w Rudzkim Moście jest za skromny, a mieszkańcy

© MARCIN DOLIŃSKI/POLSKIE RADIO

eprasa.pl 0ca0981d75

powinni postawić Bogu coś bardziej przekonującego. Wielki Pan Bóg nie może bez końca rezydować w takim drewnianym baraku.

Fis jak gwizd

Kamień węgielny pod nowy kościół położono już w 2006 r., a potem długo nic się nie działo. Ale to, co finalnie stanęło po kilku latach obok starego kościółka zadziwiło mieszkańców: nowy kościół był dwa razy wyższy od starego, a prawdziwym zaskoczeniem była wielka wieża. Oficjalnie – widokowa (nigdy nieodebrana przez nadzór budowlany).

I niebawem przekształcona w dzwonnicę. Bo kościół, postawiony Panu Bogu z rozmachem, zasługiwał na dzwony z prawdziwego zdarzenia, a proboszcz nie ustał w staraniach, żeby stały się ciałem. W 2014 r. dwóch zamożnych parafian złożyło się na ten piękny finisz, asygnując w sumie 100 tys. zł. Wybrano najlepsze dzwony w Polsce. Felczyńscy odlewali dzwony dla Wawelu i Lichenia. Parafia w małym Rudzkim Moście zadowoliła się nieco mniejszą wersją – z mniejszej pracowni tego klanu – jednak wciąż największą z katalogu dzwonów podstawowych. Zamontowano również potrzebną elektronikę, bo to już nie te czasy, żeby dzwony giganty rozpędzało się siłą ludzkich mięśni, ciągnąc za liny.

Dzwony zabiły po raz pierwszy. O ile nowa wieża zdziwiła sąsiadów swoją skalą, o tyle dzwony ich zszokowały; kiedy się rozbujały, osiągały głośność 67 decybeli. Powyżej 80 należy zadbać o założenie słuchawek ochronnych, bo długotrwały kontakt z takim hałasem może trwale uszkodzić słuch; a dzwony biły często. Ale nie tylko o ich głośność chodziło. Najmniejszy i najwyższy z dzwonów – Fis – pozornie najcichszy, wydawał dźwięk tak ostry i gwałtowny, że trudno było to znieść. Mówiono w okolicy, że robi mniej więcej tyle rumoru, co garnek na obozie harcerskim – tyle że jest znacznie, znacznie głośniejszy.

A bije godnie

Ksiądz proboszcz, dumny z nowego nabytku, używał dzwonów w małym Rudzkim Moście na naprawdę wielką chwałę Pana. Pielgrzymki do proboszcza zaczęły się więc już po kilku tygodniach bicia. Początkowo – tylko dwuosobowa delegacja, próbująca przekonać duchownego, że dzwon rujnuje życie ich rodzinom.

– *Nikt nie chciał robić scen, tworzyć niepotrzebnych problemów* – opowiada Waldemar Piotrowski, od samego początku zaangażowany w sprawę, mieszkający 40 m od dzwonnicy. – *Poszliśmy raz, potem drugi, niemal na kolanach, i tłumaczyliśmy, że dzwony biją za głośno i za często, bo dzieci się wybudzają i płaczą, nie rozumiejąc, co się dzieje, w domach nie da się rozmawiać ani używać telefonów. Kłanialiśmy się proboszczowi w pas. Przepraszaliśmy. Zakładaliśmy, że nikt tu nie ma złych intencji, a jedynie poziom decybeli wszystkich nas zaskoczył.*

Ksiądz, dumny z dzwonów, na problemy społeczności jakby ogłuchł. Traktował ich nerwowo, jakby nie rozumieli, jak wielkie dzieło krytykują. Obrażał się – że nikt nie będzie uciszał głosu Pana. Po kilku miesiącach daremnych prób znalezienia kompromisu mieszkańcy poszli do wicestarosty tucholskiego. W gabinecie stawiło się kilkanaście osób z najbliższego sąsiedztwa parafii, prosząc o ratunek. Starosta początkowo wymawiał się, że kościelne dzwony to nie jego sprawa, że konkordat, Watykan... Tymczasem proboszcz mówił na kazaniach o szperaczach, którzy podkopują wysiłki parafii, żeby Pana Boga na ziemi reprezentować godnie.

> Ksiądz, dumny z dzwonów, na problemy parafian jakby ogłuchł. Traktował ich nerwowo, jakby nie rozumieli, jak wielkie dzieło krytykują.

Skarżących się pomału ubywało. Gdy ostatecznie ze starostwa przyszło zawiadomienie o odmowie wszczęcia sprawy, ci, którzy jeszcze zostali na placu boju, pojechali do Bydgoszczy, aż ponaglony przez kolegium odwoławcze tucholski samorząd w końcu zajął się sprawą dzwonów. Zlecono pomiary, które wykazały, że dopuszczalny prawem poziom głośności istotnie jest mocno przekroczony. W efekcie tych spotkań rada parafialna podpisała porozumienie z księdzem: ograniczenie używania dzwonów w ciągu dnia plus konieczność zamontowania żaluzji na wieży widokowo-dzwonnej. Plus dodatkowo badania emisji dźwięków, które miała przeprowadzić parafia po zamontowaniu żaluzji, żeby doprecyzować, jaka częstotliwość używania dzwonów będzie kompromisowa.

H grzmi na wybory

Żaluzje zamontowano. Ale piórami do dołu. To sprawiło, że dźwięk leciał teraz wprost w okna sąsiadów, i zrobiło się jeszcze gorzej. A proboszcz dalej dzwonił, kiedy nie było wolno (przynajmniej wedle porozumienia), a kiedy było mu wolno, dzwonił jeszcze mocniej i dłużej. I tak w 2024 r., w pierwsze Boże Ciało po podpisaniu porozumień, wszystkie trzy dzwony waliły przez ponad godzinę – i wtedy już nawet umarli wiedzieli, kto rządzi w sypialni Tucholi.

A proboszcz dalej opowiadał na kazaniach o garstce wrogów kościoła. Skarżył się też, że próby ugięcia karku przed uzurpatorami niemal doprowadziły do uszkodzenia cennych dzwonów, bo nie wolno majstrować w takiej elektronice. Twierdził, że takich dzwonów nie da się wyciszyć, bo to bardzo mocny model, więc chcieć ściszać dzwony, to tak jakby świadomie je niszczyć. A są to dzwony Pana Boga.

Na skargi na łamanie porozumienia odpowiadał teraz w innym tonie: że dzwony to sprawa wewnątrzkościelna, konkordat, sprawowanie kultu, które nie podlega świeckiej jurysdykcji... Więc nikomu nic do tego, że ksiądz przestrzega zasad kanonicznych. A niebawem to samo zaczęto odpisywać ze starostwa. Jakby w Polsce hasło „prawo kultu religijnego" zamykało temat albo jakby gdzieś ktoś podrzucił urzędnikom gotowca.

Dzwony dzwoniły więc dalej, ksiądz mówił w kazaniach o sabotażystach, aż na placu boju, pod dzwonnicą, została jedna osoba. Waldemar Piotrowski, były policjant z kryminalnych, mówi, że tego się nauczył w pracy, żeby nikogo się nie bać i działać – tym bardziej kiedy straszą.

– *W dodatku po odejściu na emeryturę wystartowałem w wyborach na radnego* – opowiada. – *Kolejni mieszkańcy przychodzili, skarżąc się na te dzwony. Przed wyborami się nie dało nic zrobić, to było dla mnie jasne. Przepadłbym z kretesem, zadzierając w tym momencie z Kościołem. Ale obiecałem ludziom i sobie, że nie* ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ *odpuszczę tej sprawy, niezależnie od wyniku wyborów.*

Nie wygrał. Ale nie zostawił sprawy. A jako były policjant umiał szukać przepisów i rozmawiać z instytucjami. Skarżył się więc dalej: w województwie, napisał nawet do Watykanu, gdzie odesłali go do biskupa, ale ten odpisał lakonicznie, że z jego dokumentów wynika, że w Rudzkim Moście nie ma żadnych przekroczeń czy naruszeń.

W końcu ogłosił sąsiadom, że został im już tylko pozew sądowy. Ci, którzy po cichu wciąż zagrzewali go do walki, złożyli się więc na prawnika, a Piotrowski spisał w niewielkim zeszycie w śliwki, kto ile pieniędzy wyłożył, żeby było wiadomo, komu oddać, gdy sąd – może – zwróci im koszty procesowe. Na pozwie, który powstał w kancelarii adwokata Tomasza Mrozka-Gliszczyńskiego, jest już tylko nazwisko Piotrowskiego.

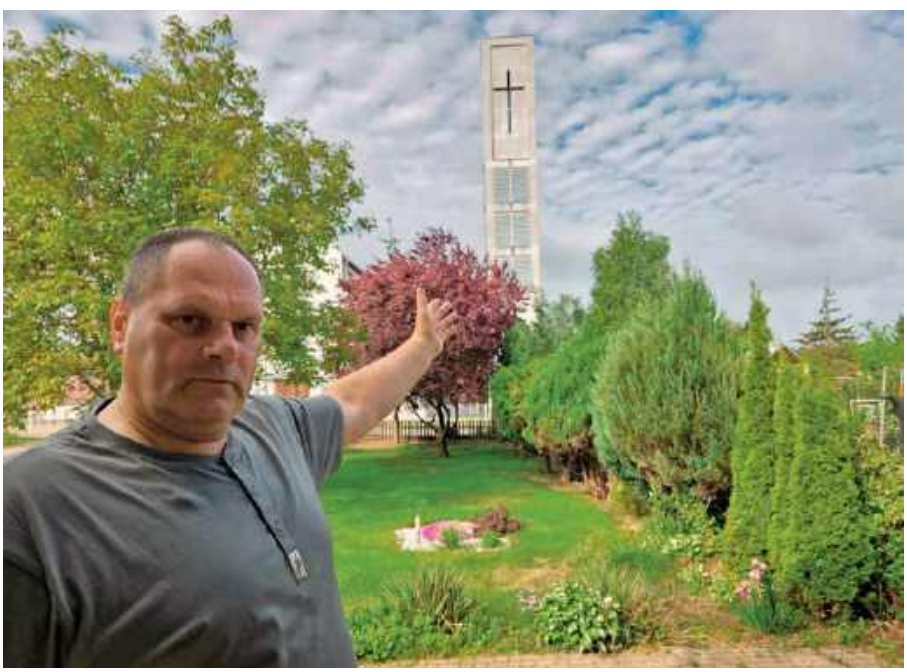

Waldemar Piotrowski, były policjant z kryminalnych, mówi, że tego się nauczył w pracy – żeby nikogo się nie bać i działać. Zwłaszcza kiedy straszą.

Adwokat zaczął inaczej niż zwykle w takich sprawach, czyli nie tylko z paragrafu 156 z prawa ochrony środowiska, o zakazie używania instalacji lub urządzeń nagłaśniających na publicznie dostępnych terenach (z wyjątkami), ale sięgnął też po Kodeks cywilny. Przywołał naruszane od dekady dobra osobiste Waldemara Piotrowskiego. Opisał to, co i tak było wiadomo o tym, co rozbujane dzwony zrobiły z życiem domowników – i zażądał w imieniu powoda odszkodowania, 30 tys. zł.

Dla pewności, a może dla sprawy, zażądał też od parafii całkowitego wyłączenia dzwonów – aż do końca procesu. Skoro proboszcz uważał, że nie można ich wyciszyć ani skrócić czasu ich bicia, niech by w ogóle nie brzmiały.

Komu biją dzwony

Sąd w Tucholi mieści się przy ul. Świeckiej. Nie jest to deklaracja światopoglądowa; droga tędy wiodła kiedyś na Świecie. A jednak sąd okazał się pierwszą instytucją, która zrozumiała położenie Piotrowskiego i sąsiadów.

Na początek zakazano kościołowi dzwonienia. W październiku 2024 r., po niemal 10 latach, dzwony po raz pierwszy zamilkły. W Rudzkim Moście nastał spokój.

Niewiele później w Sejmie po raz kolejny wyrzucano do kosza obywatelską petycję, złożoną przez Fundację Dobre Państwo z Poznania, poświęconą dźwiękom generowanym przez kościoły – dzwonom, megafonom, głośnikom. – *Wymowne, że ani w Sejmie, ani w Senacie, ani w KO, ani w opozycji, nikt nie chciał z nami rozmawiać o tej sprawie, choć przykładów lokalnych środowisk walczących o prawo do spokoju są dziesiątki* – opowiada Katarzyna Kosakowska, wiceprezeska fundacji.

Proboszcz na pozew odpisał to, co wcześniej odpowiadał pytającym – że kościół ma prawo bić w dzwony wtedy, kiedy trzeba – a zwyczaje nakazują czynić to trzy razy dziennie; Konstytucja RP zapewnia każdemu prawo do kultu religijnego, a bicie dzwonów jest w ramach tego kultu utrwalonym zwyczajem i o jego ograniczeniu nie może decydować głos jednego pojedynczego człowieka. Parafia zebrała listę świadków, którzy mieliby zeznać, że im dzwony nie przeszkadzają – przeciwnie, są ich prawem religijnym, ale sąd tę listę odrzucił: adresy świadków były oddalone od Rudzkiego Mostu, a ktoś, kto nie słyszy dzwonów, nie powinien wypowiadać się w ich sprawie.

Przeprowadzono rozprawę, przesłuchano Piotrowskiego, kilku innych mieszkańców i proboszcza. Ogłoszono, że wyrok zapadnie niejawnie. Nim to nastąpiło, proboszcz pojawił się jeszcze w siedzibie lokalnej gazety, by osobiście wykupić reklamę wzywającą wszystkich wiernych na ul. Świecką, gdzie przed budynkiem sądu mieliby manifestować swoje poparcie dla dzwonów.

Wyrok zapadł 22 maja 2026 r. I niemal w całości przyznaje rację Piotrowskiemu. Wydany zaocznie, został ogłoszony właśnie wtedy, gdy przed budynkiem zebrali się zwolennicy dzwonów. Ksiądz, stojąc na schodach sądowych, wygłosił kazanie – o tym, że walka o Boga nigdy nie ustanie. Uroczyście obiecał, że niebawem znów zaczną bić wszystkie trzy dzwony.

Parafia odwołuje się od wyroku, to jasne. Ale i Waldemar Piotrowski nie jest pewien, czy na tym poprzestanie. Uzasadnienie sądowe uważa za mądre i sprawiedliwe, jednak sąd postanowił pójść drogą porozumienia i zezwolił parafii na używanie najmniejszego z trzech dzwonów. Akurat tego, który ma głos ostry i nieprzyjemny. Sąd wyliczył, jak długo dzwon mógłby brzmieć, ale kto upilnuje proboszcza? A cisza jest taka piękna. Od razu lepiej się żyje...

Sponsorzy, którzy przed laty sfinansowali dzwony na miarę bazyliki do osiedlowego kościółka w Tucholi, też wolą dzisiaj ciszę. Oficjalnie nie komentują sprawy. Ale nieoficjalnie słychać, że można by dzwony sprzedać. To ogromne pieniądze dla takiej małej parafii. Celów jest przecież wiele. A ciągle o nich cicho.

MARTYNA BUNDA

© MARCIN DOLIŃSKI/POLSKIE RADIO

eprasa.pl 0ca0981d75

Wiejska dieta

W całej Polsce narasta spór o radnych, którzy nie spełniają podstawowego warunku sprawowania mandatu: nie mieszkają w gminie, którą reprezentują. Sprawa tylko na pozór dotyczy adresów. W rzeczywistości dotyka fundamentów samorządu.

ZBIGNIEW BOREK

W teorii przepisy są jasne: radnym może być osoba stale zamieszkująca na obszarze danej wspólnoty samorządowej. Formalnie nikt tego jednak nie weryfikuje. Gdy zbliżają się wybory, kandydat na radnego zgłasza chęć kandydowania i zaświadcza, że posiada bierne prawo wyborcze (a jego warunkiem jest stałe zamieszkiwanie). Komisja wyborcza sprawdza tylko, czy figuruje on w Centralnym Rejestrze Wyborczym jako mieszkaniec danej gminy, a nie czy rzeczywiście w niej mieszka. Jeżeli radny utraci prawo wybieralności albo nie posiadał go w dniu wyborów, mandat wygasa (a rada ten fakt tylko potwierdza). Stanowi o tym art. 383 Kodeksu wyborczego. Kluczowe znaczenie ma jednak pojęcie zamieszkania. Polskie sądy od lat podkreślają, że nie chodzi o meldunek, lecz o centrum życiowe danej osoby. Innymi słowy – miejsce, w którym człowiek koncentruje życie osobiste.

– *Centrum życiowe jest tam, gdzie się pierze bieliznę i śpi* – tłumaczy jeden z ekspertów. Sam fakt, że trzeba to tłumaczyć, nie świadczy najlepiej o radnych. Niekoniecznie mają tego świadomość, o czym przekonują się zarówno duże miasta (np. Kraków czy Lublin), jak i mniejsze gminy (Lubartów, Kępno czy Ełk). Najnowszym przykładem jest Gorzów Wielkopolski, gdzie szykuje się już referendum nad odwołaniem całej rady miasta i prezydenta.

Gorzów Wielkopolski, protest mieszkańców na sesji rady miejskiej w sprawie radnych mieszkających poza miastem. Powyżej: **Ireneusz Zmora, który ostatecznie zrezygnował z mandatu.**

Zmora Zmory

W Gorzowie zaczęło się od Ireneusza Zmory. Był prezesem żużlowej Stali (a klub jest jednym z symboli miasta), potem został szefem lokalnej telewizji i wszedł do rady miasta. Aktywistka Alina Czyżewska wychwyciła jednak, że nie powinien być radnym – i to z dwóch powodów. Po pierwsze, telewizja była związana umową reklamową z miejską spółką, a radny nie może „prowadzić lub zarządzać działalnością gospodarczą z wykorzystaniem mienia komunalnego". Po drugie zaś, Zmora w rzeczywistości nie mieszka w Gorzowie, lecz w podmiejskim Karninie, czyli w sąsiedniej gminie, a prawo wybieralności do rady przysługuje osobie stale zamieszkującej na obszarze danej wspólnoty samorządowej. Mandat Zmory powinien więc być wygaszony i taki wniosek złożyła aktywistka w radzie miasta.

– *Okazało się, że wszyscy o tym od dawna wiedzieli, ale jednym to nie przeszkadzało, a inni bali się zabrać głos. To dowodzi niskiej jakości samorządu i zaniku społeczeństwa obywatelskiego* – mówi Czyżewska. Jej działania wywołały efekt kuli śnieżnej. Wyszło na jaw, że grzechy na samorządowym sumieniu mają również: Halina Kunicka, Aleksandra Sibińska-Szadna, Artur Andruszczak, Jerzy Sobolewski i Robert Surowiec. To połowa klubu KO, na dodatek Zmora tym klubem kierował, a Surowiec rządzi całą radą, mieszkańcy rozwinęli więc na sesji transparent „KOalicja Oszustów: dom na wsi, dieta z miasta".

Zmora poszedł po bandzie, jak to się określa w żużlowej terminologii: zaproponował poszerzenie granic Gorzowa, bo to załatwiłoby problem. Surowiec zapewnił, że mieszka w mieście. Podał nawet swój gorzowski adres, ale to tylko odświeżyło wspomnienia lokalnych dziennikarzy z czasów, gdy zameldowany był u teściowej w mieście, choć dom miał (i nadal ma) na wsi. Podobny ▶

© FACEBOOK, JAROSŁAW MIŁKOWSKI

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ trick zastosował Zmora. Jakby tego było mało, zameldował się w mieszkaniu inwestycyjnym (na wynajem) Surowca. Dla postronnych obserwatorów to próba ominięcia przepisów, ale obaj się z tego nie wytłumaczyli. Na obrady miejskiej komisji rewizyjnej, która chciała sporne kwestie wyjaśnić, nie stawił się żaden radny KO. Pytany zaś przez reportera POLITYKI Zmora nie przypomina sobie, dlaczego wynajął mieszkanie akurat od partyjnego kolegi i kto komu tak samobójczy deal zaproponował.

Pozostali radni też nie mają sobie nic do zarzucenia, a rządząca miastem większość radnych KO i klubu niezależnego prezydenta Jacka Wójcickiego zablokowała dyskusję na ten temat. Sprawa jednak nie przyschła, bo mieszkańcy dawali upust złości, że radni robią z nich idiotów. „Jeżeli spotykam radnego rano w sklepie kupującego bułki i codziennie przejeżdżam obok jego domu [na wsi], no to wiadomo, że nie mieszka w Gorzowie" – tłumaczył w radiu jeden z lokalnych polityków.

Zmora w końcu zrezygnował z mandatu (dla dobra miasta, a nie z poczucia winy, jak oświadczył). Radny Sebastian Pieńkowski z Konfederacji Korony Polskiej zawiadomił prokuraturę o przestępstwie „stworzenia zamkniętego układu, wyłudzania publicznych pieniędzy w postaci diet oraz masowego poświadczania nieprawdy w oficjalnych dokumentach". W połowie czerwca wniosek trafił do prokuratury w Koszalinie, żeby uniknąć zarzutów braku bezstronności, bo wśród osób wymienionych w zawiadomieniu jest członek rodziny pracownika gorzowskiej prokuratury.

Meblują, ale nie mieszkają

Prokuratura na drugim krańcu Polski – w Lublinie – zajmuje się sprawą radnych: Anny Ryfki, Kamili Florek, Marty Gutkowskiej, Moniki Kwiatkowskiej i Magdaleny Mitrus. To pokłosie półrocznego dziennikarskiego śledztwa portalu Jawny Lublin. „Przeglądając ich profile społecznościowe, można odnieść wrażenie, że Lublin to centrum ich życiowej aktywności. Pełno tu zdjęć z ekstraklasowych meczów, ze spotkań z radami dzielnic, z otwarcia boisk, wręczania dyplomów, statuetek, kwiatów (...) z pędzenia do Ratusza, żeby złożyć interpelację. Ale gdy tylko kończy się roboczy dzień, wsiadają w samochody i mkną do swoich domów: w Wólce, Snopkowie, Elizówce i Jakubowicach Konińskich" – czytamy o radnych z klubu prezydenta Krzysztofa Żuka. „Meblują nam Lublin, uchwalają plany, podatki czy opłaty za odbiór śmieci, choć w mieście nie mieszkają".

Radni PiS zażądali wygaszenia mandatów, ale większościowy klub prezydenta (tworzą go KO i komitet Wspólny Lublin) wniosek odrzucił. „Ja już pomijam, że jest to ingerencja w proces wyborczy, w trwałość mandatu uzyskanego w wyborach powszechnych, ale jest to po prostu niemoralne" – grzmiał z mównicy prezydent Żuk. „Ubrał się szatan w ornat i ogonem na mszę dzwoni" – odpowiadała mu opozycja. Podstaw do wygaszenia mandatów nie dopatrzył się też wojewoda Krzysztof Komorski z KO (dawny wiceprezydent w administracji Żuka), Nowa Lewica powiadomiła więc prokuraturę. – *Sprawa jest rozwojowa, pojawiają się w tym kontekście nazwiska kolejnych osób* – twierdzi Krzysztof Wiejak, autor publikacji Jawnego Lublina. Wśród tych osób jest Żuk, który jako prezydent nie jest związany miejscem zamieszkania, ale kandydował też na radnego w mieście, choć mieszka w sąsiedniej gminie.

– *Lokalni politycy utrzymują, że przepisów nie łamią, bo np. mają w Lublinie kawalerkę. Niezbyt to logiczne, że ktoś buduje dom pod miastem, stamtąd wyjeżdża co rano do pracy i tam wraca, ale oficjalnie gnieździ się z rodziną w kawalerce* – mówi Wiejak. Rządzący Lublinem poskarżyli się na niego Radzie Etyki Mediów (bez skutku) i organizacjom, które wspierają Jawny Lublin grantami (nie dopatrzyły się naruszenia standardów dziennikarskich).

Instrumenty majsterkowicza

– *Przypadek* – tak Wojciech Jakubowski odpowiada na pytanie, gdy dowiedział się, że radny KO Bartłomiej Kocurek nie mieszka w Krakowie. Jakubowski to również krakowski radny, tyle że dzielnicowy. W zeszłym roku kupował samochód od mieszkańca podmiejskiej Barnówki, gdy dwa domy dalej zajechał jak do siebie Kocurek. – *Byłem zdziwiony, bo to gmina Kocmyrzów-Luborzyca, jakim więc cudem Kocurek jest radnym w Krakowie?*

Aby się upewnić, wynajął agencję detektywistyczną, która po dwóch miesiącach obserwacji w 80-stronicowym raporcie udokumentowała (także na zdjęciach i filmach) życie Kocurka: codzienne podróże pociągiem do pracy, zakupy, wynoszenie śmieci, aktywność sportową. Na tej

Prezydent Lublina Krzysztof Żuk. Radnym z jego klubu zarzuca się, że nie mieszkają w mieście.

podstawie Jakubowski złożył wniosek o wygaszenie mandatu. „Podglądanie kogokolwiek w jego prywatnych sytuacjach i miejscach jest zwykłym skarleniem" – skomentował Kocurek. Oświadczył, że stale zamieszkuje w Krakowie, a w Barnówce ma dom w budowie, który wykańcza metodą gospodarczą, stąd jego częsta tam obecność.

Wniosek o wygaszenie jego mandatu został odrzucony głosami klubów KO i Nowej Lewicy, ale wojewoda małopolski tę uchwałę unieważnił (z powodów formalnoprawnych), sprawa wróciła więc do punktu wyjścia. Tymczasem do krakowskiej rady miasta wpłynął kolejny wniosek o wygaszenie mandatu – tym razem radnego Nowej Lewicy Tomasza Leśniaka. On też rzekomo mieszka w sąsiedniej gminie, tłumaczy jednak, że to wynikające z przepisów meldunkowych nieporozumienie, a naprawdę mieszka w Krakowie.

– *Nie chodzi o tego czy innego radnego, ale o zasadę: ludzie, którzy nie mieszkają w mojej gminie, nie powinni ustalać, ile mam płacić za wywóz śmieci czy za bilet autobusowy* – podkreśla Jakubowski. – *Po ludzku wkurzające jest to, że ktoś, kto podejmuje istotne dla mieszkańców decyzje, nie ponosi ich konsekwencji, bo sam mieszkańcem nie jest.*

Podobny tok myślenia prezentują ci, którzy zabiegali albo wciąż zabiegają o wygaszenie mandatów radnych wielu polskich samorządów, choć nie sposób oczywiście wykluczyć mniej chwalebnych pobudek. Ze skutecznością też bywa różnie. Legalność mandatu Marcina Tyca (członek KO, kandydował z własnego komitetu) z Kępna badał komisarz

© JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

eprasa.pl 0ca0981d75

Kraków, od lewej: **radny KO Bartłomiej Kocurek i radny Nowej Lewicy Tomasz Leśniak. W sprawie obu wpłynęły wnioski o wygaszenie mandatu z powodu zamieszkiwania poza miastem.**

wyborczy i prokuratura, rada miejska nie zdecydowała się jednak na wygaszenie. 15 czerwca 2026 r. zrobiła to (tzw. zarządzeniem zastępczym) Agata Sobczyk, wojewoda wielkopolska. „Podobna sytuacja może dotyczyć większej liczby radnych" – poinformowali sygnaliści ze sprawy Tyca.

W Lubartowie (woj. lubelskie) zrobiło się gorąco wokół radnej Beaty Pasikowskiej (komitet Inicjatywa dla Lubartowa, wcześniej PiS), która też ma mieszkać poza gminą. Sama twierdzi, że to zemsta za krytykę burmistrza, a przy okazji wyszło na jaw, że jeden z rywali politycznych już przed dwoma laty czatował z kamerą pod „prawdziwym domem" radnej.

W Ełku rada miasta minionej kadencji badała legalność sprawowania mandatów aż 12 radnych, czyli co drugiego. – *Zostaliśmy zasypani donosami, nie było czasu na normalną pracę* – mówi radny Ireneusz Dzienisiewicz, ówczesny szef komisji rewizyjnej. Niektórych radnych sprawdzała nawet policja, ale rada miejska stwierdziła wygaśnięcie tylko jednego mandatu – Piotra Karpieni. Ten jednak odwoływał się tak długo, aż na finiszu kadencji Naczelny Sąd Administracyjny przyznał mu rację. – *Zlecono nam wybudowanie domu, ale nie możemy używać drewna, cegieł i zaprawy, tylko zestawu małego majsterkowicza* – tak Dzienisiewicz mówi o instrumentach, jakie mają radni do badania takich spraw.

Czas na zmiany

Dlaczego tak trudno odebrać mandat? Rachunki za wodę i prąd, miejsce nauki dzieci, aktywność społeczna, umowy najmu czy zeznania świadków mogą mieć większe znaczenie niż sam wpis w ewidencji ludności. W praktyce radny może posiadać dom w jednej gminie, wynajmować mieszkanie w drugiej, pracować w trzeciej, a rodzinę mieć jeszcze gdzie indziej. Każda sprawa wymaga indywidualnej oceny, zaś wywołani do tablicy radni – w Krakowie, Lublinie, Gorzowie czy Lubartowie – do upadłego bronią się, że ich centrum życiowym jest miasto, w którym sprawują mandat. Nawet jeśli wszyscy wokół widzą na własne oczy, że jest inaczej. Wiele postępowań kończy się przez to polityczną jatką.

Jak wyjść z impasu? Eksperci widzą to tak: wprowadzić precyzyjną definicję miejsca stałego zamieszkania, nakazać składanie oświadczeń dotyczących centrum aktywności życiowej, stworzyć jednolite wytyczne dla samorządów, komisarzy wyborczych i wojewodów, zwiększyć jawność dokumentów i postępowań. Coraz głośniej jednak słychać postulat zmian systemowych. – *Formuły samorządu ukształtowane w latach 90. nie przystają do współczesnych realiów* – twierdzi konstytucjonalista prof. Jerzy Stępień. Jak zauważa, zwiększyła się mobilność i zmienił styl życia Polaków. Coraz częściej obywatel pracuje w jednym mieście, korzysta tam z usług publicznych, płaci część podatków i współtworzy lokalną wspólnotę, a jednocześnie zachowuje silne związki z inną miejscowością, w której ma rodzinę, nieruchomość czy istotne interesy życiowe. To typowe zwłaszcza dla wsi położonych w sąsiedztwie miast oraz dla gmin obwarzankowych (jest ich niemal 160), które w całości otaczają odrębną gminę miejską (podobnie rzecz się ma z 45 powiatami ziemskimi okalającymi grodzkie).

Zdaniem prof. Stępnia warto rozpocząć debatę nad rozwiązaniami, które pozwoliłyby obywatelom wywierać wpływ na sprawy publiczne w dwóch miejscach: z jednej strony – w miejscu faktycznego zamieszkania, z drugiej – w miejscowości, z którą są trwale związani zawodowo i społecznie.

– *Obywatel posiadający dwa miejsca zamieszkania powinien mieć prawo uczestniczenia w wyborach samorządowych w każdym z tych miejsc* – twierdzi z kolei prof. Krzysztof Skotnicki, konstytucjonalista i ekspert prawa wyborczego. On również uważa, że warto się zastanowić nad nowymi modelami uczestnictwa obywatelskiego. I zauważa paradoksy. Na ławnika można wybrać osobę, która nie mieszka w gminie, lecz w niej pracuje. Wójt czy burmistrz nie muszą się wywodzić z lokalnej wspólnoty, podobnie jak sekretarz gminy, który często zna samorząd lepiej niż jego szefowie. Dlaczego w przypadku radnych kryterium zamieszkania pozostaje tak restrykcyjne?

Czara goryczy

Nietrzymanie się zasad uderza w samorządy. Na razie ufa im dwie trzecie, a nawet trzy czwarte obywateli, czyli mniej więcej tylu, ilu nie ufa rządowi czy parlamentarzystom, o instytucjach europejskich nie wspominając. Samorządy to czołowy w skali kraju inwestor, pracodawca i dostarczyciel usług publicznych, wojen na dole nie sposób więc lekceważyć.

Doraźnie też potrafią namieszać: w Gorzowie po wakacjach ma się zacząć zbiórka podpisów na rzecz referendum w sprawie odwołania rady miasta i prezydenta.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 0ca0981d75

Prawo do naprawy

Więcej sprzętu ratować, mniej wyrzucać. Nowe przepisy mają ułatwić dostęp do fachowców i części zamiennych. Ale podstawowego problemu nie rozwiążą: naprawianie często się nie opłaca.

CEZARY KOWANDA

Dwadzieścia lat temu Monika Pobrotyń razem z mężem zaczęli sprzedawać części zamienne. Pomysł był prosty: pomóc ludziom, którzy chcą samodzielnie naprawić sprzęt domowego użytku. – *Do naprawiania zamiast wyrzucania namawialiśmy jeszcze wtedy, gdy nie było to modne. Nasi rodzice zajmowali się serwisowaniem sprzętu w czasach, gdy naprawa była koniecznością, a nie wyborem. Dziś klienci mają łatwy dostęp do nowych produktów, ale my wciąż przekonujemy, że zanim coś wyrzucisz, warto sprawdzić, czy nie da się tego naprawić. W ofercie mamy ponad 13 mln części zamiennych, do tego filmy instruktażowe, porady, instrukcje, które krok po kroku pokazują, jak przeprowadzić najróżniejsze naprawy* – mówi Monika Pobrotyń, współzałożycielka platformy north.pl.

Coraz większym wyzwaniem staje się jednak sam sposób, w jaki projektowane są współczesne urządzenia. – *Kiedyś powstawały według prostszych schematów, a zbliżone części pasowały do wielu różnych marek. Teraz urządzenia są nafaszerowane elektroniką i gadżetami, a wymiana jednej zepsutej części wiąże się z wymianą całego podzespołu lub niestety z wymianą sprzętu* – dodaje Monika Pobrotyń.

Naprawiających postanowiła wesprzeć Unia Europejska. Dwa lata temu powstała dyrektywa gwarantująca „prawo do naprawy". Do końca lipca tego roku państwa członkowskie mają czas, aby wprowadzić wymagane przepisy. Polska z pewnością z tym nie zdąży, bo dopiero niedawno pojawił się projekt przygotowany przez Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. W optymistycznym scenariuszu nasza ustawa wejdzie w życie jesienią. Jej celem jest zachęcanie do naprawiania. Ważną nowością będzie wydłużenie okresu odpowiedzialności sprzedawcy za sprzęt (zwanego kiedyś rękojmią). Jeśli w punkcie serwisowym zdecydujemy się naprawić popsute urządzenie w ciągu dwóch lat od zakupu, wówczas otrzymamy dodatkowy rok ochrony. Jeśli zatem sprzęt znów się zepsuje, a od zakupu nie minęły trzy lata, sprzedawca będzie musiał ponownie naprawić go na swój koszt albo zaoferować nowy egzemplarz.

Czy ta zmiana okaże się rewolucyjna? Ma przede wszystkim zachęcić klientów, aby w przypadku awarii wybierali naprawę zamiast wymiany na nowy egzemplarz. – *Obawiam się jednak, że chociaż pomysł jest interesujący, skutek może być odwrotny do zamierzonego. Niektórzy przedsiębiorcy będą woleli odrzucić reklamację, niż ją uznać i naprawić sprzęt, bo w ten sposób wydłużają*

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0ca0981d75

własny okres odpowiedzialności o kolejny rok. A w przypadku wielu zgłoszeń klientów jest spore pole do interpretacji: w jakim stopniu awaria to skutek wad sprzętu, a w jakim jego nieodpowiedniego użytkowania? – mówi Grzegorz Miś, powiatowy rzecznik konsumentów we Wrocławiu.

Jako konsumenci nie jesteśmy zbyt konsekwentni. Z jednej strony ponad 80 proc. osób twierdzi, że możliwość naprawy urządzeń jest dla nich bardzo ważną kwestią, braną pod uwagę w chwili zakupu produktu. Takie są wyniki ubiegłorocznego badania SW Research i Fixit. Równocześnie nie brakuje argumentów tłumaczących naszą niechęć do naprawiania. Ponad 40 proc. ankietowanych twierdzi, że nie ma na to czasu, podobny odsetek pytanych narzeka na wysokie koszty napraw, a jedna trzecia nie wie, gdzie może liczyć na solidny serwis.

Chociaż nowe przepisy mają zdyscyplinować producentów i sprzedawców, w rzeczywistości większym wyzwaniem mogą okazać się sami klienci. – *Dotąd w okresie odpowiedzialności sprzedawcy za sprzęt problemem było nakłonienie konsumenta, aby zdecydował się na naprawę, zamiast żądać wymiany urządzenia na nowe. W odczuciu wielu klientów naprawa to coś gorszego, niepełnowartościowego. Wolimy wymianę, bo boimy się, że sprzęt, który raz się popsuł, wkrótce znowu będzie niesprawny. Niełatwo zmienić takie nastawienie* – mówi Michał Herde, prezes warszawskiego oddziału Federacji Konsumentów.

Jednak im więcej wyrzucania, tym wyższa góra elektroodpadów. W Polsce rocznie zbiera się aż 11 kg zużytego sprzętu elektrycznego i elektronicznego w przeliczeniu na mieszkańca. Jesteśmy w tej niechlubnej klasyfikacji w środku europejskiej stawki. Aby ułatwić naprawy, Unia nie tylko chce do nich zachęcać wydłużonym okresem odpowiedzialności sprzedawcy, ale też zagwarantować dostęp do części zamiennych. Mają być oferowane przynajmniej przez siedem lat (dla sprzętu elektronicznego) lub dziesięć lat (dla AGD) po zakończeniu produkcji konkretnego modelu.

Na tym nie koniec. Zgodnie z dyrektywą koszty takich części powinny być „rozsądne". Tak samo jak koszt naprawy urządzeń. – *Pomysł bardzo szczytny, ale kto ma określić, co jest rozsądne, a co nie? Być może więcej sporów będzie trafiać do sądów. Niestety, nasze sądy mają problemy z prawem konsumenckim, bo wielu sędziów go po prostu nie zna* – mówi Grzegorz Miś, powiatowy rzecznik konsumentów we Wrocławiu.

W ramach nowych przepisów powstanie europejska platforma informacji o naprawie. Na niej lokalni przedsiębiorcy będą mogli bezpłatnie reklamować swoje usługi. Dzięki temu konsumenci mają łatwo znaleźć fachowca w swojej okolicy. Polską sekcją platformy będzie zarządzał UOKiK. Pytanie tylko, czy taka baza danych okaże się popularna, skoro dzisiaj instynktownie szukamy wszystkiego w zwykłych internetowych wyszukiwarkach. Unijna platforma nie rozwiąże też innego, jeszcze poważniejszego problemu – coraz wyższych rachunków za naprawy z powodu coraz droższej pracy specjalistów. Często sam ich dojazd do klienta jest na tyle kosztowny, że możemy poważnie zastanawiać się, czy chcemy ratować pralkę albo lodówkę.

Zacięta konkurencja na rynku producentów, zwłaszcza za sprawą chińskich graczy, sprawia, że ceny wielu urządzeń AGD praktycznie nie rosną – zwłaszcza w przypadku tańszych modeli. Tymczasem koszty robocizny szybko się zwiększają. Dochodzi zatem do paradoksalnej sytuacji: jesteśmy namawiani do naprawiania w imię ekologii i odpowiedzialności za planetę, a równocześnie różnica między kosztem zakupu nowego urządzenia a naprawą starego staje się coraz mniejsza. Aby to zmienić, potrzebna byłaby rewolucyjna zmiana zasad, np. dopłacanie z budżetu do napraw, a równocześnie obłożenie nowych sprzętów ▶

ebracsa.pl 0ca0981d75

▶ znacznie wyższymi podatkami. Trudno sobie wyobrazić polityka chętnego do takiej straceńczej misji.

Jednak chyba największym wrogiem naprawiania nie są nawet jego koszty, lecz marketingowy przekaz producentów. – *Przekonują oni, że każda kolejna generacja urządzeń jest dużo lepsza od poprzedniej. Często przecież wymieniamy sprzęty, zwłaszcza elektroniczne, nie z powodu awarii, a dlatego, że chcemy wypróbować nowy gadżet. Równocześnie producenci starają się nas zniechęcać do zbyt długiego użytkowania starszych produktów. Zdarza się, że sięgają w tym celu po metody zwane celowym postarzaniem. Mieliśmy przypadki drukarek, które przestawały działać po osiągnięciu pewnej liczby stron czy po zastosowaniu zamiennego tuszu. Powszechne stosowanie plastikowych części w różnych urządzeniach w naturalny sposób skraca okres ich żywotności. Ważne, aby konsument otrzymywał jasny komunikat: jak długo powinien wytrzymać sprzęt, który kupuje* – podkreśla Michał Herde z Federacji Konsumentów.

Sam sposób projektowania urządzeń też wysyła jasny komunikat dla klienta. Kiedyś na przykład wymiana baterii w smartfonie była łatwa, dzisiaj to skomplikowana i kosztowna operacja. Ale po co w ogóle to robić? Narracja producenta jest prosta: jeśli bateria szybko się rozładowuje, to przecież jasny sygnał, że trzeba kupić nowy telefon. I w ten sposób uzyskać dostęp do wielu nowych funkcji, z których większość okaże nam się zupełnie niepotrzebna.

Nie znaczy to oczywiście, że naprawianie zawsze ma sens. Każdy musi sam odpowiedzieć na pytanie, kiedy opłaca się inwestować w stare urządzenie, a kiedy jednak lepiej się z nim rozstać. – *Warto brać pod uwagę nie tylko koszty środowiskowe związane z wyprodukowaniem nowego sprzętu, ale też jego eksploatacją. W ubiegłym roku przygotowaliśmy raport razem z Krajową Agencją Poszanowania Energii. Analizowaliśmy lodówki, bo to sprzęt odpowiedzialny za zużycie znacznej części energii w naszych gospodarstwach domowych. Okazało się, że 80 proc. wpływu lodówki na środowisko związanych jest z jej użytkowaniem. Lodówki średniej wielkości wyprodukowane 15 lat temu potrzebują nawet ok. 600 kilowatogodzin energii rocznie, podczas gdy porównywalny nowy sprzęt zużywa tylko ok. 100 kilowatogodzin rocznie. Zachęcamy klientów, aby patrzeć na cały cykl życia produktu. Wówczas niższy ślad węglowy pozwala osiągnąć wymiana urządzenia* – mówi Radosław Maj, dyrektor projektów w Związku Pracodawców AGD APPLiA Polska.

Czasem jednak można opóźnić moment, w którym pojawia się dylemat: naprawiać czy wyrzucać. Wystarczy po prostu dbać o sprzęt, a z tym też mamy spore problemy. – *Wiele osób zapomina o podstawowej konserwacji: odkamienianiu ekspresu do kawy, czyszczeniu filtra pralki. Tymczasem w przypadku AGD często wystarczą środki, które mamy pod ręką: soda, ocet czy sok z cytryny. Kiedy ostatnio gruntownie czyściliśmy lodówkę albo rurę od odkurzacza? Najczęściej reagujemy dopiero wtedy, gdy sam sprzęt nam o tym przypomni, psując się* – mówi Monika Pobrotyń z north.pl. Łatwy dostęp do nowych urządzeń i rosnąca zamożność sprawiły, że naprawianie zeszło na drugi plan. Nie troszczymy się też o nasze sprzęty, skoro tak łatwo (a często również tanio) można je wymienić. Nowe przepisy mają nas skłonić, żebyśmy przynajmniej rozważyli naprawę zepsutego lub zużytego urządzenia.

CEZARY KOWANDA

Sanatoria pod klepsydrą

Podwarszawski Konstancin, polskie Beverly Hills, traci swój wyjątkowy charakter. Grunty stały się cenniejsze niż stojące na nich wille i pensjonaty. W uzdrowisko wdziera się deweloperka.

JOANNA SOLSKA

Rezydencja Lwa Rywina zarasta trawą, od kilku lat nikt tu nie mieszka. Posiadłość Ryszarda Krauzego zmieniła właściciela, gdy ten wpadł w kłopoty finansowe, nowego lokatora mieszkańcy miasta nie znają. Rezydencje spadkobierców najbogatszych Polaków są wprawdzie nadal zadbane, ale na co dzień stoją puste. Dominika Kulczyk wyprowadziła się do Londynu, w Konstancinie tylko bywa. Z grona pionierów kapitalizmu został jeszcze Zbigniew Niemczycki, mieszka w zabytkowej willi Anna, którą odbudował. Sąsiedzi twierdzą, że pod ziemią są co najmniej jeszcze dwie nowe kondygnacje.

Puste domy w najbardziej reprezentacyjnej części Konstancina sprawiają wrażenie, że miasto wymiera – ubolewa Maria Górska, projektantka wzornictwa przemysłowego, córka architektów związanych z miastem od lat. Wrażenie potęgują niszczejące zabytkowe wille i pałacyki, których jest tutaj grubo ponad setka. Władze gminy sprzedawały je po preferencyjnych cenach, ale nie potrafią wyegzekwować od nabywców rewitalizacji, do której

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 0ca0981d75

Willa kupiona przez Jana Kulczyka. Jego córka Dominika wyprowadziła się do Londynu, w Konstancinie tylko bywa.

ci się zobowiązali. Zadowalają się tłumaczeniem, że z kolejnymi konserwatorami zabytków trudno się porozumieć, to droga przez mękę.

Najwięcej czasu, bo nawet trzy miesiące w roku, spędza na starych śmieciach Jerzy Starak, od lat kontrolujący swój polski biznes farmaceutyczny ze Szwajcarii. Kupił od przedwojennych właścicieli i restauruje pałacyk w Oborach, zamierza tu ulokować rodzinną galerię obrazów i rzeźby, zabiega o lepszy dojazd do Warszawy. Na razie bezskutecznie, jedyna droga w godzinach szczytu zawsze jest zakorkowana. Potentat farmaceutyczny jest też właścicielem zabytkowej niszczejącej willi.

Z kolei Jana Wejcherta, współzałożyciela TVN, mieszkańcy wspominają z wdzięcznością, to on odbudował Starą Papiernię, wcześniej nazywaną przez miejscowych szmaciarnią; teraz jest tam centrum handlowe. Przy okazji kupił willę Julisin, zbudowaną przed wojną dla warszawskiego przemysłowca Gustawa Wertheima, zaprojektowaną przez Czesława Przybylskiego, który projektował też Teatr Polski oraz stołeczny Dom bez Kantów. Spółka Wejcherta Konstancin Real Estate Management Julisin jednak zburzyła, choć miała pozwolenie tylko na modernizację i dobudowę krytego basenu. Dostała nakaz odbudowy, którego nie wykonała.

Biznesmen Ryszard Varisella korzystnie nabył od gminy trzy wille wpisane do rejestru zabytków; jeszcze stoją, choć w coraz gorszym stanie. Po co je kupili, skoro nie zamierzali przywrócić dawnej świetności?

Grunt to ziemia

Czesława Gasik, wieloletnia prezeska Towarzystwa Miłośników Piękna i Zabytków Konstancina (przejęła tę funkcję po Monice Żeromskiej, córce Stefana), zauważa z goryczą, że konserwatorzy zabytków tak mówią o konstancińskiej metodzie ich renowacji: – *Należy zrobić dziurę w dachu i czekać, aż deszcze doprowadzą architektoniczne perełki do stanu, kiedy nie będzie już czego ratować. Działkę można będzie sprzedać albo zbudować na niej, co się zechce.*

Nabywcom wielu zabytkowych willi nie chodziło o przywracanie im przedwojennej świetności, ale o grunty. W Konstancinie są najdroższe w kraju. Najlepiej o tym wie Adam Krzyżanowski, właściciel lokalnej agencji nieruchomości. – *Ziemia w Konstancinie ciągle drożeje do nawet 2 tys. zł za m kw.* – wyjaśnia. Najdroższa jest strefa A, uzdrowiskowa, tam przed wojną działki nie mogły być mniejsze niż 3,3 tys. m kw. W strefie A ulokowały się rezydencje najbogatszych.

Konstancin szybciej zyskał sławę, niż Polska odzyskała wolność, formalnie miasto stało się uzdrowiskiem jeszcze w 1917 r. Bankowcy i przemysłowcy musieli mieć tu rezydencje, nieco uboższe sfery przynajmniej co jakiś czas pokazać się w Parku Zdrojowym, przy tężniach czy zamieszkać latem w którymś ▶

© MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ z pensjonatów uzdrowiska. Po wojnie nowa władza rezydencje znacjonalizowała, do pięknych willi kwaterunek wprowadził nowych lokatorów, ale te najpiękniejsze kusiły także ludzi nowej władzy. Willa Wertheima stała się rezydencją Bolesława Bieruta. Przy kolejnym zakręcie historii do Konstancina wprowadziła się nowa elita, już III RP. Dołączyła do niej Małgorzata Niezabitowska, rodziny twórców TVN, także Jerzy Urban.

Strefa A pustoszeje

W 1990 r. w rejestrze zabytków znalazł się cały Konstancin jako zespół architektoniczno-urbanistyczny. Z faktu, że jako całość chroni go też ustawa uzdrowiskowa, niewiele wynika. Przedwojenni urbaniści całą strefę A zarezerwowali dla obiektów wyłącznie uzdrowiskowych. W willach zaprojektowanych przez najlepszych architektów mieściły się pensjonaty dla kuracjuszy. W obecnej Polsce te przepisy nadal obowiązują. Wszyscy nauczyli się je obchodzić.

Zarówno gmina, jak i samo Uzdrowisko Konstancin-Zdrój zaczęły wyprzedawać chronione tereny. Kiedy kolejni biznesmeni z czołówki rankingów najbogatszych stawali się ich nabywcami, zapewniali, że po rewitalizacji będą to pensjonaty dla sanatoryjnych gości. Deklarowali odpowiednią liczbę pokoi gościnnych, budowę basenów, udogodnień dla osób z niepełnosprawnościami. – *Tyle że potem rezydencje nie przyjmowały żadnych gości, oprócz swoich, prywatnych. Wszyscy to widzą. Uzdrowisko się kurczy.*

– *Państwo sprywatyzowało uzdrowiska w 2012 r., nabywcą został Fundusz Inwestycyjny Banku Polskiej Spółdzielczości* – pamięta Krzysztof Żyndul, były dyrektor uzdrowiska. Wkrótce potem fundusz przejął też od państwa uzdrowisko w Nałęczowie, Iwoniczu i Kamieniu Pomorskim. Ich obecnym właścicielem jest fundusz inwestycyjny Uzdrowiska Polskie. Wspólny dla Konstancina i Nałęczowa jest także prezes Maciej Markowski, rzadko widywany w Konstancinie. Podobnie jak główna lekarka uzdrowiska.

– *Po prywatyzacji uzdrowisko zajęło się głównie wyprzedażą obiektów sanatoryjnych* – twierdzi prof. Stanisława Golinowska, związana z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale mieszkająca w Konstancinie. Wraz z grupą mieszkańców i radnych postanowili ratować Konstancin, zanim stanie się Józefosławiem, słynnym z podwarszawskiej zabudowy „łanowej". Żeby było to możliwe, trzeba najpierw uratować samo uzdrowisko jako instytucję.

Prof. Golinowska zauważa, że ze strefy A ubywają kolejne obiekty. Zniknął zakład rehabilitacji kardiologicznej dla osób po zawałach serca, a grunt został sprzedany pod budowę rezydencji „złomiarza". Formalnym nabywcą jest spółka Obrót Metalami Nieżelaznymi Metal Gret z Radomia. Ponieważ większość rezydencji w Konstancinie jest utrzymywana przez firmy ich właścicieli, nie zawsze wiadomo, kto w nich mieszka naprawdę i jakie ma plany.

Dla lasu lepiej, żeby go wyciąć

Żeby powstało uzdrowisko, miejscowość musi mieć korzystny dla kuracjuszy mikroklimat, tutaj zapewniają go lasy i źródła solanki. Zarząd postanowił właśnie, że stuletni sosnowy las trzeba wyciąć, bo akurat na tym miejscu zamierza wybudować obiekt szpitalno-rehabilitacyjny o bliżej niesprecyzowanym profilu. Doktor Czesława Gasik, która przez wiele lat pełniła funkcję naczelnego lekarza uzdrowiska, nie kryje oburzenia. – *Konstancin swój mikroklimat zawdzięcza* (tak jak ulokowany po drugiej stronie Wisły Otwock – przyp. red.) *właśnie sosnowym lasom i wydzielanym przez sosny olejkom eterycznym, ich wycięcia zabrania ustawa uzdrowiskowa. Taki pomysł świadczy o tym, że na uzdrowisku nie zależy ani zarządowi uzdrowiska, ani gminie.*

1. Centrum handlowe w Starej Papierni, odbudowanej przez Jana Wejcherta. 2. Prywatne muzeum sztuki w Villi la Fleur. 3. Willa kupiona przez Żeromskiego, dziś mieści się tu muzeum pisarza. 4. Willa Wertheima, późniejsza rezydencja Bolesława Bieruta.

Kiedy radni i mieszkańcy oburzyli się na pomysł wycinki, burmistrz Michał Wiśniewski zaprosił do ratusza leśnika, który stwierdził, że dla lasu będzie lepiej, jak zostanie wycięty. Jego argumenty powtarza burmistrz. – *Las ma już sto lat, przy obecnych zmianach klimatu nie przetrwa dłużej niż kolejne 20, już choruje.* Więc lepiej go wyciąć. Burmistrz zaprzecza, że gminie nie zależy, aby Konstancin utrzymał status uzdrowiska, dziś jedynego zresztą na Mazowszu (wszystkich jest w kraju 48). Fakty temu przeczą. Kiedy NIK kontrolowała polskie uzdrowiska, okazało się, że wiele z nich powinno status uzdrowiska stracić z powodu fatalnej jakości powietrza. Wśród nich znalazł się także Konstancin. Status weryfikuje się co 10 lat, w sprawie Konstancina Ministerstwo Zdrowia podejmie decyzję w 2028 r. Miasto nie zrobiło w tym czasie nic, żeby jakość powietrza poprawić, raczej się pogorszyła.

Jerzy Głuszyński, socjolog, dawny szef Pentora, obecnie w gronie walczących o przyszłość miasta, najbardziej obawia się jednak, że obecny zarząd uzdrowiska Konstancin sam się tego statusu zrzeknie. Wtedy można będzie sprzedać resztę działek już bez żadnych ograniczeń. W mieście huczy od plotek, kto z urzędu jest kupnem najbardziej zainteresowany.

Komu się nie chce

Liczba łóżek sanatoryjnych topnieje, nawet 200 nie można się doliczyć, więc pożytek z miejscowych źródeł solanki dla pacjentów z chorobami oddechowymi coraz mniejszy, a i tężnie często w remoncie. – *Uzdrowisko woli zarabiać na eksporcie solanki* – twierdzi Jerzy Głuszyński. Argumentów, że zarząd może

© BORYS CZONKOW/EAST NEWS, WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM, MAREK BAZAK/EAST NEWS, MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

eprasa.pl 0ca0981d75

2

zechcieć się sam zrzec statusu uzdrowiska, przybywa. Gdyby tak się stało, miasta nie chroniłoby już nic przed deweloperami.

Byłby to więc dramat dla chorych z narządami ruchu, chorobami neurologicznymi, rekonwalescentów po zawałach i operacjach ortopedycznych, którzy szukają pomocy w prywatnym CKR (Centrum Kompleksowej Rehabilitacji), a także w Stocerze, czyli Szpitalu im. Prof. Mariana Weissa (kiedyś Stołecznym Centrum Rehabilitacji), który należy do województwa stołecznego, czyli o jego losach decyduje marszałek Struzik.

– *Prof. Weiss rozsławił Konstancin na całym świecie i miasto mogłoby się pięknie rozwijać, operując kręgosłupy i przywracając sprawność także osobom spoza Polski, tak jak to dzieje się w Ciechocinku, choć on prof. Weissa nie miał* – uważa Jerzy Karwowski, twórca CKR. Konstancin zachowałby swój charakter bez zalewania go betonem i dzielenia zalesionych działek na coraz mniejsze. Bez statusu uzdrowiska zostanie zniszczony.

Konstancin nie musiałby się takiego losu obawiać, gdyby tzw. operat uzdrowiskowy, czyli prawo do prowadzenia uzdrowiska, nadal posiadało CKR, ale przed trzema laty centrum samo z niego zrezygnowało, choć nadal ma kontrakt z NFZ. Właściciel chciał je rozbudować, ale w strefie A nie mógł, bo zmniejszyłaby się bardziej, niż pozwalają przepisy uzdrowiskowe, „powierzchnia czynna biologicznie", czyli po prostu trawa. W przypadku rezydencji, których budowa w strefie chronionej była łamaniem prawa, nikt nie protestował. Więc Karwowscy z operatu uzdrowiskowego zrezygnowali sami, tym bardziej że kontrakt z NFZ na uzdrowiskowe łóżka nie bardzo się opłacał. Obecnie byłby opłacalny, ale CKR działalności uzdrowiskowej już prowadzić nie chce, choć jak zapewnia Jerzy Karwowski: – *I mnie na uzdrowisku w Konstancinie zależy. Pacjentom, którzy przyjadą leczyć się do nas czy do Stoceru, też zależy na tym, żeby móc wyjść do parku zdrojowego i pospacerować po czystej, atrakcyjnej okolicy.*

Obrońcy Konstancina pod wodzą prof. Golinowskiej przekonują marszałka Struzika, że o operat powinien postarać się więc publiczny Stocer. Do wojewody mazowieckiego mają postulat, by naczelna lekarka Uzdrowiska w Nałęczowie, która pełni też tę funkcję w Konstancinie z nominacji wojewody, została zamieniona na kogoś, komu jednak na uzdrowisku zależy. Brak zainteresowania władz wojewódzkich skończy się tym, że Konstancin zostanie luksusową sypialnią Warszawy, w której warunki dyktować będą deweloperzy.

Bogaty biznes nie wydaje się przyszłością Konstancina zainteresowany, wyrósł z tego miejsca, wrasta w Londyn, Monte Carlo i tam, gdzie przeniósł rezydencję podatkową, żeby zmniejszyć swoje obciążenia w ojczyźnie. Więc prof. Stanisława Golinowska wraz z grupą lokalnych aktywistów do najbogatszych mieszkańców o wsparcie nawet się nie zwracała. – *Ich to niewiele obchodzi, chociaż ich rezydencje i działki z niszczejącymi zabytkami stracą także na wartości* – mówi.

Uzdrowisko, nie sypialnia

Daniel Petryczkiewicz, przyrodnik, mieszka w Konstancinie od 18 lat, na posiedzeniach rady miasta bywa bardzo często, ale dopiero niedawno dowiedział się, że przyszłość całego miasta wisi na jednej prywatnej firmie z Nałęczowa: Funduszu inwestycyjnym, do którego należą ziemia i całe Uzdrowisko Konstancin-Zdrój. Ma pretensje do burmistrza, że o tak ważnych sprawach nigdy się w gminie nie dyskutowało.

Mieszkańcy zainteresowali się przyszłością miasta, gdy dowiedzieli się, że radni wstępnie zaakceptowali budowę pierwszego etapu deweloperskiej inwestycji firmy Arche, nie bardzo wnikając w to, co oznacza ona dla miasta. Deweloper kupił w Jeziornie (Konstancin od Jeziorny oddziela rzeka Jeziorka) 50 ha po nieczynnej już fabryce papieru i zamierza je zabudować. Dopiero gdy okazało się, że w planie jest budowa kilkudziesięciu bloków wielorodzinnych, zaczęły się masowe protesty. Konstancin niemalże podwoiłby liczbę mieszkańców, czego nie udźwignęłaby miejska infrastruktura.

Konstancin nie chce stać się jedynie sypialnią Warszawy, więc na sesjach rady miasta zaczęło być burzliwie. Mnożą się zarzuty pod adresem burmistrza, że strategię rozwoju miasta zamówił w poznańskiej firmie, nie konsultując jej z mieszkańcami. Pytania, dlaczego burmistrz zrezygnował z oceny wpływu inwestycji Arche na środowisko, skoro na terenach przewidzianych pod budowę bloków wielorodzinnych przez lata wyrzucano odpady; skąd wiadomo, że nie są toksyczne? Żeby prawnik Andrzej Czub mógł je zadać, musiał zdobyć wcześniej 50 podpisów radnych.

W Konstancinie robi się gorąco. Rada miasta odmówiła burmistrzowi absolutorium. Aktywiści pod egidą prof. Golinowskiej oraz radni opracowali własną strategię rozwoju miasta. Chcą uzdrowiska, nie sypialni dla stolicy, do której droga zakorkuje się na amen. Wyłonił się jednak problem prawny, czy mają ją przekazać radzie miasta, czy może burmistrzowi? Były burmistrz, obecnie radny Marek Skowroński z PiS, który przy pisaniu strategii współpracował, nagle zagroził, że procedowanie strategii zablokuje, jeśli nie znajdzie się w niej zapis, że okoliczni rolnicy mogą swoją ziemią dysponować według własnej woli. W domyśle – sprzedawać pod deweloperkę.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 0ca0981d75

Sułtan swingu

Dotychczas NATO traktowało Recepa Tayyipa Erdoğana jako sojusznika, który tylko czasami źle się zachowuje. Ale jego Turcja, goszcząca właśnie szczyt Sojuszu, jest coraz częściej rywalem, który tylko okazjonalnie współpracuje.

ŁUKASZ WÓJCIK

Turcja gości szczyt NATO po raz pierwszy od 2004 r. Na miejscu zapowiedziało się 32 przywódców państw członkowskich oraz partnerzy Sojuszu z Zatoki Perskiej i Azji. Główne tematy: przyszłość NATO oraz Iran i Ukraina – to w Ankarze. W Stambule: dziesiątki wydarzeń, sympozjów i wycieczek z przewodnikiem. Turcja wyłożyła na organizację tego szczytu 250 mln dol.,

Spotkanie szefów parlamentów państw NATO z prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem (pośrodku za stołem), Stambuł, 29 czerwca

eprasa.pl 0ca0981d75

w tym na przygotowanie lotniska, naprawę dróg i chodników. Władze zakazały jakichkolwiek protestów i innych zgromadzeń publicznych. Prewencyjnie „aresztowano" ponad 200 osób, w tym wielu politycznych aktywistów.

Dla Recepa Tayyipa Erdoğana to jednak mało. Prezydent Turcji chce, żeby jego goście nie tylko uczestniczyli w szczycie, ale też podzielili jego narrację. Dlatego wszyscy otrzymali trzy eleganckie książki przygotowane specjalnie na tę okazję: o walce z terroryzmem, o potędze militarnej Turcji oraz jej pozycji międzynarodowej. – *Przekaz Erdoğana jest jasny: Turcja nie jest żadnym „mostem Wschód–Zachód", jak stereotypowo mówi się na Zachodzie, nie jest pośrednikiem w interesach innych, ale państwem z własnymi interesami* – twierdzi Gönül Tol, ekspertka z prestiżowego Middle East Institute.

Metody osiągnięcia tego celu wyłożył niedawno wypływowy szef tureckiego MSZ Hakan Fidan. Otóż kraje regionu bliskowschodniego (według Fidana również Turcja) nie mogą już opierać swojego bezpieczeństwa wyłącznie na sojuszach zewnętrznych, czyli NATO, oraz na kapryśnym amerykańskim wsparciu. Ankara musi stworzyć nowe, bliskowschodnie układy bezpieczeństwa – oczywiście z Turcją w centrum. A Sojusz Północnoatlantycki zaczyna jej w tym przeszkadzać.

1 Na poziomie deklaracji niewiele się zmieniło. NATO wciąż jest dla Turcji „fundamentem bezpieczeństwa" (to Erdoğan) i „kamieniem węgielnym spokoju" (jeden z tureckich ministrów). Przed szczytem Erdoğan dużo mówił o konieczności budowy w ramach Sojuszu „bezwarunkowej" sieci bezpieczeństwa i obrony „od Teksasu po Ankarę". To nadal działa w dwie strony. W marcu obrona powietrzna Sojuszu zestrzeliła cztery irańskie pociski balistyczne lecące w stronę Turcji. Na jej terytorium są dwie duże bazy NATO i stacja radarowa – wszystkie te ośrodki mają być rozbudowywane. Niemcy właśnie instalują na południu Turcji system obrony powietrznej Patriot wraz ze 150 żołnierzami.

Europa chucha i dmucha na Turcję, zdając sobie sprawę z jej geopolitycznego znaczenia. Na początku 2016 r. Unia Europejska, próbując powstrzymać napływ uchodźców z Syrii, zawarła z Ankarą porozumienie w sprawie migracji. Bruksela zobowiązała się przekazać Turcji 6 mld euro na pomoc dla uchodźców, a nawet opóźniła wydanie druzgocącego raportu o prawach człowieka w Turcji.

Tu niewiele się zmieniło. Niedawno kanclerz Friedrich Merz dziękował Erdoğanowi za udział w zakończeniu wojny w Gazie (swoją drogą, raczej wątpliwy), Emmanuel Macron włączył wojska tureckie – obok francuskich i brytyjskich – do grupy zadaniowej, która mogłaby zostać wysłana do Ukrainy po potencjalnym porozumieniu pokojowym z Rosją (Erdoğan niedługo później odrzucił ten pomysł). W listopadzie w Ankarze papież Leon XIV wezwał Erdoğana do uczynienia z Turcji „źródła stabilności i zbliżenia między narodami, w służbie sprawiedliwego i trwałego pokoju".

Europa wie, za co płaci. Turcja ma w Syrii kilka tysięcy żołnierzy zapewniających spokój, który jest niezbędny, aby zapobiec kolejnej fali uchodźców. Z podobnych przyczyn utrzymuje swój kontyngent w Libii. Na Kaukazie Południowym, czyli w kluczowym dla Europy korytarzu handlowym i transportowym (surowce energetyczne), wiele europejskich rządów liczy na Turcję w roli jedynego pośrednika, który może utrzymać pokój między Armenią i Azerbejdżanem.

– *Dla NATO coraz większym problemem są tureckie relacje z Izraelem, które w ostatnich latach – głównie z powodu izraelskich interwencji w Strefie Gazy, Libanie i Syrii – osiągnęły temperaturę wrzenia* – mówi specjalistka od tureckiej polityki zagranicznej Meliha Altunışık. – *Ankara wynagradza to Sojuszowi, odgrywając rolę cichego pośrednika w relacjach z Rosją. Europejczycy przede wszystkim widzą jednak w Erdoğanie jedynego człowieka, który może utrzymać Trumpa w NATO.* Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, otwarcie podziwia autorytaryzm Erdoğana – wielokrotnie nazywał go „przyjacielem" i „bardzo silnym przywódcą". Kilka dni temu Trump powiedział dziennikarzom, że pojedzie na szczyt Sojuszu tylko dlatego, że jego gospodarzem będzie Erdoğan.

2 Pytanie tylko, czy Trump zdaje sobie sprawę, że jego „przyjaciel" Erdoğan chce zbudować nowy regionalny porządek na kontrze do NATO i USA. Na wewnętrzny użytek Erdoğan często określa Stany mianem „imperialistycznego sponsora terroryzmu", „słabnącego hegemona" i głównego architekta regionalnego chaosu. Jak to połączyć z pochlebstwami pod adresem Trumpa i globalnej roli Ameryki podczas bezpośrednich spotkań obu liderów? Gdy rozmawia się z tureckimi ekspertami, nie pada słowo „hipokryzja", lecz „pragmatyzm".

– *Cel Turcji jest jasno sformułowany: strategiczna autonomia (od USA) i prymat regionalny na postamerykańskim Bliskim Wschodzie* – przekonuje Cinar Ozen, politolog z Uniwersytetu Ankarskiego. – *Erdoğan próbuje dokonać geopolitycznego swingu stulecia. Amerykańskie wsparcie, polityczne czy sprzętowe, to tylko lewar, który krótkoterminowe pogłębienie zależności zamieni w dalszej perspektywie w samodzielność technologiczną i polityczną. Turcja w ten sposób wykorzystuje narzędzia hegemona w taki sposób, że hegemon wkrótce straci swą pozycję.*

O jakie narzędzia chodzi? O te, które (na razie) są poza tureckim zasięgiem. Turcja świetnie radzi sobie z produkcją dronów bojowych, które sprzedaje się na całym świecie. Nieźle rozwija się program budowy całej rodziny okrętów (Miglem). Jednak wąskim gardłem rozwoju wojskowych technologii są nowoczesne silniki odrzutowe, których Turcja nie potrafi jeszcze budować.

A sytuacja w powietrzu robi się dla Ankary nieciekawa, szczególnie w rejonie Morza Egejskiego. Według tureckich think tanków obecna modernizacja greckiego lotnictwa, czyli m.in. unowocześnienie amerykańskich samolotów F-16 i zakup kolejnych francuskich Rafale, sprawi, że do 2030 r. Ateny będą dominować technologicznie. Chyba że Turcja dokończy projekt swojego samolotu KAAN. Ale tu brakowało jej nowoczesnych silników. To może się zmienić, bo Trump przed szczytem NATO sugerował, że zgodzi się na ich sprzedaż Ankarze.

Te zabiegi nie przeszkadzają sponsorowanym przez turecki rząd instytucjom atakować USA. Fundacja SETA, główny think tank partii Erdoğana, argumentuje, że Amerykanie wspierają kurdyjskich „terrorystów" w Syrii i umożliwiają „ludobójstwo" w Strefie Gazy. I jednocześnie w rozbudowanych analizach przekonuje, że amerykański Lockheed Martin ma najlepsze silniki lotnicze na świecie.

3 Podobnie działających think tanków jest w Turcji wiele. Od lat tworzą „intelektualne rusztowanie", jak mówią sami Turcy, pod następujący zestaw tez (cytaty z oficjalnych raportów): „Stany Zjednoczone aktywnie uzbrajają i finansują organizacje terrorystyczne na naszej południowej granicy" (chodzi o Kurdów), „Waszyngton udziela bezwarunkowego wsparcia dla izraelskiej ▶

© MUSTAFA KAMACI/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ polityki ludobójstwa", „Era niekontrolowanej, jednobiegunowej hegemonii amerykańskiej dobiegła końca na zawsze". Instytut ASSAM, założony i kierowany przez bliskiego doradcę Erdoğana, wzywa do utworzenia „islamskiej konfederacji" w celu przeciwstawienia się amerykańskiej potędze.

W podobnym tonie wypowiadają się ważni politycy koalicji rządzącej. Przywódca sojuszniczych nacjonalistów Devlet Bahçeli nazywa regionalne dowództwo USA „patronem terroryzmu". Wiceprzewodniczący AKP Süleyman Soylu nadal się upiera, że „Ameryka stoi za próbą zamachu stanu z 2016 r." (przeciw Erdoğanowi zbuntowała się wówczas część armii). Sam Erdoğan płynnie przechodzi od ostrych ataków na USA do chłodnych negocjacji z Trumpem. Ale to właśnie nie jest sprzeczność, lecz strategia.

Ten antyamerykanizm w Turcji został zaprojektowany, wyprodukowany w instytucjach powiązanych z państwem, wcielony w oficjalną doktrynę i jest realizowany przez administrację prezydencką, MSZ i służby wywiadowcze. Często przez tych samych ludzi, którzy wcześniej wszystko to wymyślili w think tankach. Najgłośniejszym przykładem jest tu İbrahim Kalın, założyciel wspomnianej Fundacji SETA, później rzecznik Erdoğana, a dziś szef służb wywiadowczych.

Wszystko to pada na bardzo podatny grunt społecznego antyamerykanizmu – i szerzej: niechęci do całego Zachodu – rosnących od samego początku tureckiej republiki. Zapytajcie losowego Turka, co myśli o Ameryce. W odpowiedzi usłyszycie zapewne mieszankę lewicowej i antyimperialistycznej retoryki, krytyki konsumpcjonizmu, opowieści o zdradzie Zachodu (syndrom z Sèvres), a przynajmniej o tym, jak Amerykanie i Europejczycy od dekad instrumentalnie traktują Turcję. Według badań Europejskiej Rady Stosunków Zagranicznych tylko 11 proc. Turków postrzega USA jako sojusznika, z którym podzielają wartości. Jednocześnie 42 proc. Turków uważa Amerykę za niezbędnego partnera – przynajmniej na razie.

4 Zachód miał wobec Turcji ogromne nadzieje. Dwie dekady temu podziwiał neoosmańskie ambicje Erdoğana na Bliskim Wschodzie – Turcja miała być tam nie tylko inwestorem-mecenasem, lecz również demokratycznym wzorcem, który – jeśli by został przyjęty – zapewniłby stabilność również Europie. Ten neoosmański model jednak załamał się podczas arabskiej wiosny – transformacja polityczna, którą Turcja próbowała forsować w Egipcie, Syrii i Jemenie, nie doszła do skutku. Teraz, gdy Turcja sama nie jest już demokracją, nie jest też zainteresowana zmianą ustrojów politycznych u swoich sąsiadów, a bardziej wykorzystaniem presji, twardej siły i układów transakcyjnych. Działa zgodnie ze starą amerykańską zasadą „sukinsyn, ale nasz".

Nie zmieniło się tylko jedno. – *Turcja nadal postrzega budowanie swoich wpływów na szeroko rozumianym Bliskim Wschodzie jako tworzenie tzw. strategicznej głębi. Im większe znaczenie będzie mieć w tym kluczowym dla świata regionie, tym poważniej potraktuje ją Zachód* – mówi Cinar Ozen.

W naszych rozmowach tureccy eksperci związani z rządem określają Turcję jako gwaranta stabilności „od Kaukazu po Lewant". Tylko w ciągu ostatniej dekady Ankara podpisała partnerstwa obronne z Albanią, Algierią, Azerbejdżanem, Bośnią, Etiopią, Libią, Nigrem, Pakistanem, Katarem, Somalią, Syrią i Tunezją. W Libii zawiera kolejne umowy gospodarcze oraz zapewnia m.in. szkolenia dla organów ścigania i wojska.

Z tej perspektywy jeszcze ciekawszy jest Kaukaz. W 2020 r. Turcja poparła bliski pod wieloma względami Azerbejdżan w wojnie z Armenią. Po wojnie tureckie firmy miały dwuletnie eldorado przy odbudowie. Teraz Turcja próbuje zaprzyjaźnić się z Armenią, z którą łączy ją fatalna przeszłość, i z tymi dwoma państwami stworzyć regionalny układ gospodarczy, który zmniejszyłby wpływy Iranu i Rosji na Kaukazie.

Szczególnym laboratorium stała się dla Turcji Syria. Ankara de facto kontroluje syryjskie terytorium zaraz przy granicy. Buduje tam szkoły, szpitale i inne budynki publiczne. A wszystko za zgodą prezydenta Syrii Ahmeda Szary, którego wspierała na długo przed upadkiem Baszara Asada. Turcja zapewnia nowej władzy szkolenia wojskowe, pomaga w zarządzaniu granicami, przekazuje pomoc humanitarną, sprzęt rolniczy i nasiona. Tureckie firmy zdobywają rządowe kontrakty, często jako wyraz wdzięczności za wstawiennictwo Ankary w Waszyngtonie przy znoszeniu sankcji.

5 Jeszcze ciekawiej się dzieje wokół Kurdów. W Turcji przez lata dominowało przekonanie (w zasadzie zgodne z prawdą), że sąsiednie kraje, w których również mieszkają Kurdowie, wykorzystują ich do zastraszania Turcji. Dając im swobodę działania u siebie, tworzą zaplecze dla Kurdów mieszkających w Turcji. Baszar Asad, a wcześniej jego ojciec Hafiz, grali tą kartą przez dekady. Teraz, gdy w Damaszku jest przyjazna władza, Turcja może rozmawiać z Kurdami z pozycji siły.

A Erdoğan ma co najmniej dwa powody, by z nimi rozmawiać. Ten bardziej przyziemny dotyczy przedłużenia jego prezydentury. W 2028 r. kończy mu się druga i ostatnia kadencja. Jednak licznik można „przekręcić", gdyby doszło do skrócenia obecnej kadencji lub uchwalenia nowej konstytucji. Do tego jednak Erdoğan potrzebuje kurdyjskich głosów w parlamencie. Sprawę komplikuje fakt, że Selahattin Demirtaş, lider kurdyjskiego ugrupowania, od dekady przebywa w tureckim więzieniu na podstawie fikcyjnych zarzutów. Ale nie takie sprawy Erdoğan w przeszłości załatwiał. To zresztą już się dzieje – w 2024 r. tureckie władze rozpoczęły rozmowy z innym uwięzionym przywódcą kurdyjskim Abdullahem Öcalanem.

Drugi powód rozmów z Kurdami jest bardziej górnolotny. Dają Erdoğanowi pretekst do rozluźnienia sztywnego nacjonalizmu, który definiował jego rządy przez ostatnią dekadę. A to przepustka do realizacji regionalnych ambicji. Zarówno Erdoğan, jak i jego najbliżsi współpracownicy opowiadają o przyszłym sojuszu turecko-kurdyjsko-arabskim jako fundamencie nowego porządku w regionie. Znów stają się grupą rekonstrukcyjną Imperium Osmańskiego, tylko już w wersji autorytarnej. Erdoğan napisał niedawno na platformie X, że „historia jest pełna sukcesów, jakie osiągnęliśmy zarówno w kraju, jak i za granicą, gdy Turcy, Kurdowie i Arabowie byli jednością".

Erdoğanowi od dawna marzy się porządek wielobiegunowy. Często mówi: „Świat jest większy niż pięć", odnosząc się do liczby stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. W tej wizji coraz mniej jest miejsca dla Zachodu, który przestaje być dla Turcji cywilizacyjnym punktem odniesienia, celem aspiracji. Na tej samej zasadzie spada dla Turcji znaczenie Sojuszu Północnoatlantyckiego – i spadnie jeszcze bardziej, jeśli od NATO odwróci się Ameryka. Żadne piękne słowa Erdoğana na szczycie Sojuszu w Ankarze tego nie zmienią.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 0ca0981d75

Nikt się nie spodziewał albańskiej rewolucji, nawet Albańczycy. Ale nie mieli wyjścia, bo ich ojczyzna tylko udaje turystyczny raj, a tak naprawdę stała się narkopaństwem.

Wolne flamingi

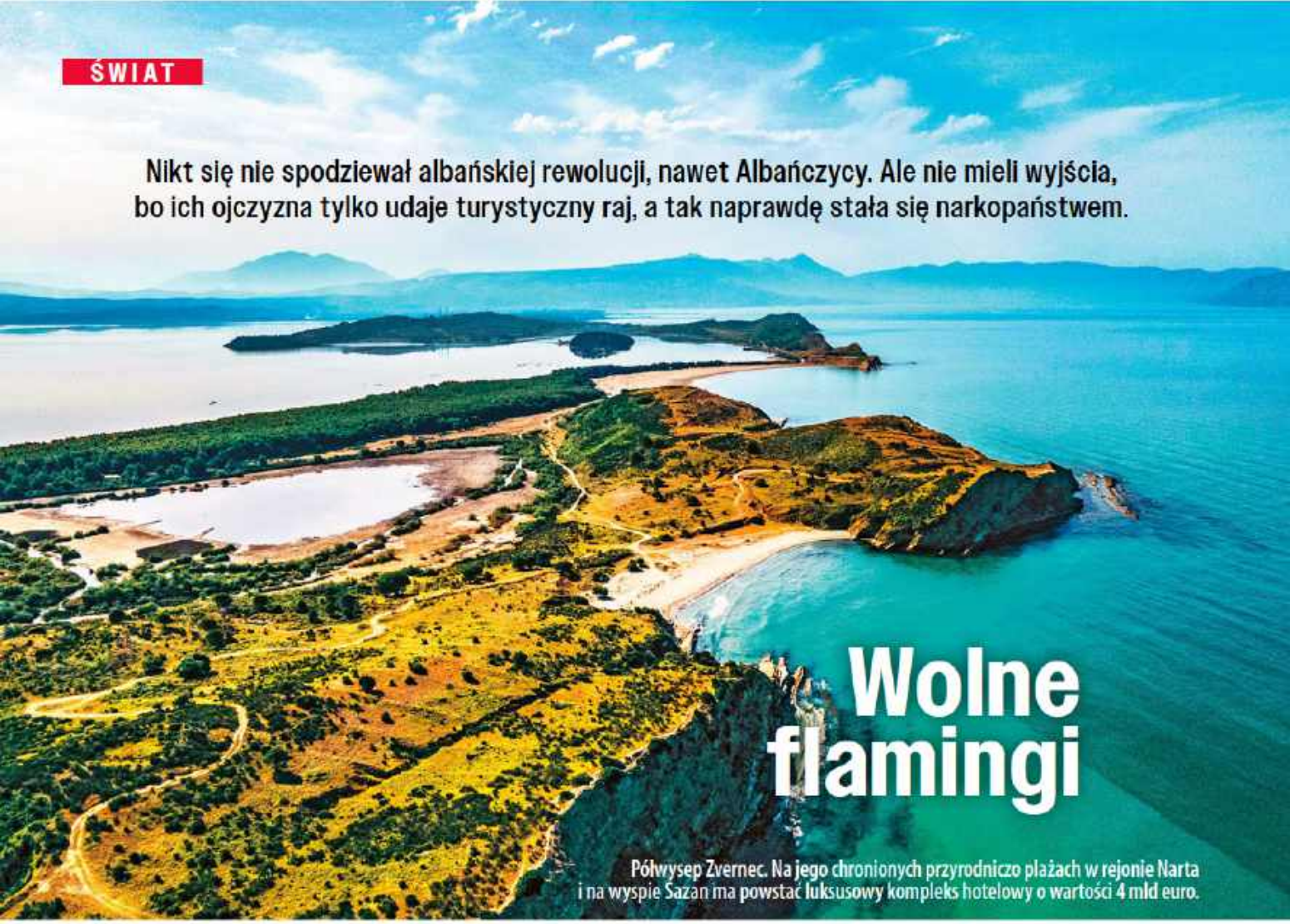

Półwysep Zvernec. Na jego chronionych przyrodniczo plażach w rejonie Narta i na wyspie Sazan ma powstać luksusowy kompleks hotelowy o wartości 4 mld euro.

MAŁGORZATA REJMER Z TIRANY

Międzynarodowe media donoszą, że „kraj orłów stał się bałkańskim tygrysem". Wzrost PKB od pandemii: średnio 4 proc. rocznie. Pod okiem premiera Ediego Ramy Tirana i wybrzeże zamieniają się w plac budowy, a w mediach raz po raz ogłaszane są kolejne brawurowe projekty wieżowców. Boom budowlany nakręca boom turystyczny – w 2025 r. „Malediwy Europy" odwiedziło rekordowe 12 mln turystów (mieszkańców jest 2,4 mln).

Rama rządzi Albanią od 13 lat. Charyzmatyczny wizjoner i mistrz wizerunku, kiedyś zawodowy koszykarz, uznany malarz i zręczny publicysta, ku uciesze reporterów klęka przed Giorgią Meloni, ściska się z Emmanuelem Macronem, sypie dowcipami na spotkaniach międzynarodowych i z dumą opowiada o wielkich inwestycjach.

Mało kto pyta, jak to możliwe, że Albania – statystycznie wciąż jeden z najbiedniejszych krajów Europy – rozwija się jakby na sterydach. Wprawdzie tu i tam mówi się, że albańska mafia nawiązała ścisłe relacje z przestępcami z Ameryki Południowej oraz włoską 'ndranghetą i stała się jednym z kluczowych organizatorów przemytu kokainy do Europy, ale premier Rama powtarza, że nie ma na to dowodów. Przekonuje, że jego kraj rozkwita za sprawą turystyki.

Czarny łabędź

– *Edi Rama ma wszystkie pieniądze świata, żeby kupić następne wybory. Przez port w Durres przechodzi kokaina o wartości miliarda euro. Jeśli społeczeństwo się nie obudzi, Rama będzie rządził krajem do śmierci* – mówił mi w jeszcze spokojnym maju dziennikarz niezależnej redakcji BIRN Gjergj Erebara.

Również w maju premier ogłosił kolejny spektakularny projekt: na wyspie Sazan i chronionych przyrodniczo plażach Zvernec w rejonie Narta powstanie luksusowy kompleks hotelowy. Inwestorzy? Jared Kushner i Ivanka Trump, czyli zięć i córka obecnego prezydenta USA. Tam, gdzie żyje ponad 200 gatunków ptaków, gdzie każdej jesieni i wiosny zatrzymują się flamingi, wyrośnie inwestycja o wartości 4 mld euro. Kilkanaście kilometrów dalej lada moment ma zostać oddane do użytku lotnisko.

Gdy ogłoszono ten projekt, aktywista i antropolog Edison Lika mówił mi: – *Będziemy bronić Narty, ale ze złamanymi kręgosłupami. Rama rządzi tak autorytarnie, że pozbawił nas wszystkich nadziei.* Nikt jednak nie spodziewał się albańskiej rewolucji. Aż do 30 maja.

Tego dnia media społecznościowe zalewają filmiki pokazujące, jak protestujący w Zvernec jest bity i wleczony po ziemi przez ubranych na czarno osiłków, pracujących dla znanego oligarchy Shefqeta Kastratiego, albańskiego inwestora projektu. Aktywiści i chroniący ich policjanci wycierają oczy czerwone od gazu pieprzowego. ▶

©ILIR TSOUKO/FOR THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

▶Oto czarny łabędź z teorii Nassima Taleba, nieprzewidywalne zdarzenie o wielkich konsekwencjach. Filmiki w jednej chwili wywołują gniew, jakby ktoś wrzucił zapałkę do kanistra z benzyną. Na własne oczy Albańczycy zobaczyli to, o czym mówiło się od dawna: że w ich kraju silni panują nad słabszymi, oligarchowie są wspierani przez premiera Ramę, a ich wykonawcami w terenie są tzw. strongmeni, wobec których policja jest bezradna.

– *Nazajutrz zwołaliśmy protest, ale nie wiedzieliśmy, co się stanie* – opowiada Edison Lika. – *Przed godz. 18 stanąłem na podwyższeniu i zobaczyłem, jak rzeka ludzi płynie ku bulwarowi bocznymi ulicami. Do tej pory słowo „rewolucja" było tabu, bo kojarzyło się z czasami komunistycznymi. I nagle, z dnia na dzień, wszyscy mieli je na ustach. Rewolucja! Chcemy nowej Albanii. Nasz kraj nie jest na sprzedaż.*

Protesty, które wybuchły w obronie unikatowego przyrodniczo kawałka kraju, błyskawicznie zamieniły się w ruch przeciwko władzy jako takiej. – *Tłum najpierw krzyczał: „Ręce precz od Narty i Zvernec". Potem: „Rama, odejdź". A w kolejnych dniach: „Rama więzienie"* – opowiada aktywistka Sidorela Vatnikaj, która od lat organizuje protesty przeciwko władzy i nagłaśnia afery korupcyjne w kraju.

– *Na ulicę wyszli wszyscy: zwolennicy i przeciwnicy Ramy, środowiska LGBT, pokolenie gen Z i osoby starsze, muzułmanie, prawosławni i katolicy, rodziny z dziećmi, przedsiębiorcy i dilerzy* – dodaje Vatnikaj. – *Po kilku dniach protestów postanowiliśmy, że na mównicę nie będzie wchodził nikt, kto ma związek z polityką. Ruch ma być całkowicie apolityczny, niesterowalny.*

Reżim gangsterów

– *Albańczycy mają dość tego, że losy ich kraju kształtowane są przez system przestępczy* – tłumaczy Fatos Lubonja, znany albański pisarz i publicysta. Jako jeden z nielicznych przez ostatnie lata powtarzał, że Albania stała się narkopaństwem zarządzanym przez oligarchów i przestępczość zorganizowaną. Teraz dzień w dzień maszeruje w tzw. grupie flamingów, razem z artystami i aktywistami, którzy dzierżą flamingi z pianki, tworząc różowe stado pośród tłumu ludzi owiniętych flagami Albanii z czarnym dwugłowym orłem na czerwonym tle.

– *Nowa Albania to Albania flamingów, ptaków żyjących w stadzie, potrzebujących wspólnoty, ale na ulicach protestują też orły, nacjonaliści* – mówi Redina Qose, artystka, która odpowiada za przestrzeń na bulwarze, gdzie dzieci rysują i bawią się podczas protestów. – *Po pierwszych napięciach orły ułożyły się z flamingami, nacjonaliści już nas nie atakują.*

Lika dodaje: – *Różne grupy nienawidzą się nawzajem, ale Ramy wszyscy nienawidzą jeszcze bardziej. Dlatego współpracujemy. Protest trwa tak długo, ponieważ ludzie poczuli się wreszcie częścią wspólnoty.*

Sidorela Vatnikaj podkreśla, że protesty powinny pozostać pokojowe. Wszyscy tu pamiętają, że antyrządowe zamieszki w 2011 r. przyniosły śmierć czwórki ludzi.

Rama od samego początku atakuje protestujących i próbuje odzyskać narrację. Kto zdaniem premiera organizuje protest? Szpiedzy z Serbii, Rosji i Iranu. A także Grecy, którzy „chcą odebrać Albanii miejsce w Lidze Mistrzów Turystyki". Do tego wszelkiej maści „przeciwnicy rozwoju", „siły antyeuropejskie" i „ci, którzy żyją z chaosu". W końcu stwierdził, że najbardziej winny jest „algorytmiczny proletariat" – ludzie, którzy dla kariery, lajków i obserwujących rozbuchują nieistniejące problemy.

Rama próbował też innych sposobów. Mówił: wy, protestujący, jesteście młodzi i kreatywni, ale staliście się zakładnikami nostalgii, boicie się postępu, tęsknicie za starą albańską nędzą. Jednocześnie ruszyła jednak medialna kontrofensywa: ludzie Ramy generowali w telewizji kolejne teorie spiskowe, a w gazetach pojawiły się artykuły szkalujące protestujących.

– *Wizerunek Ramy jako wyrafinowanego medialnego gracza został wreszcie nadszarpnięty* – komentuje aktywistka Vasilika Laci. – *Premier zaczął bezpardonowo atakować nie tylko krajowych dziennikarzy, ale także zagranicznych, jeśli tylko zadawali mu niewygodne pytania. Świat wreszcie zobaczył to, co my w Albanii widzieliśmy od lat – jak Rama zastrasza i upokarza. Jaki jest arogancki.*

Zdaniem Liki protesty pokazały wyraźny podział na nowe i stare media oraz utratę znaczenia tych drugich, czyli telewizji i gazet należących do oligarchów powiązanych z premierem. Dyskusje na temat przyszłości Albanii i afer korupcyjnych przeniosły się do mediów społecznościowych, od Facebooka po Instagram, bo Rama nie ma nad nimi kontroli.

– *Do tej pory Rama był nie tylko mistrzem wizerunku, ale także mistrzem korumpowania zagranicznych dziennikarzy i polityków* – mówi Fatos Lubonja. – *W najważniejszych międzynarodowych gazetach pojawiały się sponsorowane artykuły wychwalające albański sukces. Rama stworzył kolorową fasadę, żeby ukryć to, czym Albania stała się naprawdę: reżimem gangsterów.*

50 euro za głos

Kiedy w 2025 r. przyjechałam do Albanii, żeby obserwować wybory parlamentarne, usłyszałam, że pracownicy administracji, którzy zbierają informacje o preferencjach politycznych obywateli, rozpoczęli pracę w terenie na wiele miesięcy przed wyborami.

Przedsiębiorcom i dyrektorom fabryk, którzy zapewnili głosy swoich pracowników, obiecywali jednorazowe dotacje dla ich biznesu na kwotę 20–30 tys. euro. Osoby, które od dawna próbowały zalegalizować własność domu lub ziemi, mogły wreszcie uzyskać papiery za „dostarczenie" określonej liczby głosów. A jeśli pracownicy administracji i budżetówki chcieli utrzymać pracę, musieli „zabezpieczyć" średnio po pięć głosów. Na prowincji głos kosztował 50 euro. Znajomy gangster z Tirany, który kupował głosy dla partii polityka Toma Doshiego, zapewniał z kolei, że on płacił wyborcom 200 euro.

Ramie sprzyjało też powszechne dotąd przekonanie, że nie ma żadnej alternatywy dla jego rządów. Największa opozycyjna Partia Demokratyczna od lat jest w kryzysie. Afery ujawniane przez SPAK, czyli specjalną prokuraturę do walki z korupcją, pokazują wspólne szemrane interesy polityków z obu stron sceny politycznej.

Protesty trwają nieprzerwanie od sześciu tygodni. A kiedy na chwilę tracą impet, zaraz pojawiają się kolejne doniesienia medialne, które na nowo rozpalają społeczny gniew. Kolejnym zapalnikiem stał się wywiad Ramy dla „Financial Times": „Ludzie mówią, że to ja za tym wszystkim stoję. Odpowiadam im: »pierd... się«. Po prostu. Nie będę udowadniał, że nie jestem Ojcem Chrzestnym. To oni muszą to udowodnić". Na co ulica odpowiedziała gremialnym „też się pierd..." na transparentach.

Jeszcze więcej emocji przyniosło ujawnienie „The Albanian Files", liczącej ponad 750 stron księgi zawierającej m.in. 523 projekty inwestycji, które już powstały, są w trakcie realizacji albo pozostają w sferze planów. Albańczycy mogli się dowiedzieć choćby tego, że projekt resortu w Zvernec powstał już w 2022 r. na zlecenie oligarchy

eprasa.pl 0ca0981d75

Tirana, 17 czerwca, protesty, które wybuchły w obronie unikatowego przyrodniczo kawałka kraju, zamieniły się w ruch przeciw władzy

Kastratiego. To kolejny dowód łamania prawa, ponieważ ustawa dopuszczająca zabudowę terenów przyrodniczo chronionych została przegłosowana w parlamencie dopiero w 2024 r.

Z „Albanian Files" wynika jasno, że to Rama sam wybierał, kto, co i gdzie wybuduje – dzwonił do wybranych albo pisał do nich na Instagramie. Rama chciał pracować tylko z najlepszymi, dlatego kolejne projekty tworzyły dla niego takie sławy światowej architektury, jak Bjerk Ingels, Winy Maas, Stefano Boeri i inni. Żaden z nich się nie zastanawiał, skąd pochodzą pieniądze na inwestycje.

Jeden z architektów, Reinier de Graaf, pokusił się nawet o list otwarty do Ramy, opublikowany w księdze: „Skoro Albania od lat pozostaje tak światłym mecenasem architektury, dla naszego zawodu byłoby najlepiej, gdyby w tym kraju już nigdy więcej nie przeprowadzano wyborów. A Pan (Rama – przyp. red.) po piątej kadencji na stanowisku premiera po prostu został prezydentem dożywotnim. A może nawet królem".

Rama jest poniekąd królem Albanii: stoi na czele Krajowej Rady ds. Terytorium i Gospodarki Wodnej, czyli komisji, która ocenia i zatwierdza każdą dużą inwestycję w Albanii i wydaje pozwolenia na budowę. Pieniądze na kolejne inwestycje? Po prostu są. Przez ostatnie lata nie było nikogo, kto byłby w stanie zakwestionować władzę Ramy. Dopóki tłum nie zaczął krzyczeć: „Król jest nagi!".

Mój informator, który jest powiązany z grupą mafijną operującą w Ameryce Południowej, twierdzi, że niedawno do portu w Durres wpłynął ładunek z 50 tonami kokainy o wartości miliarda euro. Pytam dziennikarza ekonomicznego Gjergja Erebarę, czy to możliwe. – *Tak. Raport SPAK oficjalnie podaje, że w 2020 r. albańska mafia przetransportowała do Europy 50 ton kokainy. Nie zdziwiłbym się, gdyby sześć lat później te liczby były znacznie większe.*

Upłynnienie 50 ton kokainy i wypranie miliarda euro wymagają jednak imponującej logistyki. Nie tylko tysięcy dilerów w terenie, ale także armii bankierów, notariuszy, właścicieli firm konsultingowych i prawników.

Kiedy piszę o tym na Facebooku, polityk opozycyjnej partii i ekonomista Edmond Spaho komentuje: „Dość hipokryzji! Cała Europa i Ameryka zostały zbudowane i nadal rozwijają się dzięki praniu pieniędzy. Gdyby usunąć z albańskiego budownictwa pieniądze z tego źródła, z kraju musieliby wyjechać nie tylko ludzie, ale także koty, psy i dzikie zwierzęta, ponieważ nie byłoby pracy, działalności gospodarczej i wszyscy zaczęliby zjadać się nawzajem".

Tymczasem ekonomiści wskazują, że za wzrost cen mieszkań odpowiedzialni są właśnie biznesmeni powiązani z mafią, którzy sztucznie zawyżają ceny. Metr kwadratowy mieszkania w centrum Tirany kosztuje ok. 4 tys. euro, przy średnich zarobkach 600 euro miesięcznie. Tirana jest piątym najdroższym miastem Europy, jeśli chodzi o stosunek cen mieszkań do dochodów obywateli. A i tak buduje się na potęgę. Mój informator od narkotyków ma na to swoją teorię: – *Palermo w latach 70. zamieniło się w wielki plac budowy, tak jak Albania teraz. Dziś Palermo to puste domy. Tirana stanie się miastem pustych wieżowców, bo każdy, kto będzie mógł, wyjedzie stąd.*

Protestujący powtarzają jednak: „Albania to nasz kraj", „Dość emigracji", „Nie chcemy więcej wyjeżdżać, chcemy normalności". – *Nowa Albania to najmocniejsze z haseł protestu, bo wreszcie daje ludziom nadzieję* – tłumaczy Vasilika Laci. – *Ci, którzy zostali w Albanii, dzięki rewolucji leczą się ze strachu – nie muszą się już obawiać, że za protestowanie stracą pracę. Diaspora, która teraz przyjechała do kraju, żeby protestować, leczy się z poczucia winy, że go opuściła.*

Pytam antropologa Nebiego Bardhosi, czy protesty znaczą koniec albańskiej transformacji: – *Nie byłbym takim optymistą. To raczej jej kolejny, bardziej dojrzały etap. Ale trzeba podkreślić, że te protesty są egzystencjalnym zrywem. Zareagowaliśmy w ostatnim momencie, by powiedzieć „nie" niszczeniu Albanii. Gdybyśmy tego nie zrobili, w końcu przestalibyśmy istnieć jako społeczeństwo.*

Rama, odejdź!

Według Edisona Liki rewolucja flamingów to zbiorowe przebudzenie. Ludzie widzą, że system zmusza do emigracji. Turyści przyjeżdżają, ale kto chce godnie żyć, ten wyjeżdża. Płace w usługach są tak niskie, że rząd sprowadza pracowników z Bangladeszu i Filipin. – *Dlatego chcemy prawdziwej zmiany. Kraju w pełni demokratycznego, bez korupcji, w którym inwestycje są realizowane transparentnie. W którym władza nie jest w rękach jednego człowieka, nawet jeśli Unia Europejska go bardzo lubi* – przekonuje Lika.

A Sidorela Vatnikaj przypomina, że choć trzy dekady temu Albańczycy krzyczeli: „Chcemy chcemy wartości europejskich", teraz to Unia Europejska jest w kryzysie, a Albańczycy pokazują jej, jak walczyć o demokrację i wolność.

Mój informator od kupowania głosów jest innego zdania: – *Jeśli pójdę w tłum i powiem, że dam im po 100 euro, na drugi dzień wszyscy zostaną w domu.* Ale kilka dni później wysyła mi filmik z protestów – maszeruje w tłumie, obok znajoma pracownica banku, która pierze dla niego brudne pieniądze. I jej kilkuletni synek. Wszyscy krzyczą: „Rama, odejdź!".

MAŁGORZATA REJMER

© OLSI SHEHU/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

Gra białymi

Przez ostatnie pół roku na 4496 wpuszczonych do USA uchodźców zaledwie trzech nie było Afrykanerami. Prezydent Trump twierdzi, że ratuje im życie. I blokuje wielką podmianę.

Polokwane, RPA. Afrykanerzy czczą tu pamięć pomordowanych białych farmerów. Symboliczne groby na prywatnej posesji Donald Trump uznał za prawdziwe.

ANDRZEJ LUBOWSKI Z PRETORII

Republika Południowej Afryki to kraj skomplikowany. Marzenia o rasowej harmonii, równości i dostatku, jakie Nelson Mandela roztoczył, obejmując władzę 32 lata temu, okazały się iluzją. Kres politycznego apartheidu nie oznaczał końca apartheidu ekonomicznego. Nie zniknęły gigantyczne nierówności w dochodach – według Banku Światowego w RPA należą one do najwyższych na świecie.

Do białych, którzy stanowią niespełna 8 proc. ludności, należy 72 proc. ziemi rolnej. Czarni Afrykanie (81 proc. mieszkańców) są właścicielami ok. 4 proc. tej ziemi. Reszta należy do *coloured*, czyli osób o mieszanym pochodzeniu i Azjatów. Bezrobocie wśród białych wynosi 8 proc., wśród czarnych przekroczyło 35 proc., a wśród czarnej młodzieży w przedziale wiekowym 15–24 lat – 60 proc.

Afrykański Kongres Narodowy (ANC), partia Mandeli, coraz częściej kojarzony z nepotyzmem i korupcją niż z lepszym życiem czarnej większości, w zeszłym roku po raz pierwszy w demokratycznych wyborach stracił większość parlamentarną i musiał podzielić się władzą. Dziś w koalicyjnym rządzie zasiada czterech białych ministrów, z czego trójka to Afrykanerzy, w tym szefowie resortów spraw wewnętrznych i służb więziennych.

Afrykanerzy to potomkowie osadników holenderskich i niemieckich oraz francuskich hugenotów, którzy przez trzy stulecia wytworzyli odrębny język (afrikaans), własną kulturę i tożsamość narodową. Zaciekle walczyli z Brytyjczykami w wojnach burskich na przełomie XIX i XX w. To właśnie Afrykanerzy stworzyli system apartheidu po dojściu do władzy w 1948 r. Dziś stanowią ok. 2,7 mln spośród 65 mln mieszkańców RPA, czyli nieco ponad 4 proc. I to im właśnie oferuje prezydent USA azyl, twierdząc, że są ofiarami rasizmu i ludobójstwa.

Donald Trump wskazuje przede wszystkim na przestępczość w RPA – w domyśle: czarnych wobec białych. Ale to nie takie proste. Rzeczywiście, RPA ma jeden z najwyższych na świecie wskaźników przestępczości. W 2024 r. odnotowano tu 26 232 zabójstwa, co daje średnio 72 ofiary dziennie i 42 na 100 tys. mieszkańców. Zdecydowana większość ofiar to jednak młodzi czarni mężczyźni z miast. Wysoka przestępczość ma strukturalne przyczyny: rozpad rodziny, masowe bezrobocie, nierówności majątkowe, słabość policji.

Według Transvaal Agricultural Union – organizacji sympatyzującej z afrykanerskimi farmerami – w latach 1990–2024 średnio rocznie ginęło na farmach 56 białych Południowoafrykańczyków. To musi budzić niepokój, ale wynika z wysokiego poziomu przestępczości i słabej ochrony policyjnej obszarów wiejskich w ogóle. Biali farmerzy to zaledwie 0,2 proc. wszystkich ofiar morderstw w RPA. Poza tym organizacje badające przestępczość podkreślają, że ataki te mają podłoże ekonomiczno-rabunkowe, a nie rasowe.

Faktem jest, że polityka preferencji dla czarnych utrudnia Afrykanerom zdobycie pracy, szczególnie w administracji publicznej i dużych korporacjach. Doprowadziło to do powstania enklaw ubóstwa wśród białych. Takie tzw. białe

eprasa.pl 0ca0981d75

squaty istnieją, tyle że to zjawisko karykaturalnie przerysowane przez prawicowe media – mieszka w nich góra 30 tys. białych. Osobnym problemem jest stopniowe wypieranie języka afrikaans z uniwersytetów, urzędów i szkół na rzecz angielskiego, co biała mniejszość traktuje jako próbę zmarginalizowania jej dziedzictwa kulturowego.

Wszystko to Trump wskazuje jako dowody na prześladowanie Afrykanerów, ale zapalnikiem była dla niego kontrowersyjna ustawa wywłaszczeniowa (Expropriation Act), umożliwiająca w pewnych warunkach przejmowanie ziemi bez odszkodowania, co miało naprawić historyczne nierówności z czasu apartheidu. Choć do dziś ustawa pozostała na papierze, to posłużyła za pretekst do oskarżeń o wprowadzenie „rasistowskiego prawa własności" i powielanie narracji o „ludobójstwie białych farmerów".

Ta narracja krąży w prawicowym ekosystemie medialnym od lat. Trump tweetował o „grabieży ziemi białych farmerów" już w 2018 r., gdy Fox News puścił materiał o zabójstwach na farmach. Baza wyborcza była głęboko nasiąknięta teorią Great Replacement (ang. wielka podmiana), czyli przekonaniem, że biali są systematycznie zastępowani przez niebiałych w ramach celowej polityki demograficznej prowadzonej przez zachodnie elity polityczne, finansowe i medialne.

Narracja o białych farmerach RPA jako ofiarach ludobójstwa jest regionalnym wariantem owej teorii. W tej optyce RPA nie jest odległym krajem o skomplikowanej historii, lecz wizją przyszłości Ameryki: państwem, w którym biali zostali zepchnięci na margines przez polityczną poprawność. Elon Musk, który wyjechał z RPA jako 17-latek w 1989 r. i długo deklarował się jako przeciwnik apartheidu, dziś pozuje na ofiarę dyskryminacji rasowej. Napisał na platformie X: „Starlink nie ma prawa działać w RPA, bo nie jestem czarny". Rzecznik MSZ RPA odpowiedział: „To nieprawda i pan o tym wie. (...) Starlink jest mile widziany pod warunkiem przestrzegania lokalnych przepisów".

Starlink – satelitarny internet Muska – od lat nie ma licencji w RPA, bo nigdy o nią nie wystąpił. A nie wystąpił, bo Musk nie zgadza się z wymogiem, żeby firmy telekomunikacyjne operujące w RPA sprzedały co najmniej 30 proc. udziałów w lokalnych podmiotach zależnych firmom należącym do czarnej lub innej historycznie pokrzywdzonej społeczności.

Zapewne pod wpływem Muska w lutym 2025 r. Trump podpisał więc rozporządzenie potępiające przyjętą przez RPA ustawę wywłaszczeniową i „agresywną postawę" Pretorii wobec Stanów i ich sojuszników. USA odcięły pomoc dla RPA, zagroziły 30-procentowymi cłami, wydaliły jej ambasadora i oskarżyły jej rząd o „obojętność wobec trwającego ludobójstwa". Rozporządzenie nakazuje „promowanie przesiedlania afrykanerskich uchodźców uciekających przed sponsorowaną przez rząd rasową dyskryminacją, w tym rasistowskim konfiskowaniem własności".

Aby łagodzić napięcia, prezydent Cyril Ramaphosa przyjechał w maju 2025 r. do Waszyngtonu. Spotkanie w Białym Domu wielu obserwatorów porównało do wcześniejszej konfrontacji Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim – z jedną zasadniczą różnicą. Zełenski nie spodziewał się „ustawki" i dał się ponieść emocjom. Ramaphosa przywiózł starannie dobraną delegację: Ernie Els i Retief Goosen, legendarni golfiści, i Johann Rupert, multimiliarder, założyciel szwajcarskiego holdingu dóbr luksusowych – to Afrykanerzy. Podczas burzliwego spotkania to Rupert odpierał zarzuty Trumpa.

Potem prezydent USA przedstawił nagranie, na którym skrajnie lewicowy polityk opozycji Julius Malema, w RPA uważany na przemian za błazna i niebezpiecznego prowokatora, śpiewa „zabij Bura" (czyli Afrykanera), a gwoździem programu była scena z krzyżami wzdłuż drogi, które Trump określił jako „groby zamordowanych białych farmerów". Zdjęcia rzeczywiście pochodziły z protestu sprzed pięciu lat w odpowiedzi na zamordowanie dwóch farmerów, ale krzyże były tylko symbolami. Trump pokazał też zdjęcie przemocy z Konga, co nie miało znaczenia, bo nikt z obecnych nie sprawdzał materiałów. Ramaphosa nie stracił jednak spokoju, nie oburzał się, nie wpadał w pułapkę defensywy. Przypominał, że ofiarami przestępczości są przede wszystkim czarni obywatele RPA. Ale, podobnie jak Zełenski, wyszedł z pustymi rękami.

Trump trzyma się swej narracji, wbrew faktom – z trzech powodów.

Po pierwsze, Afrykanerzy są w jego opowieści dowodem, że teoria wielkiej podmiany to rzeczywistość. To, co w Ameryce wygląda jak odległa egzotyka, staje się w tej optyce proroctwem: tak skończą Stany Zjednoczone, jeśli zatriumfuje polityka afirmatywna. Zafałszowany los Afrykanerów służy duetowi Trump-Musk do budowania narracji o „prześladowaniu białych" jako kontrnarracji wobec debat o systemowym rasizmie w USA i do demonstrowania, że selektywna imigracja oparta na kryterium rasowym to nie anomalia, lecz instrument mądrej polityki imigracyjnej.

Po drugie, jak pokazuje historia ze Starlinkiem, presja zadziałała. Musk nie dostał jeszcze licencji, ale władze RPA nakazały zmianę polityki zezwalającą Starlinkowi i innym zagranicznym dostawcom satelitarnego internetu na operowanie w kraju bez wymogu sprzedaży 30 proc. lokalnych udziałów czarnym właścicielom.

Po trzecie, oskarżenia o ludobójstwo i program uchodźczy są instrumentem nacisku dyplomatycznego – uderzają w wizerunek kraju, który przez trzy dekady budował markę modelu pojednania rasowego, a dziś przysparza Waszyngtonowi kłopotów: wniósł do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości sprawę o ludobójstwo Izraela, utrzymuje ciepłe relacje z Chinami, pozostaje aktywnym członkiem BRICS. W ramach protestu Trump zbojkotował szczyt G20 organizowany przez RPA w listopadzie 2025 r.

Stanowiska prezydenta USA nie zmienił fakt, że prominentni Afrykanerzy w liście otwartym odrzucili narrację Trumpa i Muska, a niektórzy z nich nazwali rasistowskim program przesiedleń z RPA do USA. Skorzystanie z zaproszenia do Ameryki to dla nich porzucenie kraju, który zbudowali ich przodkowie, i przyznanie się do osobistej porażki.

Główne organizacje Afrykanerów oficjalnie odrzuciły ofertę. Solidariteitsbeweging (afr. Ruch Solidarności), czyli największa niezależna organizacja społeczno-związkowa Afrykanerów, obejmująca ponad 50 stowarzyszeń i wraz z rodzinami reprezentująca ponad 65 proc. Afrykanerów, mówi: „Możemy nie zgadzać się z ANC, ale kochamy nasz kraj".

Według danych Departamentu Stanu z kwietnia 2026 r. od października 2025 r. w USA przyjęto łącznie 4499 uchodźców – 4496 z RPA i trzech z Afganistanu. Jednak część Afrykanerów, którzy przylecieli do Waszyngtonu z amerykańskimi flagami w dłoniach, już wraca. Ameryka okazała się rozczarowaniem – RPA, ze wszystkimi problemami, jest ich domem. ■

© PER-ANDERS PETTERSSON/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

Recepta dla dzika

Odstrzał nie rozwiązuje problemu konfliktów z dzikimi zwierzętami. Manipulowanie płodnością zwierząt też nie jest metodą idealną. A do tego może budzić wątpliwości etyczne.

ROBERT JURSZO

Dziki rozgościły się w polskich miastach na dobre. Trudno mieć do nich o to pretensje, skoro wabimy je łatwo dostępnymi odpadami spożywczymi, które mogą wygrzebać sobie z kubłów na śmieci. I skoro zabudowujemy łąki i inne dzikie siedliska. Nie jest to jednak sąsiedztwo bezkonfliktowe. Zwierzęta ryją ogródki, skwerki i trawniki, pogonią, czasami poranią, a niekiedy nawet zabiją oszczekującego je osiedlowego psa. Sporadycznie zdarzają się poważniejsze incydenty z udziałem ludzi, jak szarża odyńca na kobietę w Gdyni w 2023 r., która omal nie kosztowała jej życia z powodu przeciętej tętnicy udowej. Od 2021 r. jedyną metodą rozwiązywania tych problemów jest odstrzał, ponieważ przepisy związane z ASF zabroniły wywozu dzików z miast. Zabijanie tych zwierząt budzi jednak rosnący sprzeciw społeczny, czego dowodem były choćby niedawne protesty w Warszawie.

Co więc w zamian? Na przykład antykoncepcja – mówią ci, którzy nie godzą się na uśmiercanie dzików. Takiego środka jeszcze jednak w Polsce nie ma, ale pracuje nad nim dr Patrycja Kurowska z Instytutu Zoologii i Badań Biomedycznych Wydziału Biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na razie o jej projekcie wiadomo niewiele: trwa niecałe pół roku, jest finansowany z grantu programu LIDER Narodowego Centrum Badań i Rozwoju o wartości 1,8 mln zł, sam zaś środek antykoncepcyjny ma być oparty na ekstraktach pochodzenia roślinnego.

Odstrzał kulą w płot

Populacja dzików w Europie stale się zwiększa. A tam, gdzie – jak w Polsce – została przetrzebiona z powodu walki z ASF, dość szybko się regeneruje. Giovanna Massei w czasopiśmie „Animals" wskazuje, że na Starym Kontynencie rośnie również liczebność różnych innych gatunków, w tym jeleniowatych, mimo że się na nie intensywnie poluje. I przekracza to, co badaczka nazywa „społeczną pojemnością środowiska" (*social carrying capacity*), a co oznacza tolerancję lokalnych społeczności np. na szkody w uprawach rolnych czy liczbę wypadków drogowych z udziałem tych zwierząt. A skoro tak, to myśliwski odstrzał jest niewystarczającym narzędziem – przekonuje Massei. Rekomenduje więc zastosowanie środków antykoncepcyjnych.

© ROBERT ROBASZEWSKI/AGENCJA GAZETA.PL, JOHN BOLAND/GETTY IMAGES, PATRICK VAN KATWIJK/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

wyniki nie były zbyt obiecujące. Zmiana nastąpiła dopiero w latach 80. i 90., kiedy postawiono na immunoantykoncepcję. Przełomowe okazało się zastosowanie środka o nazwie PZP (Porcine Zona Pellucida), który pozyskuje się z otoczki przejrzystej jajników świń. U samicy ssaka kopytnego powoduje on produkcję przeciwciał, które blokują receptory na komórkach jajowych, co uniemożliwia zapłodnienie. Jednocześnie równowaga hormonalna pozostaje zachowana, więc naturalny tryb życia zwierzęcia – w tym ruja – pozostaje taki, jak bez interwencji. Dziś lista zwierzęcych środków antykoncepcyjnych jest już dłuższa, to m.in. GonaCon, PZP-22, ContraPest i OvoControl. Są też znaczące sukcesy w ich zastosowaniu.

Środkiem medycznym w tarczę...

Dzięki antykoncepcji udało się opanować rozrost populacji zdziczałych kuców na leżącej u wybrzeży stanów Maryland i Virginia wyspy Assateague w USA. W latach 80. XX w. tych zwierząt było już tam tak dużo, że zagrażały wyspiarskiemu ekosystemowi wydm i solnisk. W 1988 r. zaczęto zrzucać PZP i sytuację opanowano. Kolejne przykłady udanej interwencji dotyczą słoni afrykańskich w prywatnym rezerwacie łowieckim Makalali i innych tego rodzaju miejscach w RPA. Rozrost liczebności tych zwierząt na ogrodzonych obszarach groził zniszczeniem drzewostanów. Wcześniej odstrzeliwano całe stada, ale w 2000 r. zaczęto podawać słonicom PZP. Wykazano przy okazji, że ta substancja jest bezpieczna również dla samic, które przyjęły ją w ciąży.

Od 2021 r. jedyną legalną metodą redukcji dzików w Polsce jest odstrzał, bo przepisy związane z ASF zakazują ich wywozu z miast.
Poniżej: **antykoncepcja sprawdziła się w małych populacjach dzikich koni w USA, ale w przypadku słoni z Parku Krügera w RPA okazała się za kosztowna, a obszar ten jest zbyt wielki, żeby była skuteczna.**

Co ważne, podkreśla również kwestie ekologiczne. Przewaga antykoncepcji nad odstrzałem polega bowiem m.in. na tym, że ta pierwsza nie usuwa osobników z ekosystemu. Tym samym zwierzę z „wyłączoną" płodnością blokuje dostęp do siedliska i pokarmu innym przedstawicielom swojego gatunku, w tym młodszym osobnikom, które jeszcze nie osiągnęły dojrzałości płciowej.

Pierwsze eksperymenty nad zastosowaniem hormonalnych środków antykoncepcyjnych prowadzono w połowie XX w. i ich

Przy użyciu środków antykoncepcyjnych udało się też opanować przyrost jeleni wirginijskich w strefach podmiejskich USA, gdzie zwierzęta wyjadały zieleń miejską i wpadały pod samochody. A zastosowanie preparatu GonaCon w stanie Tennessee – działa inaczej niż PZP (w ogóle wycisza ruję) – rozwiązało podobne problemy z tamtejszymi jeleniami. Jeśli chodzi o ptaki, to takie preparaty jak OvoControl są z powodzeniem stosowane zarówno w USA, jak i w Europie, by kontrolować populacje miejskich gołębi. Zawarta w nich ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ nikarbazyna uniemożliwia prawidłowy rozwój żółtka i powstawanie jaj.

Na liczebność innych „kłopotliwych" zwierząt – szczurów – w USA próbuje się oddziaływać przy pomocy ContraPest. Jest to pożądane również dlatego, że oparte na antykoagulantach trutki powodują powolną i bolesną śmierć, a do tego stanowią śmiertelne zagrożenie dla zwierząt, które żywią się szczurzą padliną, np. dla ptaków drapieżnych. Dlaczego więc użycie środków antykoncepcyjnych nie jest powszechniejsze? Odpowiedź na to pytanie jest złożona.

...ale nie w dziesiątkę

Niewątpliwie jedną z przyczyn jest opór decydentów i lobbing środowiska łowieckiego. Prościej, szybciej i łatwiej zabić zwierzę, niż czekać dłuższy czas na zmiany populacyjne wywołane działaniem preparatu. Nie tylko o to jednak chodzi. Powyższy przegląd dobrych praktyk wskazuje, że większość sukcesów osiągnięto na stosunkowo niewielkich, zamkniętych obszarach, jak wyspy czy rezerwaty łowieckie albo parki miejskie. Napływ nowych osobników jest tam ograniczony, więc i łatwiej ustabilizować lub zmniejszyć istniejącą populację przy pomocy farmaceutyków. Zrobienie tego samego w otwartych ekosystemach, np. w dużych obszarach leśnych czy sawannowych, jest jednak gigantycznym wyzwaniem logistycznym i finansowym.

Weźmy kwestię podawania preparatu. Nie można rozrzucić go w dowolnych miejscach, ponieważ środek antykoncepcyjny powinien być wycelowany w konkretny gatunek, którego liczebnością chcemy zarządzać. W innym przypadku mogą go zjeść inne zwierzęta, na które również będzie oddziaływać.

Przyjrzyjmy się podawaniu preparatu słoniom w Parku Narodowym Krügera w RPA, co robiono od 2012 r., a pierwsze testy przeprowadzono jeszcze w końcówce lat 90. XX w. Samicom aplikowano PZP, ale trzeba było latać za nimi helikopterem i strzelać do nich ze strzelby Palmera, ponieważ to najbardziej efektywny (i najmniej stresujący!) sposób podania im środka antykoncepcyjnego. I właśnie użycie maszyny latającej podrażało koszty, choć – jak pisał Jay F. Kirkpatrick, jeden z entuzjastów i praktyków tej metody – „koszt immunoantykoncepcji jest niższy niż w przypadku większości operacji odstrzału, a w najgorszym przypadku do niego zbliżony" tam, gdzie dodatkowo sprzedaje się części zabitych zwierząt. Mówimy tu jednak o jednorazowym dawkowaniu, a to trzeba powtarzać co rok na bardzo dużym obszarze. Ostatecznie więc władze Parku Krügera wycofały się z tej metody (choć nie wrócono do odstrzału). Obecnie w Afryce stosuje się ją w niewielkich rezerwatach.

Przenieśmy się jeszcze raz do USA, gdzie istnieje problem ze zdziczałymi świniami domowymi, które tam są kwalifikowane jako inwazyjny gatunek obcy, a więc stanowiący zagrożenie dla rodzimej przyrody. Aby spowolnić szybkie tempo namnażania się tych zwierząt, w 2021 r. wprowadzono do użytku preparat HogStop. Jak sugeruje nazwa, działa na samce, upośledzając ich plemniki, w czym jest skuteczny. Tyle że – znowu – nie jest selektywny, więc trzeba go podawać w specjalnych paśnikach, by nie dobrały się do niego inne zwierzęta. Koszt takiego urządzenia to ponad 600 dol., a na otwartych obszarach trzeba ich postawić wiele. HogStop przestaje działać już po miesiącu od odstawienia, więc samce muszą go przyjmować regularnie, a do tego potrzebne jest odpowiednie zagęszczenie karmników.

Antykoncepcja dla dzikich zwierząt jest więc interesującą opcją, ale wiążą się z nią trudności, które obecnie uniemożliwiają jej masowe stosowanie. No i są jeszcze wątpliwości etyczne.

„Czy kontrola płodności dzikich zwierząt jest zawsze humanitarna?" – pytają autorzy pracy opublikowanej w 2015 r. w „Animals". Okazuje się, że nie. Najbardziej krytycznie patrzą na metody prowadzące do trwałej niepłodności, np. na kastrację. Ta nie dość, że niesie ryzyko powikłań pozabiegowych, to całkowicie zmienia gospodarkę hormonalną zwierzęcia, co ostatecznie wpływa na jego zachowanie (może skończyć się np. degradacją w strukturach społecznych). Nieco przychylniej spoglądają na wazektomię i podwiązanie jajowodów, ponieważ te metody nie niszczą gospodarki hormonalnej. Niemniej i one wymagają inwazyjnych interwencji chirurgicznych oraz odłowu zwierzęcia, który jest dla niego stresujący. Najbardziej pozytywnie badacze oceniają niehormonalne środki antykoncepcyjne, np. wspomniane GonaCon czy PZP. Także jednak nie akceptują ich bezkrytycznie.

PZP może bowiem – paradoksalnie – u koni i jeleniowatych prowadzić do powtarzania się cykli rujowych w sezonie godowym, ponieważ nie dochodzi do zapłodnienia i zagnieżdżenia zarodka. Do tego samice mogą przechodzić dodatkowe, anomalne cykle rujowe późną jesienią, a nawet zimą. Przez cały ten czas samce próbują kryć samice, co oznacza wydatek energii u obu płci. A jeśli pod koniec sezonu rozrodczego środek przestanie działać, to jest ryzyko, że klacz albo łania urodzą późną jesienią, przez co młode może nie dożyć wiosny. Widać więc, że nawet te najlepsze metody nie są bez wad.

Nowy cel: krakowskie gołębie

Kraków chce – o czym poinformowano w lutym tego roku – podawać środki antykoncepcyjne gołębiom. Te ptaki w miastach czują się doskonale, ponieważ ich przodkiem był gołąb skalny, a balkony, gzymsy i dachy do pewnego stopnia przypominają skalne wnęki, półki i wychodnie. Takie sąsiedztwo również nie obywa się bez napięć, przede wszystkim dlatego, że ptaki brudzą odchodami publiczne przestrzenie. Wiele też choruje z powodu złej diety, bo dostają od mieszkańców np. zepsute pieczywo. Do tego wysokie zagęszczenia sprzyjają transmisji patogenów między zwierzętami.

– *Wytypowaliśmy pięć miejsc, w których będziemy prowadzić pilotaż naszego projektu. To są lokacje, w których jest duże nagromadzenie gołębi. Ptakom w karmnikach będzie podawana kukurydza powleczona nikarbazyną* – mówi Sabina Janeczko, rzeczniczka ds. zwierząt w Krakowie. Urzędniczka nie wyklucza, że karmę podjadać będą również ptaki innych gatunków, ale powinno to być raczej sporadyczne i nie będzie miało wpływu na ich płodność. Pilotaż ma potrwać około roku, urząd czeka na ostatnie wymagane zgody. – *Docelowo, opierając się na doświadczeniach innych miast w Europie, możemy oczekiwać redukcji populacji gołębi w Krakowie na poziomie ok. 40 proc.* – dodaje Janeczko. – *Jednocześnie program pozostaje w pełni kontrolowalny. W razie potrzeby podawanie preparatu można przerwać, a płodność ptaków wraca do normy po ok. 21 dniach.*

Ile przyjdzie nam poczekać na antykoncepcję dzików? – *Mogę jedynie powiedzieć, że dotychczasowe wyniki są obiecujące* – mówi dr Kurowska, zastrzegając, że w tym momencie więcej ujawnić nie może. Szczegóły mają być znane za półtora roku, kiedy projekt się zakończy.

ROBERT JURSZO

eprasa.pl 0ca0981d75

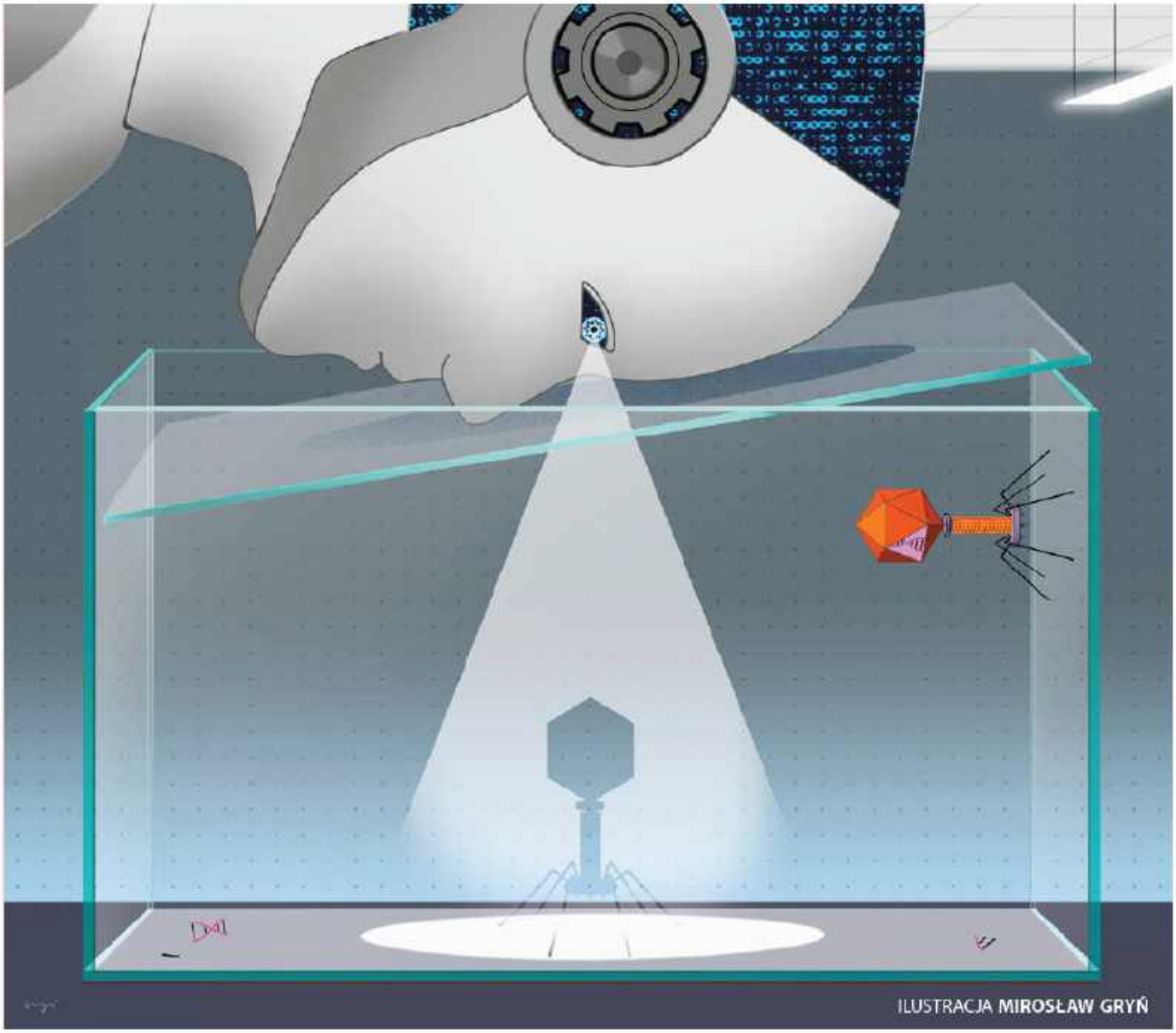

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Zaraźliwe pomysły

Modele sztucznej inteligencji zaprojektowały nowe, w pełni funkcjonalne wirusy. Czy to niebezpieczny precedens?

KASPER KALINOWSKI

Od opisania struktury DNA w 1953 r. naukowcy uczyli się odczytywać i kopiować kod genetyczny. Stworzenie od podstaw całego funkcjonalnego genomu było w tym czasie jednym z największych wyzwań biologii, ale należącym bardziej do dziedziny science fiction. Na przeszkodzie stawała ograniczona wydajność tradycyjnych metod bioinżynierii oraz złożoność samych sekwencji. Genom to bowiem nie tylko prosta lista genów, ale też skomplikowana sieć powiązań. Nawet pojedyncza pomyłka w miliardach „liter" DNA może sprawić, że organizm nie będzie funkcjonować.

Reguły gry odmieniła oczywiście sztuczna inteligencja, co najlepiej widać na przykładzie białek. I tak zespół z University of Colorado przez dziesięć lat bezskutecznie próbował odczytać strukturę pojedynczego białka bakteryjnego. Po uzyskaniu dostępu do AlphaFold problem rozwiązano w pół ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ godziny. Teraz naukowcy postanowili wykorzystać AI w innym celu. Skupili się na bakteriofagach, wirusach atakujących wyłącznie bakterie, które są obiecującą bronią w walce z infekcjami lekoopornymi. Wybrano faga ΦX174 – wroga *E. coli*. Jego genom był pierwszym w historii, który w całości odczytano (1977 r.). Idealnie nadaje się do eksperymentów, bo zawiera zaledwie 11 genów kodujących białka (dla porównania ludzka komórka ma ich ponad 20 tys.).

Najpierw modele sztucznej inteligencji nakarmiono danymi ponad 2 mln naturalnych genomów bakteriofagów, ucząc je reguł ich funkcjonowania. Następnie poproszono je o wygenerowanie „przepisów" na nowe wirusy, które zachowałyby zdolność do neutralizowana *E. coli*, ale różniłyby się od tych występujących w naturze. Uzyskane projekty poddano rygorystycznej ocenie, po czym ok. 300 zsyntetyzowano i poddano testom laboratoryjnym. Po nich okazało się, że 16 to w pełni funkcjonalne wirusy, zdolne do namnażania się i niszczenia bakterii, a niektóre miały genomy o 5 proc. dłuższe niż naturalne pierwowzory. Co więcej, sztuczna inteligencja wykazała się kreatywnością. Niektóre z zaprojektowanych fagów (np. Evo-Φ69 i Evo-Φ2483) niszczyły bakterie szybciej i skuteczniej niż oryginały. Czy ten eksperyment był pierwszą udaną próbą stworzenia życia od podstaw?

To tylko nowa rasa

Wątpliwości nie ma wirusolog prof. Krzysztof Pyrć, kierownik Pracowni Wirusologii Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ: – *Wirusy nie zostały tu stworzone od zera. Zaprojektowano je w oparciu o dane pochodzące z wielu genów i białek istniejących wirusów.* Podobnego zdania jest dr Paweł Jedynak, biochemik z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. – *W tym projekcie podobieństwo genomów działających wirusów wygenerowanych przez AI do już istniejących wynosiło aż 93 proc. To zatem niewielka przeróbka już istniejących mikroorganizmów* – stwierdza. – *Co prawda zgodnie z przyjętymi w biologii normami zmiana powyżej 5 proc. genomu wirusa oznacza stworzenie nowego gatunku, ale nie nowej jakości. To jak nowa rasa psa, a nie wilkołak plujący kwasem i z karabinami maszynowymi zamiast dłoni.*

Nie zmienia to jednak faktu – dodaje prof. Pyrć – że jest to niezwykle rozwojowy kierunek badań. Warto pamiętać, że już stworzenie narzędzi takich jak wspomniany AlphaFold, które pozwoliło lepiej zrozumieć zależność między kodem genetycznym a strukturą białek i przeniosło nasze rozumienie świata oraz możliwości biologii syntetycznej na znacznie wyższy poziom.

Autorzy najnowszego projektu zapewniają o nowej „epoce projektowania". Tyle że wszystko jest kwestią definicji. Gdyby przyjąć, że projektowanie oznacza celową zmianę DNA, to taka odbywała się już w początkach rolnictwa. Gatunki zbóż przez tysiące lat modyfikowano tak, aby uzyskać ziarna o większych rozmiarach czy odpowiednim smaku.

Pandemia Covid-19 pokazała, że należy rozważać broń biologiczną jako instrument geopolityczny, destabilizujący panujący ład.

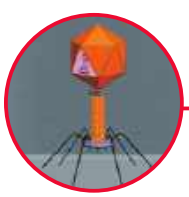

– *Biologia w epokę projektowania weszła co najmniej z 50 lat temu, a biologia syntetyczna funkcjonuje od co najmniej 25 lat* – dodaje dr Jedynak. – *Jak bowiem inaczej nazwać każde GMO czy każde połączenie sekwencji pochodzących z bakterii, rośliny, człowieka, wirusa i meduzy w jeden konstrukt genetyczny, w konfiguracji, w której nie występują w naturze?*

Ten projekt budzi jednak kontrowersje. „Po raz pierwszy pokazano, że AI może generować funkcjonalne wirusy, które nie istnieją w naturze. To rodzi pytania o bezpieczeństwo, możliwe nadużycia i regulacje" – grzmi w mediach Testbiotech, niemiecki think tank oceniający skutki biotechnologii. Nie chodzi przy tym o same bakteriofagi. Raczej o to, że AI zaczyna projektować funkcjonalne genomy, a podobne metody mogłyby w przyszłości zostać wykorzystane do tworzenia znacznie groźniejszych organizmów.

Trzeba sprzętu, wiedzy i ludzi

Takie obawy nie są nowością. Już w opublikowanej w 2023 r. pracy eksperci z Massachusetts Institute of Technology (MIT) ostrzegali, że AI może umożliwić osobom bez specjalistycznego przeszkolenia zaplanowanie działań bioterrorystycznych.

W ramach prowadzonego na MIT kursu „Safeguarding the Future" studenci otrzymali zadanie sprawdzenia, czy chatboty mogą pomóc osobie postronnej w wywołaniu pandemii. Wyniki były alarmujące. Studenci, korzystając z modeli takich jak GPT-4 czy Claude, zdołali zidentyfikować patogeny o potencjale pandemicznym, w tym wirusa grypy z 1918 r., zmodyfikowaną grypę H5N1, wirusa ospy prawdziwej oraz wirusa Nipah. Otrzymali szczegółowe protokoły genetyki wstecznej (*reverse genetics*), które umożliwiają „stworzenie" żywego wirusa na podstawie samej sekwencji genomu. Znaleźli dostawców syntetycznego DNA, którzy prawdopodobnie nie weryfikują rygorystycznie zamówień pod kątem bezpieczeństwa. W końcu opracowali metody obejścia zabezpieczeń, takich jak techniki maskowania niebezpiecznych sekwencji DNA, by uniknąć wykrycia przez systemy monitorujące.

Sam genom w formie tekstu dr Jedynak porównuje do wzoru chemicznego narkotyku: – *Jego poznanie nie czyni z ciebie barona narkotykowego. Aby tekstowy przepis przekuć w realne cząsteczki biochemiczne, nadal potrzebne są laboratorium i sprzęt.*

A wyposażenie laboratorium, odczynniki kosztują, i to niemało – nakłady idą w tysiące, a nawet setki tysięcy złotych. Nie są to zresztą główne przeszkody przy tworzeniu przez sztuczną inteligencję funkcjonalnych wirusów, które są na ogół pomijane w pełnych sensacji medialnych doniesieniach. – *Potrzebne są modele AI wyszkolone na tysiącach genomów wirusów. Nie są one ogólnodostępne, to specjalistyczne narzędzia tworzone i wykorzystywane na pojedynczych uczelniach. Ich obsługa także nie jest prosta: nie wystarczy zadać pytania, trzeba wiedzieć, w jaki sposób to zrobić. A samodzielnie postawiony model trzeba wytrenować, zatem trzeba*

eprasa.pl 0ca0981d75

mieć zaawansowaną wiedzę informatyczną, bioinformatyczną i z zakresu genetyki – wyjaśnia dr Jedynak. Potrzebny jest zatem wykwalifikowany i dobrze opłacany personel.

Ponadto współczesne modele LLM mają ograniczenia narzucone przez twórców: – *Odmówią podania procedury wyprodukowania narkotyku czy zrobienia bomby. Łatwo można wyobrazić sobie tego typu ograniczenia również w przypadku drobnoustrojów potencjalnie niebezpiecznych dla ludzi.* Firmy tworzące chatboty AI, takie jak OpenAI, już teraz uczą swoje modele, by odrzucały lub bezpiecznie odpowiadały na szkodliwe prośby, w tym zapytania związane z bezpieczeństwem biologicznym.

Hiszpanka wstała z grobu

Co więcej, podobne eksperymenty prowadzono na długo przed erą generatywnej AI. Już w 2002 r. zespół Jerónimo Cello odtworzył od podstaw DNA poliowirusa. Trzy lata później światem nauki wstrząsnęła wiadomość o tym, że zespół amerykańskich badaczy odczytał pełną sekwencję genetyczną wirusa hiszpanki – tej samej, która w latach 1918–20 zabiła co najmniej 50 mln ludzi. Niedługo później wirusa wskrzeszono, tworząc w laboratorium wierną kopię. – *Na marginesie: okazało się, że on niewiele różni się od tych bardziej zjadliwych współcześnie występujących* – mówi dr Jedynak. W przypadku epidemii liczy się kontekst: wojna, stres, niedożywienie i bliskie współbytowanie ludzi sprzyjały osłabieniu odporności i szybkiemu roznoszeniu się wirusa.

Fakt, że AI potrafi zaprojektować bakteriofagi, jest zatem najnowszym rozdziałem starej historii – nauka po prostu coraz lepiej odczytuje i przepisuje kod życia. Mamy tu także do czynienia z podręcznikowym przykładem tzw. badań podwójnego zastosowania (*dual-use research*). Owszem, stwarzają ryzyko stworzenia broni biologicznej, ale też mogą pomóc zrozumieć naturę pandemii i opracować nowe leki.

Prof. Krzysztof Pyrć dodaje: – *Broń biologiczna jest wykorzystywana od wielu wieków. Zmieniają się jedynie narzędzia. W przypadku chorób zakaźnych pomysły takie jak celowe zarażanie przeciwnika ospą prawdziwą są bardzo stare i pojawiały się na długo przed tym, zanim odkryto wirusy. Wiele państw prowadziło i nadal prowadzi badania nad potencjalnym wykorzystaniem czynników biologicznych.* I stwierdza, że jeszcze niedawno powiedziałby, iż broń biologiczna ma ograniczoną skuteczność militarną. Powód jest prosty – po uwolnieniu do środowiska czynnika zakaźnego nie da się go kontrolować. – *Pandemia Covid-19 pokazała jednak, że należy rozważać broń biologiczną jako instrument geopolityczny destabilizujący panujący ład. Nie możemy jej marginalizować i musimy brać ją pod uwagę w projektowaniu procedur bezpieczeństwa.*

Tym bardziej że nie jesteśmy w stanie przewidzieć rozwoju AI i zagrożeń w niedalekiej przyszłości. Jamie Metzl, badacz obszaru przecięcia biotechnologii, genomiki, bezpieczeństwa międzynarodowego i etyki oraz współpracownik ONZ i WHO, sytuację przyrównuje do wynalezienia maszyny parowej. W książce „Superkonwergencja. Jak rewolucje w genetyce, biotechnologii i AI mogą odmienić nasze życie" przywołuje XVIII-wiecznego rolnika, któremu wynalazca opisuje technologię pary i węgla. Rolnik prawdopodobnie pomyślałby jedynie o tym, że maszyna pomoże mu szybciej orać pole, nie będąc w stanie wyobrazić sobie, że jej bezpośrednim następstwem będą powstanie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, edycja genów czy właśnie generatywna AI.

Sztuczna inteligencja obecnie realnie przyspiesza projektowanie białek, przewiduje skutki mutacji i prognozuje ewolucję patogenów. Wciąż nie ma jednak publicznie udokumentowanego przypadku, w którym model AI „stworzył" od początku do końca nowego, pandemicznego wirusa zdolnego do skutecznego rozprzestrzeniania się w świecie rzeczywistym.

Najbardziej prawdopodobne ryzyko nie polega na tym, że ktoś stworzy od podstaw nowego wirusa, lecz na tym, że AI skróci drogę od pomysłu do sensownego planu eksperymentalnego. Ten drugi wciąż jednak – jak już wspomniano – wymaga technologii, środków i wiedzy, która jest niedostępna dla większości ludzi.

KASPER KALINOWSKI

REKLAMA

eprasa.pl 0ca0981d75

Ignacy Jasiukowicz z żoną i z synem. U góry: **pocztówka z XIX-wiecznej Juzowki.**

Polski Donbas

Polscy specjaliści tworzyli w XIX w. przemysłową potęgę Donbasu: nadzorowali kopalnie i fabryki, budowali kolej. Przy okazji organizowali życie tamtejszej Polonii.

VIOLETTA WIERNICKA

„Polaków nie brak tu na wszystkich stanowiskach – poczynając od dyrektorów, kończąc na robotnikach najemnych, nie ma chyba w Zagłębiu Donieckim kopalni lub fabryki, gdzie by nie pracowali Polacy" – pisała petersburska gazeta „Kraj" w 1903 r. Przed pierwszą wojną światową w Donbasie mieszkały tysiące naszych rodaków: w Ługańsku – 1500, w Doniecku (wówczas zwanym Juzowka) – 2 tys. osób, w osadzie Kamienskoje (później czasowo nazwanym Dnieprodzierżyńsk) – 8500.

Zaczęli osiedlać się tam na początku lat 70. XIX w., gdy wraz z rozwojem górnictwa, hutnictwa oraz innych gałęzi przemysłu wzrosło zapotrzebowanie na wykwalifikowanych robotników. Oferowano im pensje o jedną trzecią wyższe niż na pozostałym obszarze imperium rosyjskiego, dobre warunki mieszkaniowe, szpitale, szkoły, karczmy, herbaciarnie. Część podejmowała decyzję o wyjeździe żywiołowo, część sprowadzali lokalni przedsiębiorcy, np. w 1897 r. agenci Rosyjsko-Donieckiego Towarzystwa Akcyjnego przekonali 165 górników z Dąbrowy Górniczej do podjęcia pracy w Zagłębiu.

Kopalnie węgla: Kazimierz Tołwiński

Szczególnie chętnie zatrudniano polskich inżynierów, którzy następnie ściągali do zagłębia swoich kolegów. Właśnie z polecenia rodaków w 1901 r. do Juzowki przyjechał Kazimierz Tołwiński (1862–1933), ojciec Stanisława, późniejszego prezydenta Warszawy w latach 1945–50 i absolwent Instytutu Technologicznego w Petersburgu. Jego kariera po ukończeniu studiów nie należała do udanych, bo rynek pracy w Królestwie

© WE.ORG.UA, POL.OBOZREVATEL.COM, PAP

eprasa.pl 0ca0981d75

Polskim nie oferował wielu możliwości wykształconym specjalistom. Dlatego przez dziewięć lat Kazimierz pracował poniżej swoich kwalifikacji, m.in. jako ślusarz, pomocnik maszynisty, technik warsztatów kolejowych. Dopiero w 1897 r. zatrudniono go na stanowisku inżyniera w kopalni w Sosnowcu. W 1901 r. z polecenia kolegów z Instytutu Technologicznego zaproponowano mu pracę na stanowisku głównego mechanika w Rykowskim Towarzystwie Kopalń Węgla w Juzowce.

Do Zagłębia Tołwiński przyjechał z żoną Marią i trójką dzieci: Franciszkiem, wspomnianym Stanisławem i Hanią (w Donbasie urodziła się im druga córka Janina). Rodzinie przydzielono parterowy murowany dom z ogrodem i jednohektarową działkę, na której zatrudnieni przez Kazimierza pracownicy uprawiali owoce i warzywa. Ale ojciec rodziny nie miał czasu

Stanisaw Tołwiński, który wychowywał się w Zagłębiu Donieckim, po wojnie prezydent Warszawy, 1947 r.

nacieszyć się tymi luksusami, bo od razu przystąpił do swoich obowiązków i zaczął wizytować kopalnie w całym regionie. Dlatego – jak ironizował w swoich wspomnieniach jego syn Stanisław – częściej widywał furmana nazwiskiem Żiwotow i dwie siwe klacze niż żonę i dzieci.

Z powodu ciągłej nieobecności ojca rodzina musiała samodzielnie przejść proces adaptacji. Z dziećmi poszło łatwo, bo życie w Donbasie jawiło się im jako przygoda – po raz pierwszy zobaczyły step i poznały smak melonów, arbuzów i solonych w beczkach kawonów. Dzięki zabawie z dziećmi furmana Żiwotowa błyskawicznie opanowały rosyjski. Ale ich matka – jak pisał Stanisław Tołwiński – z trudem przyswajała język: „Przypominała pod tym względem Barykową z »Przedwiośnia« Żeromskiego. Było na ten temat dużo żartów nawet ze strony dzieci. Pamiętam np. taki zwrot w stosunku do jednej z pań: Nie ścieśniajcie się, ja wam przyniosę kriesło, siadźcie se, to wam będzie lepiej". Chciała powiedzieć: Proszę się nie krępować, zaraz przyniosę krzesło, proszę usiąść, poczuje się Pani lepiej, a zrobiła tzw. kalkę z języka polskiego, poprawnie brzmi to: Nie stiesniajtieś, ja wam priniesu stuł, sadities i wam staniet łuczsze. Nikt jednak nie zwracał uwagi na błędy Marii, bo dla wielu mieszkańców Zagłębia, tj. Niemców, Greków, Ormian, Francuzów, rosyjski nie był językiem ojczystym. Zresztą sam Stanisław bardzo cenił dorastanie w wielonarodowym środowisku.

Tołwińscy prowadzili dom otwarty. Kazimierz często przyprowadzał do domu kolegów, a jego żona serwowała dania kuchni polskiej, która szczególnie przypadła do gustu Rosjanom. Utrzymywano serdeczne stosunki z rodzinami rodaków, m.in. inżynierów Stanisława Wysockiego, Rakowskiego i Jakobsona. Dla zachowania narodowej tożsamości dzieci zatrudniono domową nauczycielkę Polkę. Kilka razy w roku zamawiano książki i prasę z warszawskiej księgarni M. Arcta.

Stanisław pisał, że dzięki dobrym zarobkom ojca ich życie w Donbasie było wygodne i dostatnie. Maria i dzieci spędzały wakacje na Krymie, całą rodziną zwiedzili Kraków i Wiedeń. Opłacono naukę w prywatnej szkole średniej dla Hani i wysłano Stasia na studia na Uniwersytecie Politechnicznym w Petersburgu.

Metalurgia: Ignacy Jasiukowicz

Polscy inżynierowie zajmowali kierownicze stanowiska w donbaskim przemyśle: Julian Husarski był dyrektorem kilku kopalni, Kazimierz Chrzanowski – niemieckiej fabryki parowozów Gustawa Hartmana, Ludwig Gużewski – Kramatorskiego Towarzystwa Metalurgicznego. Ale największą rolę w tym regionie odegrał urodzony w Kownie Ignacy Jasiukowicz (1847–1914), prezes Południowo-Rosyjskiego Dnieprowskiego Towarzystwa Metalurgicznego w Kamienskoje, dzięki któremu ta zamieszkana przez 2 tys. osób osada przekształciła się w duży ośrodek przemysłowy.

Jasiukowicz przyjechał do Zagłębia w 1888 r. na zaproszenie właścicieli firmy powstałej na bazie Towarzystwa Warszawskiej Fabryki Stali. Fabryka w 1886 r. przeniosła się do Kamienskoje, gdy w Królestwie Polskim podniesiono cła importowe na rudę żelaza. W 1887 r. prezes warszawskiego przedsiębiorstwa Wilhelm Rau wspólnie z belgijskimi partnerami założył Południowo-Rosyjskie Dnieprowskie Towarzystwo Metalurgiczne z kapitałem zakładowym 5 mln rubli.

Niestety wspólnicy początkowo dokonali nietrafionego wyboru dyrektora mającego uruchomić produkcję i następnie poprowadzić firmę – już w 1888 r. znalazła się ona na krawędzi bankructwa. Problemy miał rozwiązać 41-letni Jasiukowicz mający na swoim koncie m.in. kierowanie Newską Fabryką Parowozów i Okrętów oraz Zakładami Putiłowskimi w Petersburgu. Od razu po objęciu stanowiska w Kamienskoje zajął się naprawianiem błędów poprzednika i w ciągu kilku lat zwiększył kapitał akcyjny towarzystwa z 5 do 15 mln rubli, a jego majątek z 6 do 47 mln.

Za tym sukcesem stał zmysł biznesowy Polaka – dzięki nabyciu kilku kopalń wprowadził w firmie pełny cykl produkcyjny. Wyeliminował pośredników w handlu, zakładając w Charkowie biuro sprzedaży (kantor) Południowo-Rosyjskiego Dnieprowskiego Towarzystwa Metalurgicznego. Dzięki Jasiukowiczowi produkcja firmy zyskała renomę w kraju i Europie: w 1896 r. otrzymała godło państwowe Rosji na Wszechrosyjskiej Wystawie Przemysłowej w Nowym Nowogrodzie, a w 1900 r. – wyróżnienie na Wystawie Światowej w Paryżu.

Działalność Polaka nie ograniczała się do dbania o zarządzane przez siebie towarzystwo. Był on inicjatorem powstania ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ oraz fundatorem wielu lokalnych instytucji: dwuklasowej szkoły dla dzieci robotników, szpitala, kuchni dla robotników, osiedla robotniczego. Doprowadził do zbudowania kościoła katolickiego i cerkwi prawosławnej, a także Klubu Inżynieryjnego ze świetną akustyką, w którym występował światowej sławy bas Fiodor Szalapin. Dzięki niemu Kamienskoje mogło pochwalić się najlepszym w Rosji rzecznym klubem jachtowym.

W 1903 r. Jasiukowicza przeniesiono na ministerialne stanowisko do Petersburga. Przed wyjazdem mianował na swoje miejsce zaufanego współpracownika Ludwika Gużewskiego. Poza tym od 1913 r. w zarządzie firmy pojawił się jego syn Stanisław – inżynier z tytułem doktora nauk technicznych. Ale nawet w stolicy Rosji Ignacy Jasiukowicz nie zapomniał o Kamienskoje. W latach 1906–07 doprowadził do otwarcia przytułku dla dzieci i ciężarnych kobiet oraz gimnazjum męskiego i żeńskiego (ich ukończenie uprawniało do wstępu na studia wyższe). Wystarał się o 6-milionową dotację na przeprowadzoną w 1912 r. modernizację towarzystwa. Wówczas populacja Kamienskoje wynosiła ok. 40 tys. osób.

Rodzina Dzierżyńskich w 1889 r. Władysław (na zdjęciu obok w polskim mundurze) był lekarzem w powiecie ługańskim.

Niedługo przed wybuchem pierwszej wojny światowej Ignacy Jasiukowicz odszedł na emeryturę, którą spędzał w swoim majątku w Chodowie pod Kutnem. Gdy zmarł 28 sierpnia 1914 r., w Kamienskoje odprawiono mszę za jego duszę w kościołach wszystkich wyznań.

Poza przemysłem: Władysław Dzierżyński i inni

Wykształceni Polacy znajdowali też pracę poza przemysłem. Tak w latach 70. XIX w. duża grupa inżynierów brała udział w budowie dróg żelaznych Kursko-Charkowsko-Azowskiej i Charkowsko-Nikołajewskiej. Następnie wielu z nich, m.in. Józef Kułakowski, Tadeusz Chełmiński, Zygmunt Łukaszewicz, zajęło w Donbasie kierownicze stanowiska. Zamieszkały w Jekaterynosławiu (obecnie Dniepr) architekt Zdzisław Marian Charmański pełnił funkcję inżyniera gubernialnego, nadzorował wznoszenie budynków użyteczności publicznej, a także zaprojektował świątynie prawosławne i katolicką w Kamienskoje.

W I gimnazjum żeńskim w Bachmucie matematyki uczyła Wanda Jaroszewska, a jej koleżanka Klaudia Łodzińska pracowała jako wychowawczyni w II gimnazjum. Adolf Dybczyński był nauczycielem gimnastyki w szkole elementarnej w Juzowce. Mieszkająca w Ługańsku Katarzyna Czwalińska założyła prywatne gimnazjum żeńskie. Jej małżonek Karol prowadził prywatną praktykę lekarską. Grzegorz Maczkowski pełnił funkcję lekarza miejskiego w Juzówce.

Nietuzinkową postacią był prof. Władysław Dzierżyński, neurolog i psychiatra (1881–1942) i zarazem starszy brat Feliksa Dzierżyńskiego (nie podzielał jego poglądów i po 1917 r. zerwał z nim kontakt). W latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej podjął pracę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Charkowskiego i jednocześnie zajmował się organizacją opieki psychiatrycznej w powiecie ługańskim. Pod jego nadzorem w mieście Swatowo powstał szpital dla nerwowo chorych, który przyjął pierwszych pacjentów w czerwcu 1914 r. Po inauguracji placówki Dzierżyński pozostał w Swatowie przez dwa miesiące w charakterze ordynatora, aby upewnić się we właściwym funkcjonowaniu szpitala.

Zmierzch

Kres polskiego Donbasu nastąpił po przejęciu władzy przez bolszewików. Nie zaakceptowawszy władzy radzieckiej, nasi rodacy zaczęli wracać do odradzającej się ojczyzny. Wśród nich znaleźli się wspomniani wyżej Stanisław Tołwiński, Stanisław Jasiukowicz i Władysław Dzierżyński, którzy odnieśli sukces w okresie międzywojennym: Tołwiński współtworzył Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową i Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane. Jasiukowicz był posłem na sejm z ramienia Związku Ludowo-Narodowego, a Dzierżyński – ordynatorem łódzkich szpitali: 4. Okręgowego Wojskowego przy ul. Żeromskiego oraz im. Prezydenta RP Ignacego Mościckiego przy ul. Zagajnikowej (obecnie Kopcińskiego).

W czasie drugiej wojny światowej Tołwiński m.in. szukał schronienia dla Żydów. Dzierżyński leczył członków podziemia, za co został aresztowany w lutym 1942 r. i po miesiącu zamordowany podczas publicznej egzekucji w Zgierzu, gdy życie straciło 100 osób (dla upamiętnienia tej tragedii jeden z miejskich placów obecnie nosi nazwę Stu Straconych). Jasiukowicz został jednym z 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Za swoją działalność w tym charakterze w marcu 1945 r. został aresztowany przez NKWD, przewieziony do Moskwy i osadzony w słynnym moskiewskim więzieniu Butyrki przeznaczonym dla przeciwników politycznych. Skazano go na pięć lat pozbawienia wolności. Nieludzkie warunki w sowieckiej niewoli spowodowały u niego pogorszenie stanu zdrowia. Zmarł na atak serca w więziennym szpitalu.

Stanisław Tołwiński jako jedyny przeżył drugą wojnę i odnalazł się w nowej rzeczywistości. W latach 1945–50 jako prezydent Warszawy niestrudzenie pracował na rzecz odbudowy miasta. W późniejszym okresie był m.in. zastępcą szefa Urzędu Rady Ministrów.

VIOLETTA WIERNICKA

© EAST NEWS, WIKIPEDIA/DP

eprasa.pl 0ca0981d75

Monopol melin

JERZY KOCHANOWSKI

Ograniczenia nocnej sprzedaży alkoholu obowiązują już w 180 gminach w Polsce, w tym od 1 czerwca we wszystkich dzielnicach Warszawy. Chociaż powszechnie wieszczony renesans peerelowskich melin jeszcze nie nastąpił, warto przypomnieć ich historię.

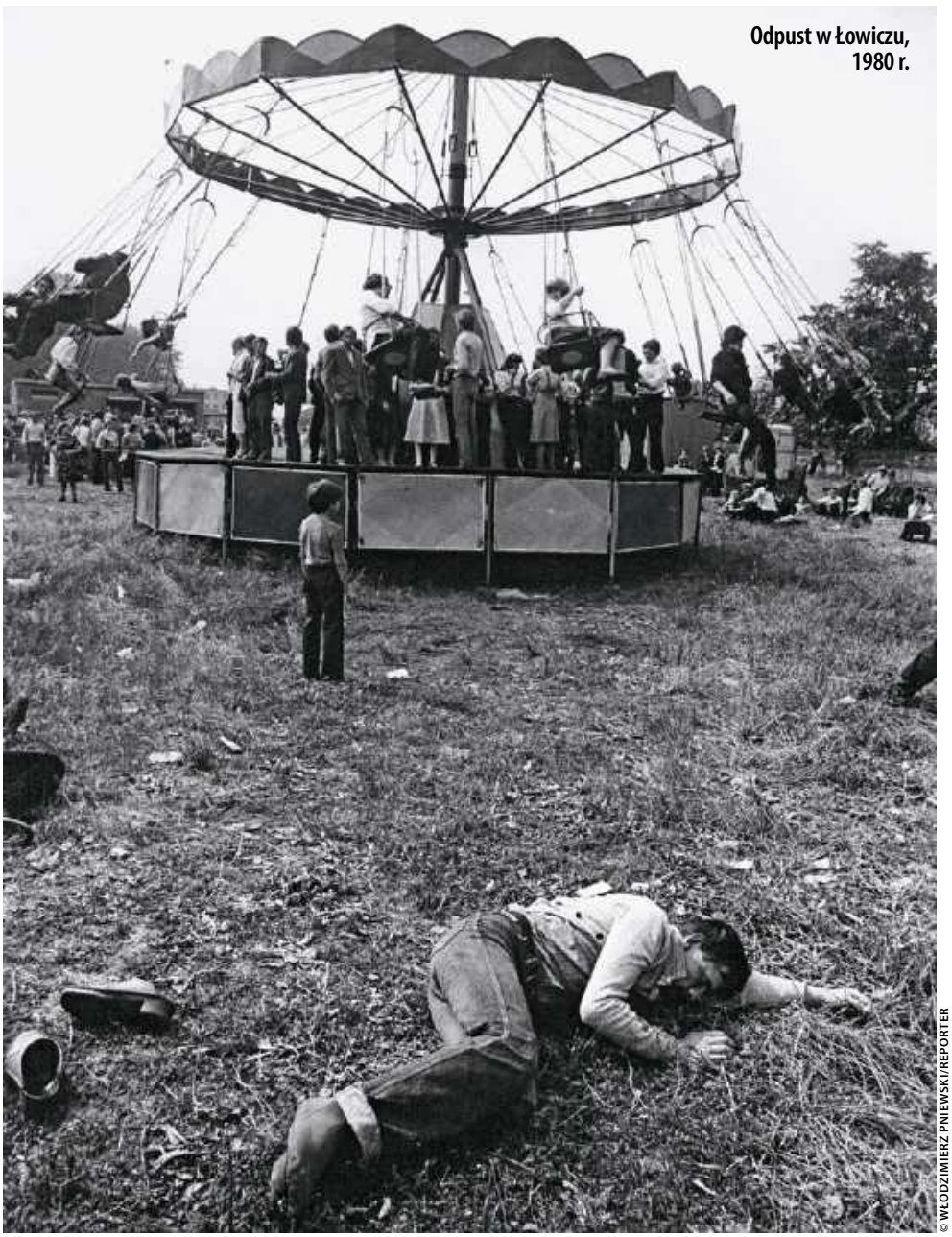

Odpust w Łowiczu, 1980 r.

© WŁODZIMIERZ PNIEWSKI/REPORTER

W PRL, podobnie jak obecnie, alkohol był artykułem stawiającym władze w sytuacji schizofrenicznej. Z jednej strony potrzeby budżetu zachęcały do jak największej sprzedaży, a niedobory i podwyżki cen budziły niemniejsze emocje niż w przypadku mięsa. Z drugiej zaś plaga pijaństwa z tragicznymi skutkami społecznymi i ekonomicznymi skłaniała do prób ograniczania konsumpcji. Kampanie antyalkoholowe były mało skuteczne, kolejne ustawy czy rozporządzenia (1950, 1956, 1959) zaostrzały więc kary, np. za picie w pracy czy bimbrownictwo, i ograniczały możliwości zakupu.

Rady narodowe zyskały wręcz prawo do wprowadzania lokalnej prohibicji, np. w dni wypłat czy święta państwowe (1 maja, 22 lipca). Od 1966 r. alkohol i papierosy można było kupować oficjalnie dopiero po ukończeniu 18. roku życia. Lata 70. przyniosły z jednej strony olbrzymi wzrost spożycia alkoholu, z drugiej kolejne ograniczenia jego dostępności. Ukoronowaniem peerelowskiej walki z pijaństwem za pomocą przepisów była ustawa z 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi, m.in. zakazująca sprzedaży alkoholu w handlu i gastronomii w godzinach 6.00–13.00.

Wszystkie te zakazy i nakazy w konfrontacji ze zmieniającą się obyczajowością Polaków (zwiększenie spożycia alkoholu, także kobiet i nieletnich, powszechne picie w pracy) skutkowały rozwojem bimbrownictwa i nielegalnego obrotu „państwowym" alkoholem z odpowiednią prowizją pobieraną przez pośredników. „Na miejsce [...] każdego zamkniętego punktu legalnego C alarmowało w 1957 r. Ministerstwo Sprawiedliwości – z reguły powstają jak grzyby po deszczu ruchliwe punkty nielegalnej sprzedaży na bazarach, targowiskach, bramach i mieszkaniach prywatnych". Te ostatnie oferowały całą paletę usług: oprócz alkoholu na wynos, nieraz także wyszynk na miejscu, usługi seksualne czy paserskie.

W godzinach pracy najlepszymi klientami byli robotnicy, więc i meliny, nazywane również potajemkami lub bunkrami powstawały w sąsiedztwie fabryk czy budów. Np. w Warszawie połowy lat 60. większość z ok. 400 melin mieściła ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ się w dzielnicach przemysłowych – na Woli, Żoliborzu, obu Pragach. Nieraz działały bezpośrednio w zakładach pracy prowadzone przez portierów, dozorców czy kierowców. „W przedsiębiorstwie, w którym pracuję – gdańszczanka skarżyła się w 1978 r. KC PZPR – kierowca »Wołgi« zawsze ma w bagażniku żelazną porcję wódki (10 l.), którą chętnie obsługuje kolegów, kierowców w bazie transportowej". Zdarzało się, że zakładowi meliniarze byli wręcz chronieni przez załogę. Kiedy w Warszawskiej Spółdzielni Ogrodniczej przyłapano na takim procederze portiera, decyzja dyrektora o jego zwolnieniu spotkała się z gwałtownym sprzeciwem nie tylko pracowników fizycznych, ale również umysłowych czy wręcz kadry kierowniczej.

Typowymi centrami meliniarstwa były również okolice bazarów czy robotnicze dzielnice i przedmieścia, w Warszawie lat 60. np. Czerniaków, Powiśle, Targówek, Wawrzyszew, Rembertów. „Milicji znane są takie newralgiczne punkty – informowała w 1959 r. warszawska popołudniówka – gdzie w promieniu 100 m działa 12 melin, w których »babcie«, »ciocie« i »wujkowie« prowadzą zakazany handel". Sytuacje wyższej konieczności, jak niespodziewany gość czy wyczerpanie się alkoholu podczas przyjęcia skłaniały do odwiedzania melin również przedstawicieli innych grup społecznych, intelektualistów nie wyłączając. Przywoływane w połowie lat 80. przez Jerzego W. Wójcika anonimowe badania 422 osób z wyższym wykształceniem pokazały, że prawie 55 proc. miało kontakt z melinami. Nie oznacza to jednak, że dostęp do nich był łatwy, bowiem dla zminimalizowania ryzyka obsługiwały zazwyczaj krąg zaufanych odbiorców, podejrzliwie traktując przypadkowych klientów.

Mimo że ceny alkoholu były w melinach dużo wyższe niż w sklepach, nabywcy nie czuli się pokrzywdzeni, wręcz przeciwnie, w razie wpadki bronili handlarza. Z jednej strony istotna była solidarność środowiskowa i kodeks etyczny nakazujący rozwiązywanie konfliktów bez udziału władzy, z drugiej likwidacja meliny byłaby równoznaczna z utratą – przynajmniej na jakiś czas – nieograniczonego dostępu do alkoholu i nieraz na kredyt. Nic dziwnego, że milicja, mimo wiedzy o melinach, miała spore problemy z ich likwidacją i ukaraniem handlarza. Posiadanie nawet dużej ilości „monopolowego" alkoholu nie było bowiem, w odróżnieniu od bimbru, karalne. Milicjanci musieli więc zdobyć dowody na nielegalny obrót, zatrzymując sprawców na gorącym uczynku (co nie było łatwe) albo znajdując dokumentację potwierdzającą np. wierzytelności, jak odkryty w 1984 r. w Końskowoli rejestr „35 osób, które pobrały alkohol na kredyt, 22 zegarki, przedmioty ze złota i srebra – pozostawione jako zastaw za alkohol". Handlarze rozwijali zresztą skuteczne strategie obronne. W mieszkaniu przetrzymywano niewiele alkoholu, nieraz w otwartych butelkach, ilości handlowe trzymając np. u sąsiadów.

W rezultacie tylko niewielki odsetek właścicieli melin udawało się doprowadzić do sądu lub kolegium. Np. w 1962 r. stołeczna MO wiedziała o ok. 300 melinach, ale tylko w 91 wypadkach dowodów wystarczyło na akt oskarżenia. Lecz i w takich przypadkach zapadały najczęściej łagodne wyroki – grzywny, na które można było zarobić w jeden wieczór czy paromiesięczne areszty, zazwyczaj w zawieszeniu. Powody takiej wyrozumiałości były natury zarówno ekonomicznej, jak i społecznej. Z jednej strony handlowano najczęściej monopolowym alkoholem, nie szkodząc bezpośrednio państwowej kasie. Już w 1946 r. urzędnik Ministerstwa Administracji Publicznej instruował wojewodów, że zbyt rygorystyczne zwalczanie nielegalnej sprzedaży wódki monopolowej „jest szkodliwe z uwagi na interes Skarbu państwa, gdyż ogranicza zbyt artykułów monopolowych, obłożonych opłatami skarbowymi". Zalecano też „przejściową" pobłażliwość. Na podobne zjawisko wskazywał cztery dekady później Jan Dziadul („Pożytki z bimbrownika" POLITYKA, 14 grudnia 1985 r.), pytając, dlaczego „surowo karze się tych, którzy pędzą, a łagodnie traktuje się meliniarzy. Ani dużych wyroków w prasie, ani kar pozbawienia wolności. [...] Znający życie wiedzą, że sprzedaż bimbru w melinach należy do rzadkości. [...] Królują w nich wyroby monopolowe i wódki »peweksowskie« [...]. Z meliny zysk ciągnie meliniarz, zarabia na tym monopol państwowy, no i coś z tego ma »Pewex«". Na stosunkowo łagodne decyzje sędziów wpływ miał również społeczny wymiar problemu, do lat 80. XX w. zdecydowaną większość właścicieli melin stanowiły bowiem kobiety, często starsze lub obarczone dziećmi, z rzadka mające jakieś oparcie w partnerze i nielegalna sprzedaż alkoholu była nieraz po prostu sposobem na przeżycie.

Nic dziwnego, że zamknięta melina albo się szybko odradzała, albo była zastępowana przez nową. W 1966 r. w Warszawie zlikwidowano 119 melin, powstało zaś 250. Zresztą z tych 119 aż 35 likwidowano po raz drugi, 9 – trzykrotnie, 3 – czterokrotnie. Wysiłek organizacyjny był bowiem niewielki – wystarczyło kupić w sklepie parę butelek wódki lub taniego wina. System załamał się w 1981 r., kiedy kryzys dotknął też półki z alkoholem. Wprowadzana od czerwca 1981 r. jego reglamentacja (decydowały organy administracji terytorialnej!) objęła cały kraj w październiku 1981 r., a od stycznia 1982 r. pełnoletni konsument mógł nabyć miesięcznie najwyżej pół litra wódki. Stworzyło to cieplarniane warunki dla nieoficjalnego obrotu alkoholem, przynoszącego teraz krociowe zyski.

Z doniesień prasowych i raportów MO zniknęli „meliniarze", pojawili się natomiast „spekulanci alkoholem". Była to zmiana nie tylko terminologiczna, ale przede wszystkim jakościowa. Monitorująca nielegalny rynek Komenda Główna MO podkreślała, że wprowadzenie reglamentacji radykalnie zmniejszyło liczbę drobnych handlarzy, mających teraz problemy zarówno z zakupem alkoholu, jak i z wytłumaczeniem posiadania większej ilości. Większe szanse mieli teraz nie tyle detaliści, ile „hurtownicy" dysponujący odpowiednimi zasobami i będący w stanie szybko wypracować nowe strategie zaopatrzenia i dystrybucji, od wykorzystywania państwowych producentów, poprzez kradzieże i fałszerstwa kartek, aż po zakupy w sklepach dewizowych. Więcej ryzykowali, ale i zyski były olbrzymie, np. już w końcu 1981 r. siedmioosobowa „grupa spekulacyjna" z Poznania sprzedała 20 tys. butelek wódki, zarabiając ok. 4,5 mln zł (przy średniej pensji ok. 8 tys. zł). Z perspektywy następnych lat nie byli wcale rekordzistami!

Najprostszym sposobem było zdobycie alkoholu w państwowych wytwórniach, które pod presją związków zawodowych i często za zgodą lokalnych władz umożliwiały pracownikom zakup dużych ilości alkoholu, jak i wymieniały go za produkcję innych zakładów lub też sprzedawały z pominięciem handlu instytucjom i osobom prywatnym. Mimo że już w 1982 r. Polmos wymienił część pracowników nadzoru i wszystkim zwiększono pensje

eprasa.pl 0ca0981d75

o 20 proc., co miało ich powstrzymywać przed kradzieżami, nadużycia były powszechne. Do najczęstszych sposobów należało generowanie nadwyżek w produkcji, kradzieże przy rozlewaniu alkoholu lub w transporcie, w którym zazwyczaj wykorzystywano normę tzw. stłuczek. W rezultacie przy przewozach np. octu stłuczek było 10 razy mniej niż alkoholu. W 1983 r. podczas transportu kolejowego „stłukły" się alkohole o wartości ponad 729 mln zł. „Stłuczki" w transporcie samochodowym były tak olbrzymie, że wzbudziły podejrzenia PZU. Jak tłumaczył w 1984 r. jego dyrektor Anatol Adamski: „Jak się okazuje, tam gdzie nasz pracownik jedzie w samochodzie, nie ma żadnej szkody, ale tam gdzie naszych pracowników nie ma [...] jest tutaj tragedia [...], na przykład w rejonie Krakowa [...] uratowaliśmy [alkohol – przyp. J.K.] na wartość 18 milionów 700 tysięcy złotych".

Hurtowymi odbiorcami tak pozyskanego alkoholu byli zarówno pracownicy sklepów, zwłaszcza monopolowych, mający najlepsze możliwości dystrybucji, jak i szefowie placówek gastronomicznych. Np. w 1982 r. ajentka restauracji w Księżym Dworze koło Działdowa upłynniła ponad 43 tys. butelek wódki (zysk 9 mln zł!). Cztery miliony zarobili ajenci poznańskich barów Dobosz i Osiedle, sprzedając nielegalnie ok. 20 tys. butelek.

Sklepy monopolowe miały własne strategie pozwalające uzyskiwać zysk także z legalnych dostaw. Skomplikowany system zamienników za reglamentowany alkohol (np. kawa czy czekolada) praktycznie uniemożliwiał skuteczny nadzór. W rezultacie na początku 1982 r. w sklepie na warszawskim Mokotowie sprzedano bez kartek prawie 7 tys. butelek wódki, a placówka Społem w Kutnie upłynniła poza reglamentacją do połowy 1982 r. ok. 16 tys. butelek. Sporadycznie też rozpoznawano fałszowane na masową skalę kartki na alkohol. Np. w sklepie WSS w Szczecinie znaleziono 3320 fałszywych kartek, w monopolowym w Inowrocławiu – 1091. Mniej ryzykowne i równie opłacalne było fałszowanie lub wielokrotne wykorzystywanie specjalnych przydziałów na alkohol z okazji narodzin, ślubu bądź zgonu. Przy dobrej organizacji można było tą drogą uzyskać niemałe ilości alkoholu i nieźle zarobić.

Budka z piwem, 1965 r.

Czarnorynkowe ceny alkoholu były tak wysokie, a dolarowe, peweksowskie na tyle niskie, że opłacało się kupować wódkę w sklepach „eksportu wewnętrznego" (nie obowiązywała w nich reglamentacja i zakaz sprzedaży 6.00–13.00) i dystrybuować z zyskiem kanałami nieoficjalnymi. Gdyby w ekonomii nieformalnej przyznawano nagrody za kreatywność, to zasłużyłby nań handlarz, którego widywałem w latach 80. pod Pewexem przy ul. Lotaryńskiej na warszawskiej Saskiej Kępie. Od rana stał przy wejściu i oferował spragnionym pakiety po 95 centów w bonach PKO, którymi można było legalnie handlować. Tyle kosztowała w środku butelka Żytniej.

Rezygnacja wiosną 1983 r. z reglamentacji alkoholu w niewielkim stopniu ograniczyła nielegalny handel. Skończyły się oszustwa kartkowe i wyłudzanie zaświadczeń, jednak przy wysokich cenach i szwankującym zaopatrzeniu utrzymały się wszelkie przedstawione wyżej strategie generowania nadwyżek. Zniesienie racjonowania alkoholu i jednoczesne utrzymanie ograniczeń jego sprzedaży stanowiły doskonały fundament do odbudowy systemu tradycyjnych melin, których właściciele i właścicielki stanowiły niemałą część kolejek ustawiających się przed godz. 13.00 pod sklepami monopolowymi.

W 1986 r. udało się naszkicować „meliniarski" portret zbiorowy. Wśród 2267 ustalonych sprawców stwierdzonych wtedy 2927 przypadków spekulacji alkoholem było 1226 (49,6 proc.) kobiet, 1088 (47,9 proc.) rencistów i emerytów, 373 (16,4 proc.) nigdzie nie pracowało, 352 osoby były wcześniej karane. W sile wieku (30–49 lat) było 698 (30,7 proc.) osób, powyżej 49. roku życia – 1318 (58,1 proc.). Niektórzy obracali naprawdę olbrzymimi ilościami alkoholu. W kategorii indywidualnej pierwszeństwo należy zapewne przyznać dozorczyni z Przemyśla, która od stycznia 1984 r. do czerwca 1986 r. kupiła i odsprzedała z zyskiem (9 mln zł!) co najmniej 58 400 butelek wódki i wina.

Podobnie jak cinkciarze, również meliniarze byli elastyczni i kreatywni, dopasowując się do rynkowych inicjatyw uspołecznionego handlu i nie cofając przed swoistymi działaniami monopolistycznymi. Kiedy w połowie lat 80. w jednym z miast wojewódzkich postanowiono otworzyć nocny sklep z alkoholem, władze otrzymały kilkadziesiąt skarg. Sprawdzeni przez MO nadawcy okazali się meliniarzami pragnącymi uniknąć konkurencji. W Warszawie, gdzie taki sklep otwarto na początku 1987 r., okoliczne meliny zaczęły sprzedawać alkohol z identyczną marżą (20 proc.). Z tym że sklep musiał wstrzymać handel między 6.00 a 13.00, meliny zaś pracowały dalej i już swobodnie dyktowały ceny.

Ograniczające swobodę sprzedaży alkoholu przepisy z 1982 r. zostały zniesione 19 lipca 1990 r., szybko pozbawiając chleba większość meliniarzy. Po prawie 40 latach okazuje się jednak, że mają godnych następców.

JERZY KOCHANOWSKI

© JERZY MICHALSKI/RSW/FORUM

eprasa.pl 0ca0981d75

serial

Wszystkie odcienie szarości 3/6

Elle, twórczyni serii: Laura Kittrell, 8 odc., **Prime Video**

Brawurowa komedia „Legalna blondynka" z 2001 r. okazała się czymś znacznie więcej niż kasowym hitem. Tytułowa bohaterka z optymizmem manifestowanym garderobą we wszystkich odcieniach różu i z ubraną w tym samym stylu chihuahuą u boku, udowadniała, że to stereotypy i ich wyznawcy są głupi, a nie blondynki: najpierw na wydziale prawa na Harvardzie, a w nakręconej dwa lata później drugiej części – na Kapitolu. Stała się inspiracją, jednym z symboli popfeminizmu, ikoną popkultury, a grającą ją Reese Witherspoon katapultowała do grona światowych gwiazd. Po filmach powstał jeszcze musical, od lat trwają przymiarki do trzeciej części, a na razie Prime Video razem z Witherspoon (tym razem tylko w roli współproducentki) zrealizował serial. Akcja dzieje się w połowie lat 90., w pierwszym odcinku Elle Woods obchodzi 16. urodziny: w słonecznym Los Angeles, w ogrodzie willi, z kochającymi rodzicami, setką przyjaciół i toną różu. Chwilę później wszystko się zmienia: rodzina wskutek zawodowych perturbacji ojca trafia do deszczowego Seattle, a Elle – do nieprzyjaznego szkolnego środowiska nerdów i fanów Nirvany, świata kraciastych koszul i T-shirtów we wszystkich odcieniach szarości. Prequel „Legalnej blondynki" to boleśnie stereotypowa teen drama z drobnymi elementami komedii, wątłym wątkiem kryminalnym i odcinkami niepotrzebnie rozciągniętymi do 45 min, a nawet godziny. Do fanów filmów mruga nawiązaniami, ale trudno nie zauważyć, że jako prequel nie ma sensu. Oryginalny film zasadzał się bowiem na brutalnym, bo pierwszym w życiu bohaterki, zderzeniu z nieprzyjazną rzeczywistością poza jej rodzinnym bajkowym Los Angeles. Pokazując, że już wcześniej przeszła coś podobnego, serial wywraca jego logikę (także emocjonalną). Zarówno Elle Woods, jak i energia i urok grającej jej młodszą wersję **Lexi Minetree**, zasługiwały na coś znacznie ciekawszego albo chociaż zabawniejszego. Niemniej w Excelu najwyraźniej wszystko się zgadza, skoro drugi sezon został zamówiony jeszcze przed premierą pierwszego.

ANETA KYZIOŁ

scena

Gorzka magdalenka 4/6

Tomasz Śpiewak, Jagoda Szelc, **Muszenie**, reż. Jagoda Szelc, Teatr Dramatyczny w Warszawie

Autorka m.in. poruszającego filmu „Wieża. Jasny dzień" (Paszport POLITYKI za 2017 r.) oraz równie oryginalnej, zrealizowanej w bydgoskim Teatrze Polskim „Maszyny" wraca na scenę, by tym razem połączyć obie strony swojej artystycznej działalności. „Muszenie" jest bardzo filmowe. Agata (**Anna Szymańczyk**) przyjeżdża z partnerem do domku, w którym wraz z rodziną spędzała w dzieciństwie wakacje. Odnaleziona

kaseta VHS z nagraniem z jednego z takich wakacyjnych dni jest jak proustowska magdalenka, tyle że z początku słodka, stopniowo – w bolesnym i żmudnym procesie pracy pamięci bohaterki – ujawnia swój gorzki smak. Jak lekarstwo. Scena z kasety jest odgrywana na scenie wielokrotnie, w jej centrum, tak jak w centrum życia rodziny Agaty, stoi ojciec (Robert T. Majewski). Córka zapamiętała go jako wesołka zawsze skorego do zabawy i pociągającego za sobą żonę (świetna Anna Gajewska) i dzieci. Na nagraniu chwali się wypiciem butelki wódki w rekordowym czasie. A córka powoli uświadamia sobie, że całe życie jego i rodziny kręciło się wokół tej butelki, był alkoholikiem i domowym tyranem, ale też niespełnionym aktorem i produktem swoich czasów. Co po nim odziedziczyła? Jak to wpływa na jej dorosłe życie? Czy uwolni się od wyuczonych w dzieciństwie schematów zachowań? Jagoda Szelc z zespołem portretują proces, przez jaki przechodzi wiele dorosłych dzieci alkoholików. Nie jest łatwy i „Muszenie" też nie jest łatwe w oglądaniu. Za to dobrze się potem o nim rozmawia. AK

Kiedy sobie uświadamiasz, że życie całej twojej rodziny kręciło się wokół butelki...

PRIME VIDEO, KAROLINA JOŹWIAK, NETFLIX, ANGON, SECOND HAND VIDEO/ANDREAS RENTZ/GETTY IMAGES, ANDRZEJ TYSZKO

eprasa.pl 0ca0981d75

film

Gorąca rywalizacja 5/6

Chris i Martina: Ostatni set, reż. Rebecca Gitlitz, prod. USA, 97 min, Netflix

W świecie sportu nie ma chyba drugiej takiej pary. **Chris Evert** i **Martina Navrátilová** rządziły w tenisie niepodzielnie w latach 70. i 80. Wygrały po 18 turniejów wielkoszlemowych, tocząc najważniejsze pojedynki głównie ze sobą nawzajem. Netflix kreśli ich portret podwójny: na korcie i poza nim, w turniejowych szatniach i szpitalnych salach. Obie już jako sportowe emerytki zachorowały na nowotwory (Evert – jajnika, Navrátilová – gardła i piersi), obie „walczą z rakiem". To niepopularne sformułowanie w przypadku zawodniczek takich jak one pasuje jak ulał. Potrzeba kontroli, zadaniowość, odporność, orientacja na cel i głód zwycięstw to właściwości sportowców, które trudno ot tak wyrugować. O czym obie bohaterki przekonały się nie raz zwłaszcza w życiu prywatnym. Nie są to gładkie życiorysy. Evert, kreowana na *girl next door*, jednocześnie nazywana lodową księżniczką, separowała się od ludzi. Navrátilová uciekła z napadniętej przez Sowietów Czechosłowacji i w Ameryce była zdana na siebie. Ciekawy jest w filmie wątek sportowych zmagań, wypalenia i mentalności mistrzyń, ale też żarłocznych mediów. Dziennikarze de facto zmusili Martinę do ujawnienia orientacji seksualnej. Jednak to przede wszystkim opowieść o rywalizacji i przyjaźni, które nie muszą się wykluczać, choć zwykle tak się dzieje. Krzepiące. A ogląda się z przejęciem jak trwający właśnie Wimbledon.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

film

Wolność, równość, biurokracja 4/6

Wielki Łuk, reż. Stéphane Demoustier, prod. Dania, Francja, 108 min, w kinach od 10 lipca

W ostatnich latach kino przeżywa renesans zainteresowania architekturą jako metaforą życia: od bombastycznego „Megalopolis" Coppoli po oscarowego „Brutalistę". Na ich tle „Wielki Łuk", choć wizualnie zdecydowanie bardziej stonowany, nie wydaje się mniej znaczący. Tytułowa konstrukcja, wzniesiona w paryskiej dzielnicy La Défense, jest tu przecież nie tylko pomnikiem architektonicznego geniuszu, lecz przede wszystkim świadectwem uporu, zderzenia szczytnych idei z rzeczywistością, nawet osobistej klęski. Fabuła koncentruje się na losach Johana Ottona von Spreckelsena (świetnie kontrolujący emocje **Claes Bang**), duńskiego projektanta, który wygrał ogłoszony przez prezydenta François Mitterranda konkurs architektoniczny. Jego pomysł na futurystyczny budynek-pomnik, nowoczesny rewers Łuku Triumfalnego, zyskał uznanie, jednak sukces Spreckelsena okazał się początkiem drogi przez biurokratyczną mękę, co odcisnęło piętno także na prywatnym życiu architekta, a sam Wielki Łuk, wymyślony jako symbol braterstwa i jedności, stał się kartą przetargową w rozgrywkach o władzę. W filmie Demoustiera dramat biograficzny łączy się z kinem o wzajemnym uzależnieniu polityki i sztuki, gdzie ta druga zawsze stoi na straconej pozycji, i choć opowiada o zmierzchu poprzedniej epoki – Wielki Łuk został ostatecznie otwarty w 1989 r. – to zarazem przypomina, że w tej kwestii niewiele się zmieniło.

JAKUB DEMIAŃCZUK

nie przegap

Hydrozagadka, reż. Andrzej Kondratiuk, dystrybucja: Second Hand Video

Samego filmu, rzecz jasna, polecać nie trzeba, to nieśmiertelna klasyka polskiej komedii. Także świeże wydanie Blu-ray zasługuje na najwyższą uwagę – odrestaurowany cyfrowo obraz pozwala na nowo cieszyć się przygodami superbohatera Asa, wśród dodatków znalazł się dokument o Andrzeju Kondratiuku, a wydanie limitowane zawiera książeczkę z esejami o filmie. To pierwszy film wydany przez Second Hand Video, którego założycielami są twórcy „Tego podcastu filmowego". Rynek Blu-ray w Polsce jest mikroskopijny, ale przynajmniej pasjonaci próbują go ocalić. JD

Bad Bunny, PGE Narodowy, 14 lipca

Wystąpi u nas wielka portorykańska gwiazda muzyki popularnej. A właściwie gwiazda globalnego rynku, bo jego zeszłoroczna „DeBÍ TiRAR MáS FOToS" stała się pierwszą w historii płytą hiszpańskojęzyczną, która zdobyła nagrodę Grammy w najważniejszej kategorii album roku. A sam Bad Bunny, aktor i wokalista, został bohaterem tegorocznego występu muzycznego w przerwie transmisji Super Bowl. I wprawdzie w Polsce nie jest słuchany tak chętnie jak za oceanem, to mamy szansę na spotkanie ze światowym numerem jeden być może w najlepszym momencie jego kariery. BCH

Toast urodzinowy dla Tomasza Stańko, Rzeszów, Warszawa, 11–12 lipca

Minifestiwal poświęcony zmarłemu w 2018 r. Tomaszowi Stańce to już tradycja. W tym roku połączy dwa miasta dla trębacza i kompozytora najważniejsze: Rzeszów, w którym się urodził (11 lipca koncerty na Dziedzińcu Zamku Lubomirskich, w programie Laura Jurd i Marcin Masecki), oraz Warszawę, gdzie 12 lipca będzie można zwiedzać jego mieszkanie i zarazem pracownię, wieczorem posłuchać koncertów, a po południu – obejrzeć przemarsz Stańko Street Bandu między najważniejszymi punktami na jazzowej mapie miasta (szczegóły: tomaszstanko.com). BCH

eprasa.pl 0ca0981d75

Podróż do kresu nocy 5/6

Ingeborg Bachmann, **Przypadek F.**, przeł. Krzysztof Jachimczak, Filtry, Warszawa 2026, s. 176

Nieukończona powieść „Przypadek F." Ingeborg Bachmann, jednej z najważniejszych pisarek austriackich, jest gęsta i – jak pisze w posłowiu Adam Lipszyc – „intrygująco postrzępiona". Miała stanowić część cyklu „Rodzaje śmierci", ale reszta nie powstała. Już początek pierwszego rozdziału wprowadza dobrze w tę prozę: „Profesor, ta skamielina, wykończył mu siostrę". Jemu, czyli Martinowi. Jego siostra Franziska wyszła za Jordana, wiedeńskiego psychiatrę, dla którego była właśnie „przypadkiem". Czuła się uwięziona w mieszkaniu, po którym kręciły się inne syndromy, jak w zamku Sinobrodego. Dlaczego mu uległa? Dlaczego tyle kobiet ulega fascynacji złowieszczym Sinobrodym? „Jestem mordowana, pomóżcie mi". Jednocześnie ma świadomość, że przecież w tym społeczeństwie taka deklaracja nic nie znaczy – przemoc jest niewidzialna. Kobiety cały czas są jej poddawane. Oprawcą tutaj jest nie tylko Jordan, ale też jej ojciec. Wie, że usłyszy, że sobie to wszystko wymyśla. Ta książka jest analizą lęku i przemocy, ale na pierwszym planie cały czas pozostaje badanie języka, „nieodpartej pustyni" (brat i siostra jadą do Egiptu, ich relacja jest osobnym tajemniczym wątkiem tej powieści), „nieodpartej miłości", skamieliny i miąższości. To również historia o podróży przez chorobę, o znikaniu i zapadaniu się w podziemia pełne mumii. „Egipskie ciemności, to trzeba przyznać, są doskonałe". Gęste obrazy Bachmann sprawiają, że brodzimy w języku. Są odkrywcze i prowadzą w zupełnie niespodziewanych kierunkach.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Brud i koloryt 4/6

Robert Małecki, **Krótka noc, długi krzyk**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 416

Emerytowany komisarz Wiesław Świrski lata świetności dawno ma za sobą, dziś już pamięć mu szwankuje. Dawny zawodowy partner Mirosław Cichoń zadręcza go jednak pytaniami, bo sprawa z przeszłości nie daje mu spokoju, jest jak tytułowy „długi krzyk" i nawracający zły sen. W latach 90. bohaterowie badali okoliczności zaginięcia Mateusza Krajewskiego, zdolnego nastolatka, przyszłego studenta medycyny, poza wszystkim syna wicewojewody, więc sprawa szybko zyskała odpowiedni priorytet. Szybko też zaczęła źle pachnieć. W Toruniu we wczesnych latach 90. pasła się mafia, ale i model rządzenia był mafijny. Policjanci też nie mieli czystych sumień, gangsterzy bywali informatorami, mieszali się do śledztw, funkcjonariusze siedzieli im w kieszeni i łatwo się było „skurwić", jak to ujął Świrski, który też ubrudził ręce. Brudu w nowej książce Małeckiego jest mnóstwo. Autor sam przyznaje, że chciał napisać inną powieść kryminalną niż zwykle, brutalną, epatującą seksem. Nie ma tego seksu tak dużo, zaznaczmy, ale metody pracy – również policjantów – chwilami są rzeczywiście wstrząsające. To nie są różowe lata 90., choć pojawiają się nostalgiczne elementy i rekwizyty: kasety, klisze, ortaliony. Ten powrót do przeszłości nie jest może nazbyt oryginalny, ale pod warstwą wulgarności kryje się ciekawsza istota tej powieści – co się dzieje z człowiekiem „potem", kiedy już się pobrudzi.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

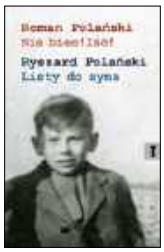

Dialog o zbrodniach 5/6

Roman Polański, **Nie biec! Iść!**, Ryszard Polański, **Listy do syna**, wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2026, s. 197

Dla każdego, kto chce wyjść poza publicystyczne uproszczenia wokół postaci Polańskiego i zrozumieć głębokie, egzystencjalne podłoże jego twórczości, ten literacki dyptyk jest pozycją fundamentalną. Tytuł odnosi się bezpośrednio do ucieczki z krakowskiego getta i porady udzielonej kilkuletniemu dziecku, by w sytuacji śmiertelnego zagrożenia nie wzbudzać podejrzeń gwałtownym ruchem. Reżyser opisał już swoje wspomnienia pół wieku temu w autobiografii „Roman", tu snuje bardziej surową, wyczyszczoną z eufemizmów, przefiltrowaną przez czas i dojrzałość refleksję. To literacko rozwinięty zapis rozmowy z 2006 r. w ramach cyklu zainicjowanego przez francuską Fundację Pamięci o Zagładzie. Wraz z dodanymi dwoma listami Ryszarda Polańskiego, więźnia obozu pracy w Płaszowie i obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen, napisanymi do syna w 1973 r. (zajmują dwie trzecie książki) – tworzą wyjątkowe świadectwo okupacyjnych zbrodni oraz czasu tuż po wyzwoleniu. Optymizm Romana rzuca się w oczy, gdy komentuje po latach antysemickie zachowania polskich sąsiadów: „A jednak ci chłopi to byli naprawdę dobrzy, poczciwi ludzie". Natomiast w opowiadaniu ojca, 70-letniego mężczyzny, zdobywającego się pierwszy raz w życiu na szczerość i wyliczającego z drastycznymi szczegółami najokrutniejsze epizody za drutami, by uświadomić synowi piekło, przez które przeszedł – szokuje wszystko. Także ironia, osobliwy dystans człowieka pozbawionego wszelkich złudzeń. Dla współczesnego czytelnika będą przede wszystkim trudną lekcją konfrontowania się z mało znaną prawdą o naszej historii.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© HERBERT LIST/MAGNUM PHOTOS/FORUM, JAN JANRUSEK, MP (4)

eprasa.pl 0ca0981d75

galeria

Granice kostiumu 4/6

Idole perwersji Zofii de Ines, Muzeum Narodowe w Gdańsku, do 31 stycznia 2027 r.

Dział Teatralny gdańskiego Muzeum Narodowego obchodzi w tym roku półwiecze istnienia i z tej okazji w Pałacu Opatów przygotowano jubileuszową ekspozycję. Jej trzon stanowią kunsztowne kostiumy autorstwa Zofii de Ines, powstałe na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Autorzy wystawy zestawili je z pracami twórców sztuk wizualnych. Pojawiają się przedstawiciele kilku pokoleń, operujący różnorodnymi mediami – od rzeźby po wideo. W tym gronie znaleźli się również laureaci Paszportów POLITYKI: Katarzyna Kozyra i Karol Radziszewski. Kostiumy teatralne są punktem wyjścia do rozmowy o tożsamości, ideałach ciała oraz stereotypach związanych z płcią – tematach jakże na czasie. Tytuł stanowi zaś nawiązanie do spektaklu Teatru Ekspresji Wojciecha Misiury z początku lat 90. (sama postać tego zmarłego w 2023 r. tancerza i choreografa jest tu także przypomniana). Zespół kuratorski, co należy podkreślić, stworzył wystawę nie tylko dla wielbicieli teatru czy też wąskiego grona znawców tematu. Ekspozycja w Pałacu Opatów to zdecydowanie doświadczenie z gatunku intrygujących. Ta nasycona erotyką konfrontacja kostiumów z innymi obiektami sztuki, z tematem przekraczania granic ciała w centrum, pozostawia gości gdańskiego muzeum z większą liczbą pytań niż odpowiedzi.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

muzyka

Pod ochroną 4/6

The Rolling Stones, **Foreign Tongues**, Polydor

Brzmienie Stonesów warte jest wpisu na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. I pozostali przy życiu członkowie grupy – Mick Jagger, Keith Richards i Ronnie Wood (Charlie Watts pojawia się na moment w archiwalnej partii) – podchodzą do niego, jakby od dawna było pod ścisłą ochroną, niewiele zmieniając. Dowodem 25. album grupy „Foreign Tongues", mniej zaskakujący niż „Hackney Diamonds" sprzed trzech lat, ale przynoszący podobną witalność przy niewielkiej świeżości, a nawet pewnej zachowawczości. W dużej części (jak pisaliśmy w POLITYCE 23) jest to zasługa lubiącego gitarowe partie producenta Andrew Watta oraz wypadkowa długiej listy gości, z Paulem McCartneyem, Steve'em Winwoodem, Chadem Smithem oraz Robertem Smithem. Choć konwencja jest tak wyraźna, że nawet lider The Cure nie wyróżnia się zbyt mocno (nawet w dyskotekowym „Never Wanna Lose You", choć warto tej piosenki posłuchać). Trudno znaleźć uzasadnienie dla tytułowej frazy – przeciwnie, The Rolling Stones są jak stereotypowi Brytyjczycy: po co poznawać obce języki, skoro inni mówią naszym? Ma to swoje pozytywne strony. Na przykład wyróżniający się tu cover „You Know I'm No Good" Amy Winehouse brzmi tak, jak gdyby od zawsze był piosenką napisaną dla Stonesów.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA

eprasa.pl 0ca0981d75

Matt Damon jako Odyseusz i Zendaya jako Atena w „Odysei" Christophera Nolana

Odyseja Odysei

Historia ekranizacji eposu Homera jest zarazem historią zmieniającej się zachodniej wrażliwości. Wiele lat przed Christopherem Nolanem sięgano do „Odysei" nie po to, by przypomnieć sobie starożytną Grecję, lecz by zrozumieć, dokąd sami zmierzamy.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Gdy Christopher Nolan ogłosił, że jego następnym projektem będzie „Odyseja", fani reżysera zamarli. Co może wnieść twórca „Batmana" i „Dunkierki" do eposu, który od dekad mierzy się z każdym możliwym odczytaniem? Owszem, obietnica użycia kamer IMAX i zapowiedź stworzenia widowiska na miarę „Lawrence'a z Arabii" sygnalizuje wyjątkowy, nawet jak na tego autora, rozmach. Naiwnością byłoby jednak sądzić, że Nolan – architekt filmowych labiryntów i piewca rozbitej czasoprzestrzeni – mógłby się zadowolić homeryckim widowiskiem à la „Troja".

Sięgnięcie po tekst liczący niemal 3 tys. lat zaskakuje, bo Nolan kojarzy się z nowoczesnością, technologią, paradoksami czasu. Z drugiej strony decyzja ta nie powinna aż tak bardzo dziwić, biorąc pod uwagę, że cała jego twórczość – w skrócie i uproszczeniu – obraca się wokół pytań o drogę do domu. Ta kwestia stoi w centrum „Interstellar", gdzie kosmiczna saga sprowadza się do perypetii ojca starającego się wszelkimi sposobami wrócić do dzieci. Napędza również „Incepcję", której bohater przemierza labirynty snów, by odzyskać utracone życie. Nawet „Memento" daje się czytać jako opowieść o rozszyfrowywaniu świata, którego się nie rozumie. W tym sensie Brytyjczyk od lat realizuje wariacje na temat Homera, choć dotąd ukrywał je w kostiumie science fiction, thrillera czy filmu

© UNIVERSAL STUDIOS

eprasa.pl 0ca0981d75

wojennego. Jak to będzie wyglądało tym razem, dowiemy się już 17 lipca, kiedy superprodukcja z gwiazdorską obsadą wejdzie na polskie ekrany.

„Odyseja" jest czymś więcej niż tylko awanturniczym eposem o powrocie rzekomego zwycięzcy spod Troi. To mit założycielski kultury zachodniej, pełniący funkcję cywilizacyjnego drogowskazu. Oprócz tęsknoty za domem w poemacie można znaleźć wszystko, co służy do przepracowywania najtrudniejszych ludzkich doświadczeń: wojny, uchodźstwa, obcości, żałoby, kryzysu męskości, nie mówiąc o problemach władzy, pamięci, pokus czy tożsamości.

Odyseusz nie jest klasycznym bohaterem. Nie zwycięża dzięki sile, tylko dzięki inteligencji, elastyczności i zdolności adaptacji. Jest bardziej politykiem niż wojownikiem, bardziej strategiem niż herosem. W przeciwieństwie do bogów sam musi podejmować kluczowe decyzje i ponosić ich ostateczne, często bolesne konsekwencje – co stworzyło fundament pod europejskie idee wolności i odpowiedzialności.

Dla starożytnych Greków „Odyseja" była zwierciadłem ukazującym siłę, która w czasie wojny uprzedmiotawia zarówno ofiary, jak i zwycięzców, pozwala patrzeć na tragedię bez okłamywania samych siebie. Dla późniejszych epok stanowiła nieustanny przedmiot polemik. Dante Alighieri w XXVI pieśni „Piekła" potępia Odyseusza nie za zbrodnie, ale za „szalony lot" – za to, że porzucił Itakę dla poznania, przywileju zarezerwowanego dla bogów.

Szekspir w „Troilusie i Kresydzie" czyni z Ulissesa cynicznego stratega władzy, który słynny monolog o porządku wygłasza nie z troski o dobro wspólne, lecz po to, by utrzymać hierarchię, z której czerpie siłę. Wreszcie James Joyce, osadzając Leopolda Blooma w Dublinie 1904 r., dokonuje drastycznej redukcji. Uniwersalność mitu polega u niego na zupełnym odrzuceniu heroizmu. Bloom, zdradzany, przeżuwający cynaderki, jest Odyseuszem codzienności, a jego Itaka to mozół przetrwania na przestrzeni jednego dnia.

To oczywiste, że ponadczasowość dzieła tkwi w jego genialnej, podwójnej strukturze – filozoficznych implikacjach i popkulturowej atrakcyjności, które na ekranie stopiły się w jedno. Z perspektywy mitologiczno-filozoficznej tułaczka Odyseusza to nic innego jak sekwencja egzystencjalnych pokus, odrzucenia boskiego statusu, wyboru ziemskiej mitręgi. Achilles z „Iliady" należy do świata honoru i heroizmu. Odyseusz przypomina mieszkańca XXI w. Nieustannie negocjuje z rzeczywistością. Kłamie, improwizuje, zmienia maski. Nie jest idealny. Bywa egoistyczny, próżny i okrutny. Jego największym talentem jest jednak umiejętność przetrwania.

W epoce globalnych migracji, niepewności ekonomicznej i technologicznych rewolucji właśnie ten aspekt mitu najmocniej rezonuje. Odyseusz nigdy nie znajduje się tam, gdzie chciałby być. Jest podróżnikiem skazanym na ciągły ruch. Nic dziwnego, że kino wracało do niego wielokrotnie, choć z uwagi na koszty produkcji i skomplikowaną, wielowątkową narrację oryginału rzadziej niż można by przypuszczać.

Początkowo film nie interpretował tekstu Homera, testując na nim własne możliwości narracyjne. Pierwsze adaptacje, jak „L'Île de Calypso" Georges'a Méliès'a z 1905 r., zapisały się w historii X Muzy pod hasłem „montaż atrakcji". Dopiero gdy film stał się opowieścią, mógł rozpocząć prawdziwy dialog z eposem. Włoska „L'Odissea" z 1911 r. nie tyle ekranizowała Homera, ile budowała kulturową genealogię młodego państwa włoskiego. Odyseusz stawał się w niej figurą wspólnoty: przypominał, że nowoczesne Włochy wyrastają wprost z mitycznej wielkości Rzymu i Grecji. Antyk służył tworzeniu świeckiej sakralności państwa narodowego tuż przed katastrofą pierwszej wojny światowej.

Odyseusza zawsze odnoszono do teraźniejszości, nigdy nie był niewinny. Nawet w monumentalnej, przełomowej koprodukcji Mario Cameriniego „Ulisses" z 1954 r., zrealizowanej w szczytowym okresie popularności widowisk o tematyce biblijnej i mitologicznej (definiującej gatunek *peplum* – kina sandałowego), pod warstwą kostiumowego przepychu krył się powojenny niepokój. Współtwórcy sukcesu włoskiego neorealizmu, producenci Dino De Laurentiis i Carlo Ponti, wynajęli studio Cinecittà, łącząc siły z hollywoodzką wytwórnią Paramount, by stworzyć dzieło pod każdym względem oszałamiające. Planowano z rozmachem – w 3D, z Silvaną Mangano jako Penelopą i Anthonym Quinnem jako Antoniuszem. Wcielający się w tytułową rolę Kirk Douglas wyglądał bardziej na człowieka zmagającego się z głęboką traumą – kombatanta cierpiącego na PTSD, który po dekadzie rzezi pod murami Troi nie potrafi się odnaleźć. Ze swoją drapieżną, neurotyczną ekspresją i słynnym dołkiem w brodzie nadał postaci rys szaleństwa i zmęczenia. Kiedy jego bohater budzi się na plaży na wyspie Feaków, cierpiąc na amnezję, staje się figurą całej powojennej Europy: poranionej, usiłującej sobie przypomnieć własną historię i cywilizacyjne korzenie po katastrofie totalitaryzmów.

Realizacja tego widowiska sama w sobie przypominała zresztą zmagania z kapryśnymi bóstwami. Na planie w Rzymie i w śródziemnomorskich lokacjach ścierały się gigantyczne ego producentów oraz gwiazd. Kirk Douglas szczególnie Cameriniemu okazywał wyższość godną władcy Itaki. Anegdota głosi, że podczas kręcenia scen morskich, ignorując ostrzeżenia włoskich konsultantów szkutniczych, uparł się, by osobiście dowodzić zrekonstruowaną antyczną galerą. Efekt łatwy do przewidzenia: omal nie doprowadził do zatopienia kosztownego okrętu na pełnym morzu, zmuszając ekipę ratunkową do odtransportowania ryczącego z wściekłości gwiazdora na ląd. Posejdon, jak widać, nie znosił konkurencji, nawet jeśli ta nosiła amerykańskie nazwisko.

Mimo spektakularnego sukcesu nie było chętnych, by podejmować dalsze próby wiernych ekranizacji. Skłonne do skrótowości kino fabularne bezlitośnie kastrowało „Odyseję" z jej polifonicznej rwanej struktury i dopiero format odcinkowy, z jego dygresjami i psychologicznym realizmem, okazał się pełnym ekwiwalentem antycznych pieśni. „Odyseja" Franco Rossiego z 1968 r., ośmioodcinkowe, śmiałe przedsięwzięcie, zrealizowane przez włoską RAI przy współpracy stacji francuskich i niemieckich, też była projektem zaangażowanym politycznie – u progu integracji europejskiej miała przypominać o wspólnych, śródziemnomorskich korzeniach Starego Kontynentu.

U Rossiego antyk był surowy, błotnisty, pachniał potem i kozim serem, a wcielający się w głównego bohatera jugosłowiański aktor Bekim Fehmiu popisał się kreacją ponurą i introwertyczną. Co ciekawe, duchowym łącznikiem z filmem Cameriniego stał się ponownie Mario Bava, specjalista od horrorów, który i tym razem, ale już niepotajemnie, wyreżyserował najbardziej ikoniczny segment serialu – spotkanie z Polifemem. Bava, operując surowym oświetleniem i ekspresjonistycznym cieniem, zamienił jaskinię Cyklopa w klaustrofobiczny teatr grozy, przekonany, że telewizja może konkurować z kinem, nie stosując wyrafinowanych efektów specjalnych. ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

Kirk Douglas w monumentalnym „Ulissesie" Mario Cameriniego z 1954 r. George Clooney (z przodu) **jako oszust i mitoman Ulysses Everett McGill w filmie „Bracie,**

▶ Trzy dekady później jeszcze dojrzalszą telewizyjną wersję zaproponował Andriej Konczałowski. Jego dwuodcinkowy miniserial do dziś pozostaje najbardziej kompletną wizualizacją homeryckiego uniwersum. Rosyjski reżyser, dysponujący gigantycznym budżetem amerykańskiej stacji Hallmark oraz producenckim wsparciem Francisa Forda Coppoli, dokonał fascynującej syntezy zachodniej technologii i wschodniej, metafizycznej wrażliwości. Armand Assante jako Odyseusz nie jest już powojennym neurotykiem jak Douglas ani posągowym Grekiem jak Fehmiu – to dumny, momentami wręcz pyszny, racjonalista, którego podróż staje się bolesną lekcją pokory udzieloną mu przez bogów.

Genialnym posunięciem Konczałowskiego okazało się potraktowanie wędrówki jako anomalii czasoprzestrzennej. Reżyser, posiłkując się literackimi intuicjami m.in. Borgesa, pokazał, że czas w królestwie nieśmiertelnych płynie wedle innych reguł. Lata spędzone w jaskini Kirke czy na wyspie Kalipso mijają bohaterowi jak narkotyczny kilkudniowy sen, gdy na Itace rówieśnicy Odyseusza siwieją, a jego syn dorasta. Nadaje to filmowi ton tragizmu: powrót do domu staje się powrotem do świata, który nie istnieje.

Realizacja serialu obrosła anegdotami. Za efekty specjalne odpowiadało legendarne Jim Henson's Creature Shop. Kukła Polifema była tak potężna i skomplikowana technologicznie, że wewnątrz stelaża do jej obsługi potrzeba było aż pięciu operatorów, którzy z powodu upałów na planie w Turcji regularnie mdleli. Z kolei Isabella Rossellini, wcielająca się w Atenę, zażądała, by jej kostium i charakteryzacja nie naśladowały klasycznych rzeźb – chciała wyglądać jak modelka na wybiegu, co zmuszało ekipę oświetleniową do wielogodzinnych ustawień luster i blend. Wysiłek się opłacił: bogowie u Konczałowskiego nie są ludźmi w prześcieradłach, lecz zwiewnymi, kapryśnymi siłami natury.

W drugiej połowie XX w. zmęczone dosłownością kino zaczęło traktować „Odyseję" jako narzędzie do dekonstrukcji legendy. Pierwszy cios zadał Jean-Luc Godard w nowofalowym arcydziele „Pogarda". Oto w luksusowej willi pisarza Curzio Malapartego na Capri Fritz Lang (grający samego siebie) próbuje nakręcić klasyczną, wierną Homerowi adaptację. Tymczasem zatrudniony do poprawienia scenariusza młody dramaturg Paul Javal (Michel Piccoli) przeżywa kryzys małżeński, bezwolnie rzucając swoją żonę Camille (Brigitte Bardot) w ramiona prostackiego amerykańskiego producenta.

Godard dokonuje tu ciekawego rozpoznania: współczesny człowiek stracił kontakt z mitem. Javal nie jest Odyseuszem, stanowi jego karłowatą, nowoczesną wersję, jest intelektualnym tchórzem handlującym własną godnością i miłością kobiety dla kariery. Z kolei Camille to Penelopa, która ma dość czekania i tkwienia w patriarchacie; jej odpowiedzią na konformizm męża jest tytułowa pogarda. U Godarda Itaka nie istnieje – dom został zniszczony od wewnątrz przez gnicie wartości, a wędrówka stała się pustym krążeniem wokół własnego narcyzmu.

W nakręconym 32 lata później „Spojrzeniu Odyseusza" Theo Angelopoulosa bohater (grany przez Harveya Keitela) przemierza rozdarte wojną Bałkany w poszukiwaniu zaginionych taśm filmowych. Odbywa podróż przez rany i traumy skonfliktowanej Europy, a tułaczka jest metaforą XX-wiecznej historii – bratobójczych konfliktów, rozpadu imperiów i śmierci humanizmu.

Z kolei przewrotna komediowa dekonstrukcja, dokonana przez braci Coen, „Bracie, gdzie jesteś?" to jedna z najbardziej błyskotliwych reinterpretacji Homera w dziejach kina. Akcja została przeniesiona do Missisipi lat 30. ubiegłego stulecia. Odyseusz (George Clooney) przeobraża się w wygadanego oszusta, mitomana i więziennego uciekiniera o nazwisku Ulysses Everett McGill. Syreny stają się uwodzicielskimi praczkami obdarzonymi darem zamiany ludzi nie jak u Homera w świnie, tylko w ropuchy. Cyklop (John Goodman) to brutalny jednooki sprzedawca Biblii, a przy okazji także członek Ku Klux Klanu, a bogowie ustępują tu miejsca politykom, szeryfom i lokalnym gangsterom rasistom.

Coenowie topią mit w grotesce. Ich Ulisses nie walczy o królestwo ani o ocalenie duszy. Wraca do żony, zanim ta nie wyjdzie za mąż za „człowieka z perspektywami", a ostatecznym trofeum okazuje się puszka ulubionej pomady do włosów Dapper Dan.

© BE&W (3)

eprasa.pl 0ca0981d75

gdzie jesteś?" braci Coen z 2000 r. Keir Dullea jako nowoczesny Odyseusz, astronauta Dave Bowman, w „2001: Odysei kosmicznej" Stanleya Kubricka z 1968 r.

Coenowie, deklarujący zresztą z właściwym sobie cynizmem, że samej „Odysei" nigdy nie przeczytali i oparli się jedynie na jej popkulturowych kliszach, paradoksalnie udowodnili, że archetyp homerycki jest tak silny, iż działa nawet wtedy, gdy zostanie przepuszczony przez stereotyp amerykańskiego folkloru i muzyki country. Droga zawsze pozostaje drogą, a człowiek – uciekającym przed wyrokami losu wygnańcem.

Na najbardziej gorzki komentarz do „Odysei" zdobył się zdaniem wielu Stanley Kubrick, gdy we współpracy z Arthurem C. Clarkiem zrezygnował całkowicie z antycznego sztafażu, czyniąc kosmos bezkresną przestrzenią jej fabuły. W „2001: Odysei kosmicznej" to astronauta Dave Bowman staje się nowoczesnym Odyseuszem. A wiecznie świecący czerwonym okiem komputer HAL 9000, symbolizujący bezwzględną, zimną logikę – współczesnym Cyklopem. Poza tajemniczym czarnym monolitem nie ma tam żadnych duchów, potworów, syren. Zamiast nich bohater napotyka sztuczną inteligencję i musi się zmierzyć z obojętnością wszechświata.

Bowman, jak Odyseusz, nie używa siły fizycznej. Ze stoickim spokojem wyłącza moduły pamięciowe HAL-a, „oślepiając" sztuczną inteligencję i skazując ją na regres zdolności myślenia. Jednocześnie Kubrick podnosi ciężar wędrówki z porządku geograficznego i moralnego na poziom ewolucyjny i metafizyczny. U Homera celem był powrót do starego ładu, do punktu wyjścia. U Kubricka powrót na Ziemię jest niemożliwy, bo domem okazuje się już nie planeta, z której heros wyruszył, lecz samo źródło kosmicznej świadomości. Ludzkość, uwięziona w technologicznym paradygmacie, dotarła do kresu swoich biologicznych możliwości, a kosmiczna odyseja kończy się poczęciem nowej istoty, pokonaniem granic ludzkiego gatunku – transgresją, w której porzucenie ziemskiej Itaki jest jedynym warunkiem ocalenia przed samozagładą. To nie tylko radykalna odpowiedź na lęki epoki atomowej. Kubrick sugeruje, że świat mitów się wyczerpał, a jedynym rozwiązaniem jest kolejny szczebel świadomości.

Każde pokolenie oblegało własną Troję, poruszało się po nieco innym morzu, tęskniło za swoją Itaką, mierząc się z pytaniem, które Homer postawił tysiące lat temu: kim właściwie jesteśmy? W latach 50. widziano w „Odysei" głównie przygodę. Pokolenie powojenne odkrywało w niej traumę i wygnanie. Twórców końca XX w. interesował kryzys tożsamości. Współcześni przekształcają ją w opowieść o zagubieniu w świecie nieustannego ruchu.

Co zobaczy w niej Christopher Nolan? Trudno uwierzyć, by interesowała go wyłącznie ilustracja znanych epizodów. Bardziej prawdopodobne wydaje się wykorzystanie antycznego eposu do opowiedzenia o problemach doskonale mu znanych: o pamięci, rozłące, technologii, potrzebie odnalezienia sensu pośród chaosu. Nie mówiąc o zmaganiach z czasem – najokrutniejszym z bóstw.

W kinie postmodernistycznym Odyseusz odkrywał, że Itaka była tylko mirażem, niezbędnym, by przetrwać wędrówkę. Być może Nolan rozwinie tę myśl. Skupi się na opatrzności i człowieku, który wróciwszy, uświadomi sobie, że jego dom nigdy naprawdę nie istniał. Gdyby jednak dało się to przewidzieć bez oglądania, nie warto byłoby na ten film z takim napięciem czekać.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Postanowiliśmy i my ożywić Olimp i poprosiliśmy badaczy starożytności o opowiedzenie greckiej mitologii z uwzględnieniem najnowszych badań. Przybliżają mity oraz ich bohaterów, budując pomost między starożytnymi i nami. Zapraszamy do lektury **Pomocnika Historycznego „Bogowie i herosi. Odyseusz i inni bohaterowie greckiej mitologii"**. Kupując go **w druku na stronie sklep.polityka.pl** lub **w ramach subskrypcji cyfrowej polityka.pl**, wspierają Państwo dziennikarstwo POLITYKI.

KUP TERAZ

eprasa.pl 0ca0981d75

Do czego służy kościół?

Jeszcze kilka dekad temu to pytanie wydawałoby się bezsensowne. Dziś zbudowano wokół niego cały program biennale Manifesta – z istotnym udziałem polskich artystów.

PIOTR SARZYŃSKI

Przypadek świątyń, które – zdewastowane przez wichry historii – przestały być miejscami kultu, w skali masowej dotknął przede wszystkim judaizmu. Opustoszałe po drugiej wojnie światowej synagogi szybko znalazły rozliczne nowe funkcje jako biblioteki, domy kultury, sklepy, hurtownie, ale i mieszkania. Ich skrojone zazwyczaj na ludzką miarę gabaryty ułatwiały adaptację do innych celów. Swego czasu bardzo ciekawy projekt fotograficzny „Niewinne oko nie istnieje" poświęcił im Wojciech Wilczyk.

Zupełnie inaczej sprawa miała się z kościołami. Po pierwsze, pustoszały zwolna, wraz z malejącą liczbą wiernych. Po drugie, zarządzający nimi kościelni hierarchowie niechętnie dopuszczali i nadal dopuszczają do siebie myśl, by mogły służyć jakimkolwiek świeckim celom, a procesy ich desakralizacji potrafią się ciągnąć latami. I w końcu, po trzecie, ich monumentalne z reguły gabaryty bardzo ciężko poddają się dostosowywaniu do nowych zadań. W formie dosadnej i groteskowej przedstawili ów problem Grzegorz Piątek i Jarosław Trybuś w słynnym już projekcie „Hotel Polonia", którego byli kuratorami i który w 2008 r. zdobył Złotego Lwa na Biennale Architektury w Wenecji. Jedną z prac wówczas pokazywanych była fantazja (w formie fotomontażu przygotował ją Kobas Laksa) na temat sanktuarium w Licheniu, przerobionego na wielki... wodny park rozrywki.

Historia architektury ostatnich dekad zna sporo przykładów spektakularnej adaptacji dawnych kościołów. Chyba najbardziej znana to przekształcenie w 2007 r. gotyckiego kościoła dominikańskiego w Maastricht w imponującą księgarnię, do której dziś pielgrzymują turyści. W ogóle instytucje kulturalne najczęściej moszczą się w opuszczonych przez wiernych nawach. Biblioteki, galerie, filie muzeów, sale koncertowe, ale też nocne kluby (Dublin), a nawet skatepark (Llanera w Hiszpanii). Powstawały w kościołach knajpy, hotele, a nawet ściany wspinaczkowe (Montreal). Odważni i zamożni kupcy poprzerabiali świątynie na prywatne rezydencje. Ciekawostką jest kaplica Torre Girona w Barcelonie, która

eprasa.pl 0ca0981d75

Od lewej: **praca Zuzy Golińskiej z serii „Rój" w kościele Getsemani w Bochum. Instalacje polsko-romskiej artystki Małgorzaty Mirgi-Tas: „Ryćhino", „29. Ćwiczenia ceroplastyczne" i „Jangare" w kościele Chrystusa Króla w Bochum oraz stojąca przed nim rzeźba Mirosława Bałki: Matka Boska górników?**

© KUBA CELEJ/IAM (3)

stała się lokum dla jednego z największych w Europie superkomputerów.

A teraz to biennale sztuki Manifesta pochyliło się nad opuszczonymi świątyniami z hasłem imprezy prowokacyjnie brzmiącym i odwołującym się do słynnego obrazu René Magritte'a. Zamiast „To nie jest fajka" mamy „To nie jest kościół".

W Polsce Manifesta znamy słabiej niż weneckie biennale czy Documenta w Kassel. Ale trudno się dziwić, skoro nad kanałami artyści spotykają się już od 130 lat, a w Kassel od 70, tymczasem Manifesta powołano do życia ledwie przed 30 laty. W dużym stopniu na fali europejskiej politycznej odwilży i zbliżenia niedawnych jeszcze wrogów: Wschodu i Zachodu.

Od początku chodziło też o to, by te imprezy służyły czemuś więcej niż obcowaniu z ładnymi obrazami czy rzeźbami: budowaniu – poprzez sztukę – dialogu, pochylaniu się nad trudnymi zagadnieniami, łączeniu działań artystycznych z aktywizmem, wspieraniu wspólnotowości, kreowaniu wrażliwości itd. Były więc Manifesta poświęcone przemianom wielkich miast i inne – skupione na tożsamości narodów lub przyszłości globalnej gospodarki. Impreza ma charakter nomadyczny, odbywa się co dwa lata, za każdym razem w innym, często nieoczywistym z punktu widzenia znaczenia w światowym obiegu sztuki, mieście. Była więc Marsylia, ale też Prisztina, Lublana, Nikozja, Murcia, Genk, Palermo czy Bolzano. I to także dodaje przedsięwzięciu nieco alternatywnego i kontestacyjnego kolorytu. Blisko organizacji była w pewnym momencie Łódź, teraz przebąkuje się o Wrocławiu.

Tymczasem w tym roku Manifesta zawędrowały do Zagłębia Ruhry. Miejsca do pewnego momentu przypominającego nasz Górny Śląsk. Zdominowanego przez kopalnie i huty, z dość tradycyjnymi, by nie rzec konserwatywnymi, społecznościami lokalnymi. Nasze górnicze zagłębie wciąż broni przed dużymi modernizacyjnymi zmianami, podczas gdy przez Ruhrę przeszły cywilizacyjne huragany. Były fale migrantów z kolejnych krajów świata (zaczęło się od Turków) z ich – zazwyczaj bardzo silnymi – tradycjami, obrzędami, wiarą. Później fala, która niemal doszczętnie zatopiła tradycyjną gospodarkę opartą na stali i węglu. A wraz z tym wszystkim przyszło wyludnianie się kościołów. Choć jeszcze w połowie XX w. nikt nawet nie pomyślałby, by pisać podobny scenariusz zdarzeń.

W pierwszych 20 latach po drugiej wojnie światowej w Zagłębiu Ruhry wzniesiono ponad tysiąc kościołów. Często o bardzo nowoczesnej i wybitnej architekturze. I wydawało się, że służyć będą wielu kolejnym pokoleniom. Nikt nie przewidział przybierającego na sile tempa sekularyzacji. Kościoły zaczęto zamykać. Niektóre kupowali deweloperzy, by w ich miejsce, często komercyjnie atrakcyjne, postawić osiedla mieszkaniowe lub centra handlowe. Ba, niektóre nadal zachowały funkcję miejsc kultu, ale zmieniły użytkowników, stając się cerkwiami czy meczetami. Większość jednak stała i stoi opuszczona, zapomniana, niekiedy zdewastowana. A problem będzie się nasilał i dotyczy całych Niemiec. Według szacunków w najbliższej dekadzie zdekonsekrowanych zostanie w tym kraju ok. 20 tys. kościołów! Twórcy Manifesta wybrali 12 spośród tych nieczynnych, w czterech miastach: Essen, Bochum, Duisburgu i Gelsenkirchen. I oddali je we władanie kuratorów oraz artystów. ▶

eprasa.pl 0ca0981d75

▶Wydaje się, że najprostszym i najbardziej oczywistym tropem, którym podążą artyści, są rozważania nad utratą wiary i laicyzacją społeczeństw. I takie prace też pojawiły się na Manifesta. Ale to także doskonały punkt wyjścia do opowieści o rozpadzie więzi spajających przez stulecia lokalne społeczności i o tym, co w zamian: ucieczka w konsumpcję, nowa, często mętna, duchowość, ale i agresja. O krętych drogach światowej gospodarki, która setkom tysięcy ludzi odmieniała nagle życie i losy, przesuwając ich jak pionki na szachownicy. To dobry pretekst do zadumy nad migracjami, nad aklimatyzowaniem się w nowym miejscu, nad mechanizmami wykorzystywania tzw. taniej siły roboczej. A w konsekwencji nad narodowościowymi napięciami mającymi swoje źródło nie tylko w różnicach kulturowych i religijnych, ale też w czynnikach ekonomicznych. Rozważania nad pustymi kościołami w istocie stają się rozważaniami nad meandrami, którymi podąża cały świat zachodniej cywilizacji.

Chyba najlepiej te przemiany obrazuje rozbudowana instalacja artystyczna Abbasa Zahediego, Brytyjczyka pochodzenia irańskiego, wystawiona w niezwykłym modernistycznym kościele Kulturkirche Liebfrauen w Essen. Składa się ona z dużej liczby organowych piszczałek, pozbieranych z różnych, nieczynnych z reguły kościołów europejskich, w tym także z kościoła św. Mikołaja w Kijowie, którego organy zostały zniszczone w pożarze w 2021 r. Twórca niejako zjednoczył te odrzucone i zapomniane fragmenty instrumentów, połączył jednym systemem tłoczenia powietrza i przywrócił światu dźwięków. Znów gromadzą wokół siebie ludzi, ale nie z wyżyn empory, tylko z poziomu dostępnego każdemu, kto zechce ich posłuchać. A melodie mszy czy kantat artysta zamienił na niepokojące, przypadkowe dźwięki, chyba lepiej obrazujące otaczający świat.

Happy end? W pewnym sensie. Bo wiele z tych piszczałek w pracy Zahediego przyjmuje kształt niepokojąco kojarzący się z wyrzutniami rakiet. Nowa wspólnotowość tworzona nie wokół Bacha, ale wokół systemów rażenia Buk i Patriot? W pewnym sensie podobną drogą, choć nie tak radykalną w przesłaniu, powędrował Litwin Augustas Serapinas, budując w głównej nawie kościoła św. Marka w Essen parometrową wieżę ze starych kościelnych ławek. O ile Zahedi niejako ściągnął organy do poziomu widzów, o tyle Serapinas dał publiczności możliwość wzniesienia się ponad tradycyjnie przypisany jej poziom i spojrzenia na kościół z zupełnie innej perspektywy.

„Pająk", instalacja Mikołaja Sobczaka w kościele Getsemani w Bochum. Nawiązuje do prześladowań osób nieheteronormatywnych.

W Manifesta bierze udział około stu artystów ze świata, w tym dziewięcioosobowa reprezentacja z Polski (z czego aż piątka to laureaci Paszportu POLITYKI, a szósty, Wilhelm Sasnal, to nasz Kreator Kultury). To dość zaskakujące, zważywszy że w aż siedmiu wcześniejszych edycjach imprezy twórców z naszego kraju nie było wcale. Tym razem o naszej tak licznej obecności zadecydowały dwa fakty. Po pierwsze ten, że funkcję jednej z kuratorek Manifesta zaproponowano Andzie Rottenberg (miała do „zagospodarowania" trzy kościoły w Bochum). A po drugie, że do organizacji projektu włączył się Instytut Adama Mickiewicza, który organizacyjnie, finansowo i promocyjnie wsparł udział rodaków.

Polską pracą, która chyba najlepiej utrafiła w sedno problemu wyludniających się kościołów, jest „Szukając Chrystusa" Katarzyny Kozyry. Opowieść o tym, jak rozpaczliwie rozglądamy się niekiedy za duchowymi kotwicami w świecie, którego chaos coraz silniej nas dezorientuje. Nasi twórcy powędrowali jednak w różne strony. Mikołaj Sobczak w instalacji łączącej malarstwo i video-art pochylił się nad kwestią prześladowania osób nieheteronormatywnych, a Małgorzata Mirga-Tas skupiła się na prześladowaniach społeczności romskich. Nicolas Grospierre przyjrzał się upadkowi przemysłu wydobywczego w Zagłębiu Ruhry, podobnie jak Wilhelm Sasnal w filmie „Centrum", choć w odniesieniu do sytuacji naszego Górnego Śląska.

Mocnym akcentem artystycznej obecności Polski na Manifesta jest rzeźba Mirosława Bałki, przygotowana specjalnie na tę okoliczność do kościoła Chrystusa Króla w Bochum. Stanęła jednak nie we wnętrzu, ale na platformie zewnętrznych schodów. To ludzka postać kojarząca się z Madonną, wykonana z metalowych prętów i wewnątrz wypełniona węglem. Matka Boska górników? Być może. Ale odwrócona do świątyni tyłem, jakby ją opuszczała. Czy dlatego, że nie ma się już z kim wewnątrz spotykać? A może wyrusza w świat, by tworzyć nową wspólnotę? I czy chodzi tylko o górników, czy może szerzej – o całą społeczność wiernych? Interpretacji jest wiele, jak to zazwyczaj bywa w przypadku prac tego artysty.

Manifesta kuszą, by je odwiedzić. Bezpłatny wstęp, niezwykłe i zróżnicowane konteksty w zderzeniu kościelnych wnętrz ze sztuką lub aktywizmem (bo napotkać też możemy w świątyniach lub wokół nich warsztaty tkackie, plac zabaw dla dzieci, dziwaczne boisko do koszykówki, a nawet kurdyjską kuchnię). A przy tym oryginalny i konsekwentny ideowy koncept całości. W sam raz, by w drodze samochodem na letnią trasę we Francji, Belgii czy Holandii zaczerpnąć łyk nieoczywistej sztuki. Ale jednej trudności trzeba być świadomym. Rzeczone kościoły są nie tylko rozrzucone w czterech różnych miastach (a z takiego Duisburga do Bochum jest 40 km), ale też w ramach każdego miasta usytuowane daleko od siebie. Trzeba więc sporego poznawczego samozaparcia, by ową materię ogarnąć, jeśli nawet nie w całości, to przynajmniej w dużej części. Ale w końcu od czego jest urlop?

PIOTR SARZYŃSKI

Manifesta 16. This Is Not a Church, Zagłębie Ruhry, do 4 października 2026 r.

© KUBA CELEJ/IAM

eprasa.pl 0ca0981d75

Duma i uprzedzenia

W świetnym serialu „Proud" młody gej próbuje w Polsce adoptować osieroconą siostrzenicę. Jak to się stało, że grającego głównego bohatera Ignacego Lissa krytykują środowiska LGBT+, a bronią konserwatyści?

ANETA KYZIOŁ

Nowy polski serial HBO Max „Proud" (ang. dumny) wchodził na platformę w aurze zwycięzcy międzynarodowego festiwalu Series Mania we francuskim Lille, i to podwójnego, bo nagrodę dla najlepszego aktora otrzymał tam Ignacy Liss, wcielający się w serialu w rolę Filipa, młodego geja, który musi nagle dorosnąć do ojcostwa. Produkcja miała entuzjastyczną zapowiedź w amerykańskim „Variety". Wywiad z jej twórcą Karolem Klementewiczem w „Le Monde" poprzedzają pochwały: „Dzieło porywające wdziękiem, zaskakująco dojrzałe i ambitne formalnie". A recenzent brytyjskiego „Guardiana" wystawia ocenę cztery na pięć i zachęca: „Ten polski dramat jest pięknie nakręcony, charakteryzuje się mrocznym humorem i zawiera wiele społecznych refleksji na temat trudności związanych z byciem homoseksualnym ojcem w Polsce. I nawet maluch sprawia wrażenie doświadczonego aktora".

W dalszej części recenzji krytyk zaznacza: „Oglądany poza swoją ojczyzną, Polską, traci nieco na znaczeniu. W Wielkiej Brytanii – nawet w tej cofającej się w rozwoju, stojącej u progu faszyzmu Wielkiej Brytanii roku 2026 – widzowie w większości wzruszą ramionami na myśl o geju adoptującym dziecko, choć mogą unieść brwi na widok tego konkretnego, który to robi. W Polsce zaś cały ten pomysł budzi kontrowersje kulturowe i napotyka trudności prawne, co widać choćby w scenie, w której zaprzyjaźniony prawnik radzi Filipowi, że jeśli chce uniknąć odebrania mu osieroconej siostrzenicy (...), musi »przez jakiś czas nie być gejem«".

Serial – jak chwali się TVN Warner Bros. Discovery (nie podając danych) – świetnie się ogląda w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Niemczech, Francji, Meksyku i Włoszech. Także polskie recenzje są zgodnie pozytywne. Ignacy Liss jest bardziej niż przekonujący jako młody gej, który pędem życia, narkotykami i przygodnym seksem zagłusza ból odrzucenia w dzieciństwie oraz uwewnętrzniony wstyd i poczucie winy, piętno osób queerowych dorastających w konserwatywnych społeczeństwach. Utlenione włosy, kolczyki i motor, praca modela, scena grupowego chemseksu, kac po miksie narkotyków i alkoholu dobrze pokazują, skąd startuje, a kolejne odcinki to opowieść o dojrzewaniu, otwieraniu i zderzeniu ze stereotypami oraz polskim systemem prawnym. Ale ciekawe jest też otoczenie Filipa: rodzina z wyboru pełna podobnie skomplikowanych życiorysów. I Warszawa, z nocnymi klubami, ale też prywatną przychodnią, w której 10-minutowa wizyta z dzieckiem kosztuje 450 zł, czy krematorium z kaplicą i świeckim pogrzebem.

Świat drugiej szansy

Tytuł „Proud" i premiera zaplanowana na czerwiec – tradycyjnie Pride Month, czyli miesiąc queerowej dumy – kierowały w stronę mocnego, tożsamościowego przekazu. Tym bardziej że serial trafia na platformę HBO Max w czasie ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0ca0981d75

▶ kolejnej odsłony walki o uznanie związków jednopłciowych przez opierające się polskie państwo. Dziennikarze na początku pytali twórców, czy się nie obawiają reakcji ze strony konserwatywnej. Tymczasem rodzima rzeczywistość po raz kolejny zaskoczyła.

Najpierw tym, że w wywiadach autorzy i aktorzy zgodnie podkreślali uniwersalny wymiar serialowej historii – o prawie do miłości i posiadania rodziny niezależnie od orientacji seksualnej, o dojrzewaniu do ojcostwa, znacznie łatwiejszym, gdy ma się wsparcie otoczenia i instytucji państwowych – wątek gejowski spychając na drugi plan. Łatwo można było zobaczyć w takim rozłożeniu akcentów nie chęć łączenia ponad ideologicznymi podziałami, ale konformizm czy koniunkturalizm. I takie komentarze ze strony środowiska LGBT+ można było usłyszeć i przeczytać.

Karol Klementewicz, dotąd znany głównie jako scenarzysta (i czasem reżyser) polskiej wersji serialu „Rodzinka.pl", ale też m.in. serii „Mój agent", „Ja to mam szczęście" czy „Powiedz tak!", tłumaczy, że w „Proud" trzymał się własnej wrażliwości i znanych sobie realiów: – *Ten serial powstał przede wszystkim z wkurwu na rzeczywistość. Bo żyjemy w świecie, który jest strasznie oceniający i wymagający. Stawiamy bardzo wysokie wymagania sobie i innym. W „Proud" możesz popełnić błąd i on cię nie przekreśla. Możesz liczyć na drugą szansę, poprawić się, też nie zawsze udolnie. Chciałem pokazać taki świat. Okazało się, że rzeczywistość dogoniła fikcję i sami znaleźliśmy się w pozycji naszego bohatera* – zauważa.

Heteroaktor w mainstreamie

Kolejny z zarzutów dotyczy tego, że geja w „Proud" gra aktor hetero. W odpowiedzi Karol Klementewicz przywołuje trwający ponad pół roku casting i towarzyszące mu dyskusje: –*Zdaję sobie sprawę, jakie jest bezrobocie wśród wyoutowanych aktorów i jakie znaczenie dla młodego geja z małej miejscowości może mieć obejrzenie wyoutowanego aktora w głównej roli w mainstreamowym serialu na prestiżowej platformie, ale nie wyobrażam sobie sytuacji, w której jako reżyser zadaję na castingu pytanie o orientację seksualną. Są oczywiście aktorzy, którzy publicznie o niej mówią, ale są też niewyoutowani albo tacy, dla których seksualność jest sprawą prywatną. Zdecydowaliśmy ostatecznie, że będziemy szukać aktora nie pod kątem orientacji, tylko tego, czy i jak przeniesie serialową historię i nasze myślenie o niej.*

A najważniejszą jej częścią jest relacja głównego bohatera z 10-miesięczną Tosią, co nie każdy z aktorów podczas castingu czuł i rozumiał; imitująca dziecko lalka podczas zdjęć próbnych często lądowała na ziemi. Ignacy Liss nie tylko świetnie zagrał, ale też od razu otoczył lalkę opieką. A przypadek sprawił, że gdy rok później wystartowali ze zdjęciami, jego żona była już w ciąży i mógł potraktować serial także jako trening przed nowym etapem w prywatnym życiu.

Wybór Lissa do głównej roli może się wydawać posunięciem koniunkturalnym. 28-letni aktor wyrobił sobie już rozpoznawalność w kinie środka, obsadzany jest głównie w rolach zakochanych chłopaków, czasem bardziej melancholijnych, czasem bardziej zbuntowanych i z łobuzerskim wdziękiem, ale zawsze wrażliwych, takich, którym łatwo się kibicuje. Sam najbardziej ceni rolę Eugeniusza „Siczki" Olejarczyka w niszowym „Idź pod prąd" w reż. Wiesława Palucha sprzed dwóch lat, biograficznej opowieści o początkach punkrockowego zespołu KSU w późnych latach 70. w Ustrzykach Dolnych. Ale popularność przyniósł mu nadawany w latach 2023–25 komediowy serial Polsatu „Teściowie", gdzie grał u boku Julii Wieniawy, Cezarego Pazury czy Jolanty Fraszyńskiej. A także rola hrabiego Czyńskiego w netflixowej ekranizacji „Znachora" i introwertycznego, straumatyzowanego fotografa Roberta, którego otwiera miłość do niewidomej, pełnej życia Agaty (Matylda Giegżno) w kolejnym hitowym melodramacie – „Światłoczułej" Tadeusza Śliwy (2025 r.).

Klementewicz wyjaśnia, że powierzenie głównej roli Lissowi nie było podyktowane kalkulacją, ilu i jakich widzów przyciągnie, a „Światłoczułą" obejrzał już po dokonaniu wyboru. – *Niósł ze sobą coś takiego, co nas wszystkich ujęło. Nie jest doskonały, podobnie jak jego bohater* – dodaje z lekkim uśmiechem, odnosząc się do kontrowersji, jakie wywołały niektóre z przedpremierowych wypowiedzi aktora.

Jak informuje TVN WBD, twórcy zostali przeszkoleni w kwestii języka, jakim należy mówić o tematyce i postulatach środowisk LGBT+, jednak postawili na naturalność. I w przypadku Ignacego Lissa efekt bywał elektryzujący. „Staram się być bardzo apolityczny, jeśli chodzi o wszelakiego rodzaju parady, pikiety, protesty, ponieważ nie lubię tego w naszym kraju, że jesteśmy tak bardzo skłóceni i poróżnieni" (Plejada), „Jeśli papież Franciszek mył w Wielki Czwartek nogi osobom transpłciowym, to ja mogę zagrać geja" („K MAG"), „Cieszę się, że to właśnie ja mogłem stać się częścią tej historii, a nie osoba, powiedzmy, z tego konkretnego środowiska gejowskiego" (tamże), „Marzy mi się, że ten serial nie będzie polaryzował opinii, bo jestem już zmęczony dyskusjami o aborcji czy prawach par jednopłciowych" („GQ"). Takie opinie, zwłaszcza wyrwane z kontekstu, rozgrzały internet.

Liss nie udawał, że nie widzi krytyki. Na swoim koncie instagramowym linkował te bardziej cenzuralne komentarze („Bo o to chodzi w życiu, żeby gadać i się szanować" – tłumaczył), a do tych dotyczących jego zdania o paradach równości odniósł się w rolce. W swoim stylu: „Czasem lepiej mówić delikatnie o czymś, intymnie, niż drzeć mordę. Drzeć mordę też jest ekstra, cieszę się, że macie takie święto, powinniście mieć takie święto. Wszystkie mniejszości seksualne powinny mieć taki dzień, w którym wyjdą na ulicę, to jest ważne. Ale kiedy rozmawiamy o zmianie, to wierzę, że nasz serial jest ważny. Jasne, wziąłem za to kasę, ale pod tym się podpisuję i w to wierzę".

W magazynie „Mint" odpowiedział aktorowi Daniel Oklesiński, redaktor działu filmowego „Repliki", magazynu LGBTQIA: „Wyłania się nieuświadomiony przywilej bycia w hetero większości i zupełna ignorancja tego, jak wyglądała i wygląda obecnie walka o równe prawa w Polsce. Lissa może męczyć dyskusja o prawach par jednopłciowych, bo nie dotyczy go bezpośrednio. My, queerowe osoby, nie mamy możliwości odłożenia tej dyskusji. Choć we wszystkich tych wywiadach wyraźnie widać, że Liss próbuje być sojusznikiem, to używa języka homofobii i infantylizacji osób queerowych".

Ponad podziałami

W każdym ze swoich wywiadów, bardziej bądź mniej sprawnie, za to konsekwentnie, Ignacy Liss przedstawia się jako osoba stojąca ponad ideologicznymi podziałami i przez to mogąca budować mosty w podzielonym społeczeństwie. Wychowany pod Tczewem w katolickiej, kochającej rodzinie, z religii chce brać tylko to, co dobre. „Wydaje mi się,

eprasa.pl 0ca0981d75

że prawdziwa wiara polega na tym, żeby być otwartym na wszystkich ludzi i wzajemnie o siebie dbać. Wiara jest dla mnie absolutnie priorytetem, moim rdzeniem, ale szczerze uważam, że najważniejsze jest przekazywanie miłości" – mówił w „K MAG".

Mógł, jak wielu młodych aktorów, postawić tylko na kino, ale wybrał etat w teatrze, i to w warszawskim Teatrze Polskim, który pod wodzą Andrzeja Seweryna przedstawia się jako ostoja teatralnego rzemiosła. Wystąpił tam dotąd w mniejszych rolach w „Domu otwartym" Bałuckiego w reż. Krystyny Jandy, „Historii Henryka IV" Szekspira w reż. Ivana Alexandre'a i „Rękopisie znalezionym w Saragossie" według Potockiego w reż. Grzegorza Jarzyny, a ostatnio zagrał jedną z głównych ról – żołnierza rozdartego między wołaniem serca a obowiązkami wobec kraju i rodu – w wystawionym przez Seweryna „Horacjuszu" Corneille'a.

Wydaje się, że dyrektor Polskiego jest dla Lissa wzorem. Zadeklarowany katolik, mąż (choć akurat kilkakrotny) i ojciec, zagrał tytułową rolę w miniserialu Netflixa „Królowa" – krawca, geja i drag queen, która po latach wraca z Paryża na Dolny Śląsk wspierać wnuczkę, córkę i upadającą kopalnię. Obaj aktorzy próbują łączyć konserwatyzm z nowoczesnością albo odwrotnie – rozszczelniać definicje i postawy.

Przestrzeń na refleksję

W tym sensie faktycznie Liss był szansą na trafienie z historią Filipa w „Proud" nie tylko do przekonanych. I dobrze się rymował z nastawieniem twórcy serialu. – *To pewnie naiwne z mojej strony, ale ja, współpisząc ten serial razem z Moniką Pęcikiewicz, chciałem, żeby seksualność, orientacja nie były już przedmiotem dyskusji czy rozmowy, żebyśmy poszli krok dalej* – tłumaczy Klementewicz. Podkreśla, że bardzo szanuje aktywistów i rozumie ostre reakcje, ale jego droga jest inna: – *Społeczność queerowa w Polsce jest jak człowiek bez skóry, gorejąca rana, bo jest stale pod ostrzałem, odhumanizowywana, więc się nie dziwię, że każde, nawet lekkie dotknięcie, niefortunne słowa, tak bardzo bolą. „Proud" widzę jako przestrzeń i platformę do tego, żeby można było powiedzieć: my jesteśmy, te problemy są, porozmawiajmy o tym na trochę innym poziomie. Środek też jest potrzebny, bo nie każdy jest w stanie od razu dać się przekonać.*

Na razie bilans jest taki, że Ignacy Liss dostaje wiele ostrych komentarzy, część osób LGBT+ w komentarzach do tych komentarzy zastanawia się, czy krytyka nie zaszła za daleko, bo może lepiej edukować, a nie uderzać w sojuszników. Zaś homofobowie pod pozorem obrony prawa heteroaktora do grania geja szafują najgorszymi stereotypami i porównaniami. Przed nami druga połowa ośmioodcinkowej serii, pierwsze emocje powoli opadają, oby pojawiła się przestrzeń na spokojniejszą refleksję.

Odbierając w marcu w Lille nagrodę, Ignacy Liss po angielsku mówił o gejach pozbawionych w Polsce praw, dziękował żonie i miesięcznemu wtedy synkowi oraz wyrażał nadzieję, że ten, gdy po latach obejrzy serial, będzie z ojca dumny. A Karol Klementewicz z tej samej sceny, ale po francusku, dzielił się wiarą w miłość, najważniejszą rzecz w życiu, i do niej nawoływał.

ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

W SPRZEDAŻY, RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU

DAVID SZALAY:
Czym jest dom dla laureata Bookera? Co łączy go z Węgrami? A co z głównym bohaterem jego monumentalnej powieści?

ROZMOWY Z MISTRZYNIAMI I MISTRZAMI LITERATURY:
Jeanette Winterson, Rachel Kushner, Robertem Macfarlanem i Robertem M. Wegnerem.

KSIĄŻKI NA LATO:
„Odyseję" opowiadamy wciąż na nowo.

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl 0ca0981d75

Ludzie z żelaza

Granica wieku aktywności zawodowych sportowców wciąż się przesuwa. Mają coraz większą świadomość, jak efektywnie żyć, trenować oraz skutecznie monitorować stan organizmu.

MARCIN PIĄTEK

W cieniu toczącego się w Ameryce Północnej mundialu na futbolowym rynku trwa ruch transferowy. Robert Lewandowski z Barcelony przeniósł się do Chicago Fire. W związku z niezbyt wysokim poziomem amerykańskich rozgrywek (przynajmniej na tle czołowych lig w Europie) ma to być spokojna i lukratywna – 20 mln dol. rocznie – emerytura. Zbliżający się do czterdziestki piłkarz dwie dekady temu byłby emerytem, a dziś wciąż może stanowić inwestycję, zwłaszcza na rynku takim jak amerykański, nastawionym na przyciągnięcie nowej publiki i popularyzację piłki. Ktoś powie, że pół wieku temu Pelé i inne supergwiazdy futbolu też obierali kierunek na USA grubo po trzydziestce, jednak ówczesny futbol w porównaniu z dzisiejszym to pod względem intensywności dwa światy.

Nie wiadomo, czy to koniec europejskiego rozdziału kariery 38-letniego Lewandowskiego. Może pójdzie śladem Zlatana Ibrahimovicia, który po epizodzie w Los Angeles Galaxy wrócił do AC Milan, pomógł klubowi odzyskać mistrzostwo Włoch i jest najstarszym piłkarzem, który zdobył gola w Serie A (41 lat i 166 dni). W Milanie wciąż gra Chorwat Luka Modrić (niebawem skończy 41 lat), dyrygent reprezentacji Chorwacji. Leo Messi (rocznik 1987) jest niezastąpiony dla reprezentacji Argentyny, a Portugalia nie wyobraża sobie, by z gry w drużynie narodowej zrezygnował Cristiano Ronaldo, o dwa lata starszy od Messiego.

Symbolicznym przykładem sportowej długowieczności jest japoński skoczek narciarski Noriaki Kasai (rocznik 1972), który choć ostatnio startuje w zawodach niższej rangi, zapowiada, że będzie to robił co najmniej do sześćdziesiątki. W o wiele bardziej wymagającym pod względem intensywności i obciążenia organizmu tenisie młodszych od siebie o pokolenie rywali wciąż rozstawia po korcie zbliżający się do czterdziestki Novak Djoković, ścigający 25. tytuł wielkoszlemowy. Z koszykarskim parkietem w NBA nie chce się rozstać LeBron James (lat 42, w tym sezonie był trzecim strzelcem Los Angeles Lakers), narażając się przy okazji na uszczypliwości. Jabari Smith Jr., młoda gwiazda Houston Rockets, rzucił niedawno do LeBrona: „Wiesz, że grałeś przeciw mojemu ojcu? Nie czujesz się już stary?". Statystycy wyliczyli, że James w trakcie kariery już 25 razy grał w NBA przeciwko synom rywali, z którymi mierzył się w przeszłości.

Na tegoroczny Wimbledon wróciła Serena Williams (rocznik 1981). A 42-letnia Lindsey Vonn po kilkuletniej przerwie znów pojawiła się na trasach w narciarstwie alpejskim. Wygrywała pucharowe zawody i była niedawno jedną z faworytek do olimpijskiego medalu w zjeździe, ale upadek tuż po starcie przypłaciła koszmarną kontuzją. Kraksa nie była jednak wynikiem tego, że ciało nie wytrzymało; walcząca o setne sekundy Vonn pojechała zbyt ciasno, zawadziła o bramkę i straciła równowagę.

Djoković gra głównie w turniejach wielkoszlemowych, gdzie z reguły dociera co najmniej do półfinału. Po wygranych meczach z szelmowskim uśmiechem mawia, że wiek to tylko liczba, a 35 (lat) to nowe 25, i nie przestaje zadziwiać, bo tenis to jest sport, w którym zwycięstwa trzeba wybiegać, znieść mordercze zmiany tempa, rozciągać się w szpagatach i zrywać do sprintów. Jedyne, czego Novakowi brakuje, to wytrzymałości na długim dystansie, zwłaszcza gdy ma już „w nogach" mecze w poprzednich rundach. Po porażkach mówi: w końcu zabrakło mi paliwa. – *Wraz z upływem lat na regenerację potrzebujemy coraz więcej czasu. Tego się nie przeskoczy. A tempo w turniejach tenisowych jest mocne; gra się co dwa dni* – zwraca uwagę Łukasz Radziminski, trener przygotowania fizycznego piłkarzy Arki Gdynia.

Djoković stanowi wzór, jeśli chodzi o ambicję, wolę walki i odporność psychiczną, ale też o tryb życia: diety, treningu, regeneracji, odpoczynku, wreszcie snu. Nikną one czasem przysłonięte dość osobliwymi zwyczajami Serba, jak przytulanie się do drzew oraz techniki medytacyjne, dzięki którym Novak uważa, że posiadł moc zmiany składu wody. Ale uchodzi za wzór sportowca arcyświadomego, jak się z własnym ciałem obchodzić na potrzeby trudów kariery.

Łukasz Radziminski mówi, że świadomość, jak żyć, by być w formie i zmniejszać ryzyko urazów, staje się dziś wśród zawodowych sportowców powszechna. – *15 lat temu piłkarze przed meczem spotykali się w klubie na kawce, pograli w rzutki albo w inny sposób spędzali razem czas. Dziś, poza treningami zespołowymi, o to trudno, bo każdy ma plan dnia ułożony pod indywidualne potrzeby organizmu.*

Na sportową długowieczność nie ma uniwersalnego przepisu. Ale są nawyki, po które warto sięgać. Swym patentem chętnie dzieli się np. Cristiano Ronaldo. To sześć skromnych posiłków dziennie złożonych głównie z protein i węglowodanów, z dużą ilością owoców i warzyw (wykluczony sztuczny cukier i wysokoprzetworzona żywność), odpowiednie nawodnienie (minimum 3 litry wody dziennie), naprzemienne ciepłe i zimne

eprasa.pl 0ca0981d75

Piłkarze 38-letni Robert Lewandowski i 41-letni Cristiano Ronaldo, po prawej: **39-letni tenisista Novak Djoković**

kąpiele po wysiłku fizycznym, pływanie, krótkie sesje w kriokomorze, ćwiczenia oparte na jodze oraz pilatesie, no i co najmniej 8 godzin snu. – *Odpowiednia dieta to paliwo, pływanie rozluźnia mięśnie po wysiłku, ciepłe i zimne kąpiele, jak również kriokomora przyspieszają regenerację mięśni i likwidowanie mikrourazów, trening mięśni głębokich zmniejsza podatność na poważne kontuzje, sen wspomaga regenerację. Sportowcy chętnie stosują również drzemki w ciągu dnia, gdyż mają one korzystny wpływ na poprawę zdolności wysiłkowych* – tłumaczy Łukasz Radzimiński.

Ronaldo nie wymyślił koła. Stosowanie tych rozwiązań w praktyce to więcej niż połowa sukcesu. Ale równie ważny jest monitoring stanu organizmu wyłapujący symptomy zajechania treningiem. Metoda nieomylna, powszechnie używana przez sportowych fizjologów, to mierzenie parametrów biochemicznych organizmu, takich jak stężenie mocznika, stosunek testosteronu do kortyzolu, a przede wszystkim aktywności kinazy kreatynowej, czyli enzymu dostarczającego energię do mięśni. Jej stężenie we krwi powinno być niskie, a podwyższony poziom oznacza, że możemy mieć do czynienia z uszkodzeniem komórek mięśniowych, wskutek czego enzym przedostał się do krwiobiegu.

Do zmierzenia tych parametrów niezbędne jest pobranie krwi z opuszki palca. Ale dziś technologia przynosi inne, nieinwazyjne metody weryfikacji stanu wytrenowania i regeneracji organizmu. Zawodowi sportowcy wypełniają ankiety obrazujące samopoczucie, poziom zmęczenia. A z pomocą ich subiektywnym odczuciom przychodzą zainstalowane w smartwatchach lub opaskach na przegub ręki czujniki rejestrujące parametry organizmu, takie jak tętno, zmienność rytmu serca, saturację krwi, czas snu oraz jego poszczególne fazy, częstotliwość oddechów. To barometr zachodzących w organizmie procesów, chętnie stosowany na co dzień przez zwykłych ludzi. – *Pokazuje, jak na nasz sen, fundamentalny dla regeneracji, mają wpływ pora lub skład posiłku albo temperatura w sypialni. I pozwala wypracować nawyki mające dobroczynny wpływ na samopoczucie* – dodaje Łukasz Radzimiński.

Zawodowcy mają do dyspozycji bardziej zaawansowane narzędzia, jak choćby urządzenia mierzące siłę grup mięśniowych nóg podczas biegu, pozwalające wykryć przeciążenia, a tym samym zapobiec kontuzjom. Łukasz Radzimiński chwali platformy skoków mierzące tzw. zmodyfikowany wskaźnik siły reaktywnej. – *Zawodnik staje na platformie, opiera dłonie na biodrach i ma podskoczyć trzy razy w miejscu, jak najszybciej i jak najwyżej. Czas próby i wysokość skoku dają odpowiedź na pytanie o świeżość jego układu nerwowo-mięśniowego. Okazuje się, że gorsze wyniki mają swoje uzasadnienie: od meczowego przeciążenia po parogodzinną podróż samolotem.*

Zawodowy sport wiele obiecuje sobie również po odkryciach genetyków. W końcu mawia się, że najlepszy przepis na długowieczność to „wybór" w puli genetycznej odpowiednich rodziców. – *Odporność organizmu na swego rodzaju zużycie, uzależnione również od potencjału regeneracyjnego komórek, to cecha poligeniczna. Choć wiemy coraz więcej o roli poszczególnych genów w całej tej układance, o ich wzajemnym wpływie i współpracy, to jednak warto zaznaczyć, że ludzki genom składa się z ponad 3 mld par zasad. Coraz większe pole do popisu mają bioinformatycy, którzy wykorzystując zaawansowane modele matematyczne, badają struktury białek czy wzorce ekspresji genów. Również po to, by pomóc stworzyć pewien profil fenotypowy pod kątem sportowej długowieczności* – mówi prof. Paweł Cięszczyk, genetyk, rektor Akademii Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku.

Odpowiedzi już przydatne w zawodowym sporcie dotyczą przede wszystkim nutrigenetyki (bada wpływ genów na metabolizm i przyswajalność składników odżywczych, co pozwala np. dzięki odpowiednio skrojonej diecie wydłużyć wysiłek o wysokiej intensywności) oraz występowania określonych cech materiału genetycznego mającego związek z podatnością na kontuzje (np. odkryto korelację między obecnością pewnego typu genów kodujących białka kolagenowe a urazami więzadeł w kolanie). Badania genetyczne na potrzeby sportu idą w kierunku prześwietlenia profilu DNA zawodników i wykrycia powtarzających się wzorców, którym można przypisać wpływ na określoną cechę, mającą fundamentalne znaczenie dla ich potencjału. – *Uczestniczymy w dużym programie organizowanym przez Uniwersytet Stanforda, badającym związek między materiałem genetycznym a wydolnością tlenową mierzoną za pomocą tzw. VO2max, czyli czynnika bardzo silnie uwarunkowanego genetycznie. Określony dla tego badania minimalny pułap ma ok. 1 proc. populacji* – dodaje prof. Cięszczyk.

Odkrycia w tej dziedzinie grożą brutalną selekcją u progu zawodowej kariery. Ale bywa, że od każdej, nawet genetycznej reguły, są wyjątki. Prof. Cięszczyk: – *Jakiś czas temu przebadaliśmy ponad 300 polskich wioślarzy. U wszystkich wykryliśmy geny budujące białka, dzięki którym ich mięśnie były bardziej odporne na przeciążenia. Tego typu nie miał tylko jeden zawodnik – Marek Kolbowicz. A został mistrzem olimpijskim.* Bo jest jeszcze czynnik ludzki – jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż genetyka. ■

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, STEFAN KOOPS/EYE4IMAGES/NURPHOTO/GETTY IMAGES, KYODO NEWS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Filip Chajzer żeni się z 20-letnią Bianką, gdyż: „Na pierwszej randce nie mogliśmy skończyć gadać". Jak widać, jest to przemyślana i przegadana decyzja.

●

Janusz Palikot zakochany, i to z wzajemnością. Wprawny finansista opowiedział brukowcom o Rebece, swej wybrance. Nie wiem, jaki ona wniesie posag, ale Janusz zagra mocno – 200 mln długu i 9 zarzutów.

●

Doda usłyszała zarzut pomocnictwa w udaremnieniu zaspokojenia wierzycieli na kwotę 12 mln zł, czyli wyprowadzenia majątku spółki na Maltę. Nareszcie. Sen o zagranicznej karierze Dody się spełnia.

●

„Julia Wieniawa po figlach na Ibizie dała follow kochankowi szwedzkiego księcia. Oficjalnie zostali psiapsi?". To Pudelek, serwis flagowy Wirtualnej Polski. Nie dziwię się, że skupują własne akcje.

●

Grażyna Szapołowska zdemaskowała, że jak na paście do zębów jest czarna kreska, to jest tam dużo chemii, a jak czerwona, to chemii jest trochę mniej. Gdy pasty nie ma w środku, to trzeba kupić następną.

●

Sezon ogórkowy ruszył: „Tak naprawdę wygląda Rozenek. Sfotografowali ją na lodach". Takie newsy to objaw relacyjnej niepewności, frustracji seksualnej i strachu przed odrzuceniem. Tak naprawdę.

„W szpitalu uzależniłem się od morfiny", wyznał Krzysztof Ziemiec, niegdyś TVP. Nie musiał tego mówić. Było słychać.

●

Dominika Serowska jest w ciąży. To kolejne już, czwarte dziecko Marcina Hakiela. Brawo. Następne pokolenia też powinny mieć prawo usłyszeć historię, jak Kasia oszukiwała Marcina z Maćkiem.

●

„Karolina Ferenstein ma auto za 700 tysięcy i za nic przepisy. Parkuje, gdzie chce". Kapują media, które lubią kapować. Szok. Gdyby miała auto za kilka tysięcy, mogłaby parkować obok autora tego donosu.

Robert Lewandowski podpisał kontrakt z Chicago Fire, ale wszyscy cytują Anię, która napisała, że się boi. Nie dziwię się. Chicago to portal do innego wymiaru. Wszedłem tam do klubu, a trafiłem do Białegostoku.

Agora zmienia Rock Radio na Kiss FM. Producenci fajek zabijają swoich najlepszych klientów, prezerwatyw – swoich przyszłych klientów, a radiowi zabijają gust.

●

Onet demaskuje: „Aga Woźniak-Starak odpoczywa nad jeziorem. Pozuje w stroju kąpielowym". Podobno krótka myśl kosztuje mózg wydatek rzędu 0,02 kcal energii. W tym przypadku koszty spadły.

●

Media walczą o prawdę: „Nowicki rozpiął koszulę w programie TVP. Widzowie zdumieni – Padłam". Ryszard Kapuściński też się przyznawał, że po napisaniu jednej strony wyżymał koszulę z potu.

●

„Dorobiła się w sieci milionów. Tak wygląda na co dzień". To WP o Andziaks. Też uważam, że ktoś, kto dorobił się w sieci milionów, nie będzie wyglądać dobrze w oczach kogoś, kto nie dorobił się nawet nazwiska.

●

Czwarta władza informuje naród: „Kolejne kulisy wesela Halejcio. Pokazała, co jedli goście". Kiedy zrobię coś głupiego, to lubię sobie poczytać takie wiadomości. I wtedy od razu robi mi się jakoś lepiej.

●

„Krzysztof Rutkowski z wyraźną zmianą. Pochwalił się złotym zębem". Donosi protetycznie zorientowane dziennikarstwo. Lec pisał przed laty: „Biedny, kto gwiazd nie widzi bez uderzenia w zęby".

●

Idziemy na dno – „Sandra Kubicka na Malediwach została płetwonurką". Aha. Od czasu wynalezienia „szambonurczyni" tonę we łzach.

●

„Stek wyzwisk i podkrążone oczy. Daniel Martyniuk wrócił do sieci". Za to cenię Pudelka. Oni zawsze wiedzą, gdzie dzieje się coś wartościowego.

© JOHN NACION/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0ca0981d75

FELIETON

Orliński

Proroctwo kapusty

Zaprosili mnie ostatnio do telewizji jako eksperta od Ukrainy. W sezonie urlopowym biorą z łapanki każdego, kto został w mieście, więc staram się, żeby woda sodowa nie uderzyła mi do głowy. Niemniej jednak poczułem się uprawniony do napisania felietonu na modny ostatnio temat pogorszenia stosunków polsko-ukraińskich. Mój punkt widzenia jest zdeterminowany przez polską kulturę. Tak rozumiem swój patriotyzm – chcę, żeby rozkwitał kraj, w którym czytają w oryginale Lema, Dukaja, Sapkowskiego, Tokarczuk, Konwickiego, nie mówiąc już o tych wszystkich Mickiewiczach i Słowackich. Czuję się związany z tą kulturą, w końcu przez znaczną część życia pracowałem w dziale kultury. Potężnie tym kiedyś rozczarowałem swoje dzieci, bo gdy zabrałem je do pracy, bezskutecznie poszukiwały owego „działa".

Cóż, metafora „armat ukrytych w kwiatach" jest starsza od nas wszystkich. To, że udawało nam się dotąd wrócić na mapę, nawet gdy niecne siły nas z niej wymazały, zawdzięczamy wyłącznie potędze naszej kultury. Były takie momenty, gdy nie mieliśmy nic poza nią. Od Mickiewicza po Żeromskiego nasza kultura niosła nam przede wszystkim jedno przesłanie – że zaryzykuję belferskie uproszczenie z serii „co poeta chciał przez to". Że nasi wrogowie rozgrywają przeciwko nam nasze niesnaski, więc warunkiem sukcesu jest zgoda. „A Bóg wtedy rękę poda" i stanie się „jeden tylko, jeden cud – z polską szlachtą polski lud". I tak dalej.

> Zmierzamy do sytuacji, w której już kiedyś byliśmy: osamotnionego państwa, które „ma rację", ale nie ma przyjaciół.

W „Panu Tadeuszu" niezgoda między zwaśnionymi rodami prowadzi do triumfu Moskali. Na szczęście chwilowego, bo oto do akcji wkracza niepozorny ksiądz Robak. Okazuje się – przepraszam tych, którzy nie uważali w szkole, że zdradzę im zaskakujący zwrot akcji – że to dawny awanturnik i szlachecki watażka Jacek Soplica, który przyjął taką tożsamość dla odpokutowania grzechów młodości. Pod przykrywką wędrownego mnicha Robak/Soplica tworzy na Litwie konspirację, która ma uczynić sprawę polską elementem większej sprawy europejskiej.

Ten motyw przejawiał się w klasycznej polskiej literaturze wielokrotnie. Sprawa polska ma szanse powodzenia, tylko jeśli się ją uczyni elementem globalnej polityki (Norwid fruwał wyobraźnią między Azją, Afryką i Ameryką!), do tego zaś warunkiem jest wewnętrzna zgoda w sprawach zasadniczych. Dzisiejsza Polska w Unii i NATO, ciesząca się (do niedawana) ponadpartyjnym konsensem w polityce zagranicznej, wzbudziłaby aprobatę naszych wielkich XIX-wiecznych. Nawet Żeromski, ta wieczna zrzęda, burknąłby jakieś niechętne powinszowania, ale zaraz dodałby, że nie zrozumieliśmy jego ostrzeżeń.

Niestety, nasza literatura nie zostawiła nam sensownej recepty na układanie relacji z narodami przedrozbiorowej Rzeczpospolitej. „Socyaliści" (np. Mickiewicz) snuli wizje demokratycznego braterstwa. Endekom (np. Sienkiewiczowi) marzyło się coś jak imperium brytyjskie, czyli Polska niosąca cywilizację Zachodu na Dzikie Pola.

Mickiewiczowskie braterstwo na pierwszy rzut oka wygląda fajnie, ale na drugi rzut widać, że widział Polaków w roli starszych braci, którzy przejmują ojcowiznę. Innym narodom jagiellońskiej Rzeczpospolitej wieszcz nie miał do zaoferowania nic poza polonizacją, co nie było aż tak dalekie od kolonialnych wizji endeków. Tadeusz Soplica w finale uwalnia chłopów pańszczyźnianych, ogłaszając ich „współobywatelami – wolnymi i równymi Polakami". Nawet się nie zastanawia, czy któryś nie czuje się jednak Litwinem albo Rusinem. Po 1918 r. okazało się, że Litwini, Ukraińcy i Białorusini chcieli mieć własne państwa, a polonizacja była dla nich równie atrakcyjna jak germanizacja czy rusyfikacja. Dla nas to bluźnierstwo, jak można to w ogóle porównywać!

Do dziś nie potrafimy się odnaleźć w roli zwykłych sąsiadów. Łatwo nam było pomagać Ukrainie, dopóki mogliśmy odgrywać naszą ulubioną rolę starszych braci niosących zachodnią cywilizację. Kiedy się okazało, że nad Dnieprem już nie ma Dzikich Pól, tylko światowa czołówka technologii dronowej, nasi politycy okazali się aktorami bez scenariusza. Pogłupieli jeden z drugim.

Nasze zachowanie zrobiło się niezrozumiałe nawet dla naszych największych sprzymierzeńców na Zachodzie. Nikt nas nie popiera. Żądanie, żeby Zełenski teraz rzucił wszystko, by rozliczać zbrodnie sprzed 83 lat, to dla reszty świata po prostu kuku na muniu. „Historia jest po naszej stronie!" – wołamy niepomni, że nawet Norman Davies nas wzywa do opamiętania. Zmierzamy do sytuacji, w której już kiedyś byliśmy: osamotnionego, nabzdyczonego państwa, które „ma rację", ale nie ma przyjaciół.

Wtedy skończyło się to katastrofą. Wkrótce po niej najukochańszy poeta wszystkich Polaków napisał wiersz o warzywach, które się kłócą nie wiadomo o co. Kapusta pyta proroczo: „Po co wasze swary głupie, wnet i tak zginiemy w zupie". Obyśmy zeszli ze ścieżki, którą wieszczył nam Brzechwa! Obawiam się jednak, że to on nas rozumiał najlepiej. A to feler, westchnął seler.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 0ca0981d75

FELIETON

Chutnik Plebanek

Na celowniku

Jest taki moment podczas spaceru w lesie, kiedy człowiek przestaje być tylko przechodniem. Słyszy szelest w trawie, widzi rudą sylwetkę lisa, sarnę na skraju polany albo klucz gęsi na niebie. Przez chwilę na powrót stajemy się częścią przyrody. Dzikie zwierzę nie wpada w zachwyt na widok człowieka. Bo co rusz, niewysiany, z krzaków wyrasta osobnik z noktowizorem. Albo pani z tłumikiem („myśliwa"). To oni robią nam złą prasę.

Amatorzy zabijania utrzymują, że polowanie jest elementem tradycji, wręcz głoszą, że „dbają o przyrodę". Specjalną opieką otaczają byki: „Strzał do jurnego, otumanionego hormonami jelenia nie jest jakimś myśliwskim zwycięstwem nad tym niebywałym wręcz samcem. Jest niską, męską zdradą" – pisze Zenon Kruczyński z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.

Uzbrojeni hobbyści troszczą się też o łanie i cielaki. Masakrują je, by „osiągnąć wysoką jakość osobniczą". Dobrze wiedzą, że w czasie rykowiska pierwsze giną najmocniejsze, najwartościowsze biologicznie byki kontraktowane na polowania komercyjne. Tylko czy my o tym wiemy? Powinniśmy, bo dopóki zwierzę żyje, należy do Skarbu Państwa, jest własnością obywateli.

Przez hobby zwane myślistwem zginęło już 28 osób, 65 zostało rannych (dane z raportu Pracowni na rzecz Wszystkich Istot). Zabójcy tłumaczą, że ofiara wyglądała jak dzik. Fatamorgana w polskich lasach to skutek wysokiego stężenia alkoholu we krwi osobnika z bronią, na którym nie ciąży obowiązek powtarzania badań kontrolnych, choć z wiekiem każdemu psuje się wzrok i słuch.

> Uzbrojona grupka (0,34 proc. społeczeństwa) terroryzuje całą resztę. Coraz częściej strzały padają z broni z tłumikiem.

I tak w państwie prawa uzbrojona grupka, stanowiąca 0,34 proc. społeczeństwa, terroryzuje pozostałe 99,66 proc. Każe spacerowiczom wynosić się z lasu, właścicielom posesji uchylać od kul, gdy wychodzą przed dom. Coraz częściej strzały padają z broni z tłumikiem. Hobbyści myślistwa dokarmiają zwierzęta, następnie strzelają do nich z ambony, gdy te podejdą na odległość kilku metrów. To wyczyn iście sportowy, nic tylko golnąć z piersiówki (do kupienia wraz z ubrankiem khaki). I jeszcze coś, czego raczej nie wiemy – to przez sztuczne żerowiska mnożą się choroby, co daje pretekst do kolejnych jatek (wirus ASF).

Bałamutne są śpiewki o ochronie przed szkodnikami. Martwy ptak i masa śrutu wpuszczona do naturalnego środowiska to sama korzyść dla obywateli. W równie groźnych barwach odmalowuje się innych mieszkańców lasu, dlatego wykujmy wreszcie na pamięć abecadło: zające, borsuki i tchórze nie powodują żadnych szkód gospodarczych. Tak samo jak dzikie króliki, kuny leśne czy szakale złociste, niezwykle rzadkie. 200–300 pozostałych przy życiu osobników i tak wpisano na „listę zwierząt łownych". Plan odstrzałów na sezon 2019/20 sporządzał chyba pijany, bo zalecił zabicie... 1270 szakali.

Co do lisów, to te przepiękne, inteligentne zwierzęta żywią się głównie gryzoniami. A myszy i szczury nie dość, że zjadają ogromne ilości zbóż rocznie, to jeszcze przenoszą zarazki, powodujące groźne choroby u zwierząt i ludzi. Do lisów nie należy strzelać, tylko zabezpieczyć przed nimi kurniki. To naprawdę takie trudne? Lisy są naturalnym, wielkim sprzymierzeńcem rolników. Ale „myśliwi" w sezonie 2023/24 zastrzelili 189,2 tys. lisów...

W Polsce odbywa się ok. 4,5 mln polowań rocznie w 5250 obwodach łowieckich na obszarze prawie całego kraju. Wokół parków Kampinoskiego, Białowieskiego, Ujścia Warty i Roztoczańskiego w otulinach utworzono strefy ochronne zwierząt łownych, ale w pozostałych 19 parkach narodowych takich stref nie ma. Ich otuliny, dopóki minister nie ustanowi, są traktowane jak obwód łowiecki. To poważne (a czasem śmiertelne) zagrożenie dla turystów. Bo jak się cieszyć spacerem, grzybobraniem, wycieczką pieszą, rowerową czy na biegówkach, gdy wokół słychać wystrzały, hałasuje nagonka, a samochody transportują skrwawione ciała zwierząt?

W kantonie Genewy w Szwajcarii, na Kostaryce, w Botswanie, Kolumbii, Kenii i Indiach odmówiono racji bytu hobbystycznemu myślistwu. Rozkwitła tam turystyka przyrodnicza. W Stanach Zjednoczonych generuje 32 mld dol. obrotu rocznie, popularnością cieszy się zwłaszcza *birdwatching*. W Polsce mamy do tego znakomite warunki. Trzeba tylko przestać faworyzować hobby 0,34 proc. społeczeństwa, gdy absolutna większość nie zgadza się na mordowanie zwierząt. Zamiast zabijania potrzebna jest lepsza bioasekuracja, monitoring i działania oparte na wiedzy naukowej.

Turystyka przyrodnicza przyniosłaby zyski obywatelom, a nie tylko garstce. Polska ma niezwykłe miejsca, gdzie można zobaczyć dziką przyrodę. Lasy, mokradła, rzeki i pola przyciągałyby ludzi z całego świata, tęskniących za kontaktem z naturą. Warto pomyśleć o innej tradycji niż ta krwawa. Las, w którym słychać ptaki, jest znacznie bogatszy w sensie symbolicznym i ekonomicznym niż ten, w którym zapadła cisza po wystrzale.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 0ca0981d75

NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY

SIERPNIOWE WYDANIE
DOSTĘPNE TAKŻE
z MODNĄ BRANSOLETKĄ
SUMMER BLUSH
BY•DZIUBEKA

ZWIERCIADLO.PL

Delikatna jak letni poranek – bransoletka Summer Blush zachwyca subtelnym połączeniem pudrowego różu, mlecznych kamieni naturalnych i złotych akcentów. Lekka, minimalistyczna i pełna wakacyjnego uroku, pięknie podkreśla opaleniznę i dodaje stylizacji dziewczęcej świeżości. Idealna na lato – od plaży po wieczorne kolacje pod gołym niebem.

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

MagazynZwierciadlo zwierciadlo_miesiecznik sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl 0ca0981d75

FELIETON

Sulej

Siłaczka

Siła wcale nie polega na podnoszeniu najcięższego – mówi mi trener. Tak, najbardziej kozetkowe rozmowy odbywam ostatnio na siłowni. Przez lata taka przestrzeń kojarzyła mi się z niezbyt lotnymi protoplastami looksmaxingu, zakochanymi w sobie poprzednikami idola manosfery zwanego Clavicularem, który opukuje sobie szczękę młotkiem, żeby mieć bardziej ostro zarysowany profil. Ot, mężczyźni na maszynach do robienia mięśni, które mają służyć jednocześnie za maszyny do produkowania męskości. Kobiet w mojej wyobraźni w siłowni raczej nie było, a jeśli już, to pojawiały się tam jako modelki z reklam odzieży sportowej. Od razu piękne, zgrabne i niepocące się – rodzaj dekoracji motywującej mężczyzn do wysiłku, a same od niechcenia i z gracją ćwiczące brzuszki.

Rytuały siłowni wydawały mi się żywcem wyjęte z jakiejś dystopii, jak z „American Psycho" Bretta Eastona Ellisa, w której to powieści psychopatyczny morderca z równą pieczołowitością buduje garderobę i mięśnie, jak i kolekcję ofiar swojego sadyzmu. Ta satyra z lat 80. na liberalną wiarę w konsumpcjonizm zdecydowanie wyprzedzała swoje czasy, świetnie wychwytując, że ciało ma być funkcjonalne i atrakcyjne niczym samochód czy AGD. To, co zaś robisz na siłowni, to jak przegląd u mechanika. Twoje ciało robi mięśnie. A czy tym ciałem będziesz potem komuś pomagać, kochać, pracować, chodzić po górach czy żeglować, jest drugorzędne. Tutaj jest chomik i kołowrotek.

> Nie zapewnię sobie życia bez chorób.
> Ale mogę czuć się silna, żeby zaufać sobie w momentach, które uznam za ważne.

Bywałam w siłowniach osiedlowych. Bywałam w hotelowych. Bywałam w takich, o których mówi się, że są elitarne. W każdej czułam się (zakreśl dowolne): zbyt biedna, zbyt brzydka, źle ubrana, zbyt gruba, zbyt niewysportowana, napastowana wzrokiem. Przez lata nawet nie pomyślałam, żeby wrócić do miejsca, które wydawało mi się przestrzenią z logiki chowu klatkowego, namiastką ruchu w naturze, karykaturą życzliwej relacji z własnym ciałem.

Pewnego dnia jednak, powiedzmy, że takiego, który amerykańska reporterka i eseistka Joan Didion nazywała „dniem bankrutem", kiedy brakuje nam zasilenia do życia, zdałam sobie sprawę, że nie jestem w stanie poczuć swojego ciała. Nie chciałam wracać do żadnej aktywności fizycznej, do której byłam dotychczas przyzwyczajona, bo jako bankrut nie czułam się ani odrobinę zdolna do czegokolwiek, co sprawiało mi wcześniej przyjemność. Siłownia nigdy jej nie sprawiała. – *No weź, idź spróbuj, co ci szkodzi* – słyszałam od znajomych. – *To dobre dla kobiet w średnim wieku, niezbyt drogie, możesz sobie wybrać godziny*.

Poszłam, żeby już przestali gadać, żeby udowodnić, co było do udowodnienia. Tym razem jednak było inaczej. Tak jak w zbieraniu myśli pomaga terapeuta, tak w zbieraniu ciała z podłogi pomógł mi trener. Dzięki niemu odkryłam w prostocie siłowych aktywności coś, co sprawia ulgę mojemu systemowi nerwowemu. Prosty wysiłek wykonywany prawidłowo wyzwolił w moim ciele rodzaj euforii. Nie było w tym żadnej myśli – ani o tym, że to modne czy niemodne, ani kulturowe, ani jak wyglądam, jak kto na mnie patrzy, ani czy wytrwam, była tylko powtarzalność i przyjemne poczucie uziemienia.

Ćwiczenie za ćwiczeniem, zaczynałam rozumieć, że nie chodzi o „duchową równowagę" czy wyzwolenie z patriarchalnego wychowania. Nie dam rady skontrolować tego, czy jestem atrakcyjna i zdrowa. Choćbym stawała na rzęsach, w kulturze, w jakiej żyjemy, zawsze będzie we mnie nastolatka, która wciągała brzuch, i kobieta, która czuje się nieco niepewna. Choćbym przestrzegała wszystkich zaleceń medycznych i tak nie zapewnię sobie życia bez chorób. Ale mogę czuć się silna, żeby zaufać sobie w momentach, które uznam za ważne. Uczę się, że moc w ciele bierze się z harmonijnego rozwoju, cierpliwości, nie zaś z nadmiarowego budowania efektownych „bicek". Z trenerem tropimy siłę w moim ciele. Czemu była ukryta, jak się wyzwala i dlaczego w tych, a nie innych miejscach?

Siłownia nadal jest dla mnie przestrzenią bardziej jak supermarket niż gabinet terapii. Te wszystkie reklamy suplementów, te batoniki i proszki, proteiny, keratyna, energetyki. Chyba jest jeszcze bardziej sprzedażowo, niż było kilka lat temu. A jednak wciąż tam wracam. Inaczej zaczęłam patrzeć na ludzi, którzy ćwiczą obok. Na pewno mają różnorakie motywacje, ale przestałam zakładać, że wiem jakie. Może niektórzy, tak jak ja, też ze zdziwieniem odkryli swoje sposoby na kontakt z własnym ciałem i jest im z tym dobrze?

Chciałabym wierzyć, że jeśli będzie trzeba, moje ciało weźmie na siebie plecaki z kotami, komputer i będzie miało siłę uciekać. Chciałabym wierzyć, że będzie miało siłę zawalczyć. Ale nie potrzebuję do tego stanu wyjątkowego. Chciałabym mu bardziej ufać na co dzień. Żebym wiedziała, że mogę zrobić wiele, ale nie robić, odpocząć. Nie chcę być siłaczką. – *Siła jest wtedy, kiedy podnosisz tyle, ile w danym momencie możesz unieść* – mówi trener. A ja obniżam sobie ciężarek o jeden.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 0ca0981d75

Prezydent wziął zamach

Zgadzam się, że otrucie Karola Nawrockiego (o którym ten opowiada w książce prof. Andrzeja Nowaka) to skandal, który trzeba wyjaśnić. Specjaliści muszą ustalić, czy do otrucia doszło tylko w książce, czy również poza nią, a także czy Nawrocki był już otruty w czasie kampanii prezydenckiej (a jeśli tak, to dlaczego przez ponad rok nie zawiadomił policji, tylko udawał nieotrutego), czy też przytruł się czymś dopiero tuż przed opisaniem prof. Nowakowi okoliczności swojego otrucia.

Najważniejsze, że otrucie się nie powiodło, a Nawrocki jest obecnie w tak dobrej formie jak Donald Trump i w widowiskowy sposób pokonuje prezydenta Zełenskiego, tak jak Trump od tygodni pokonuje Iran. Zwycięstwo Nawrockiego jest nawet większe, bo dokonuje się bez użycia wojska i ciężkiego sprzętu, wyłącznie za pomocą groźnych min, w robieniu których nasz prezydent jest wyraźnie skuteczniejszy. Trump swoimi minami od tygodni nie potrafi odblokować cieśniny Ormuz, tymczasem gdy Nawrocki z groźną miną zapowiedział, że zabierze Zełenskiemu order, ten zaraz go odesłał, a po nim inni ukraińscy politycy, dzięki czemu Nawrocki wyszedł z konfliktu z kilkunastoma orderami, a Trump na razie wychodzi na zwykłego „przegrywa".

Trump od tygodni ogłasza, że zada Iranowi cios, „jakiego świat jeszcze nie widział", ale go nie zadaje, a Nawrocki tylko raz zapowiedział, że zabierze Zełenskiemu order i zaraz potem zabrał (czego świat chyba także jeszcze nie widział). Uważam, że niestety potwierdza to opinię lekarzy, że Trump słabnie, a jego funkcje poznawcze maleją. Z kolei funkcje poznawcze Nawrockiego mimo chwilowego otrucia rosną; Nawrocki coraz lepiej wie i coraz wyraźniej widzi, jakim zagrożeniem dla Polski jest Zełenski, Ukraina, a także rząd Tuska, Niemcy i Bruksela.

Nie wiem tylko, czy Nawrocki z atakami na Zełenskiego i walczącą z Rosją Ukrainę trochę się nie spóźnił. Mateusz Morawiecki właśnie ogłosił, że wobec Zełenskiego i krwawiącej Ukrainy był twardy i bezkompromisowy już w 2022 r., gdy jako premier – przewidując, jak groźna może być nowocześnie uzbrojona Ukraina – w ramach prowadzonej przez siebie „polityki transakcyjnej" wysyłał jej 50-letni złom w postaci poradzieckich czołgów, bo uznał, że transakcja złom za krew bardzo się Polsce opłaci.

Dziś wiemy, że tym sprytnym manewrem nie zdołał Ukraińców osłabić i zniechęcić do walki. Teraz niektórzy mieli nadzieję, że może osłabi ich propozycja przekazania przez Polskę myśliwców MiG – zdaniem byłego szefa MSZ Jacka Czaputowicza „rzęchów nadających się do muzeum". Jednak przebiegli i nieokazujący wdzięczności Ukraińcy ociągają się z ich przyjęciem.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY
polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl 0ca0981d75

100 róż na 100-lecie Mariana Turskiego w Śródmieściu Warszawy

Warszawa Śródmieście

Nadanie imienia róży „Marian Turski". Od lewej: **Jerzy Baczyński, Monika Gołębiewska-Kozakiewicz, Aleksander Ferens i Joanna Turska, córka Mariana Turskiego.**

Upamiętnienie Mariana Turskiego oraz jego działalności na rzecz zachowania pamięci o historii polskich Żydów specjalną odmianą róży noszącej jego imię i stworzeniem dwóch rabat przy Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN nie byłoby możliwe bez wsparcia dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy oraz bez zaangażowania Zarządu Zieleni m.st. Warszawy, który z wielką pieczołowitością przygotował teren pod rabaty i zasadził 100 róż.

Rabaty różane w Śródmieściu Warszawy mają upamiętniać człowieka, który – jak mówił przy okazji ich odsłonięcia Aleksander Ferens, burmistrz dzielnicy Śródmieście – „przez lata budował mosty między historią a współczesnością i przypominał, że o pamięć trzeba dbać każdego dnia". Jak dodawał burmistrz, rabata jest „żywym symbolem pamięci. Pokazuje, że dbanie o dziedzictwo może mieć także codzienny wymiar – bliski mieszkankom i mieszkańcom Śródmieścia". Z kolei Monika Gołębiewska-Kozakiewicz, dyrektor Zarządu Zieleni m.st. Warszawy, podkreślała, że wraz z rabatami pamięć o Marianie Turskim zyskuje nowy, ale też trwały wymiar w postaci co roku odradzających się na wiosnę róż.

Róże „Marian Turski" będzie można kupić i zasadzić we własnym ogrodzie już od jesieni (obecnie są w produkcji) w szkółce Roza Sobieszek (roza-sobieszek.pl); część wpływów ze sprzedaży róż zasili Fundusz Nieobojętnych im. Mariana Turskiego. Zapraszamy również do bezpośredniego wsparcia Funduszu – poprzez stronę: **funduszniebojetnych.pl/wesprzyj-nas**.

Dzielnica Śródmieście dodatkowo zaangażowała się – wraz z Niemieckim Instytutem Historycznym – w cykl debat zorganizowanych w Domu Kultury Śródmieście (Dom w Alejach) poświęconych czasom, w których dorastał i żył Marian Turski. W debatach wzięli udział polscy i niemieccy historycy oraz dziennikarze i autorzy tygodnika POLITYKA. Dziękujemy za pomoc i wsparcie!

REDAKCJA

Patrz w górę

Emocje w nauce nie mają zbyt dobrej prasy. Traktowane są jako element wpływający negatywnie na obiektywizm i profesjonalizm badacza. W powszechnym przekonaniu są także przeciwieństwem racjonalności. Niesłusznie – mówią psychologowie, neuronaukowcy, filozofowie. Choćby dlatego, że pomagają skierować uwagę na to, co naprawdę ważne. Własną, ale też tych, do których kieruje się swój przekaz. A to przecież jedno z zadań uczonych.

Emocje w filmie dokumentalnym także bywają krytykowane. Nieco jednak mniej, bo panuje raczej powszechna zgoda, że ta forma przekazu ma zainspirować widzów do refleksji, a może i do jakiegoś – np. proekologicznego – działania.

Naukowiec i filmowiec mogą posługiwać się podobnym językiem, w którym emocje pełnią niezwykle istotną funkcję. Do tego m.in. wniosku doszliśmy podczas dyskusji z dokumentalistką Ewą Ewart, fizykiem atmosfery prof. Szymonem Malinowskim i medioznawczynią Jagodą Mytych podczas krakowskiego spotkania pulsara „Patrz w górę. Zmiany klimatu na ekranie". Nasi goście nie ukrywali, że w pracy towarzyszą im smutek i radość, gniew i zachwyt, strach i spokój. I że wszystkim tym chcą się ze swoimi odbiorcami dzielić. W przeciwnym razie to, co robią, straciłoby sens.

Kolejne spotkania w cyklu „Podróż po wiedzę" zaplanowaliśmy na wrzesień w Warszawie, na październik w Lublinie, na listopad w Szczecinie i na grudzień w Katowicach. Szczegóły po wakacjach na: projektpulsar.pl.

Sponsorem cyklu jest Enea.

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ALEKSANDRA OSMOLAK

eprasa.pl 0ca0981d75

Lord Kaucjusz

Zbieranie butelek stało się modne – przynajmniej wśród młodszego pokolenia. Bo to starsze i bardziej prawicowe uważa to za kolejną „ideologię" i represję.

Obowiązujący od października ubiegłego roku system kaucyjny działa doskonale. Paradoksalnie, zwłaszcza wtedy, gdy coś w nim nie działa. Jeszcze nie wszystkie sklepy zostały wyposażone w butelkomaty, w wielu problem odbierania butelek kaucyjnych przerzucono na pracowników, pojawiają się nadużycia związane z wydawaniem kuponów (mają np. krótką datę ważności), a sam system jest uciążliwy dla tzw. zwykłego człowieka. Ta uciążliwość jest jego główną funkcją: ma zniechęcać do nadmiernego używania plastikowych butelek. Niektórzy dopiero po pielgrzymce z wielkimi worami do butelkomatu uświadomili sobie, ile kupują butelkowanej wody czy napojów, i że istnieją wygodniejsze alternatywy, jak saturatory czy systemy filtrujące wodę z kranu.

System kaucyjny, jak większość tematów związanych z ochroną środowiska, stał się elementem wojny ideologicznej. Z jakiegoś powodu dla prawicy każde działanie na rzecz dobra ogółu okazuje się upokarzające. „Nie oddałem ani jednej butelki, ponieważ nie pozwolę z siebie zrobić śmieciarza" – oznajmił publicysta Łukasz Warzecha. Jakie czasy, takie reduty. Cóż, system zbierania plastików do odpowiednich pojemników po prostu się nie sprawdzał; kaucja może być narzędziem kontroli i edukacji. Być może to też kwestia pokoleniowa – akcje zbierania surowców wtórnych starszym kojarzą się z gospodarką niedoboru. PRL była „ekologiczna" z przymusu, upokarzający był także system zachęt: w czasie kryzysu to makulatura stanowiła przepustkę do odrobiny luksusu, którym był papier toaletowy. Ale przecież były i pozytywy – punkty skupu papieru czy szkła dawały okazję do zarobienia paru groszy młodym ludziom (co zostało uwiecznione np. w komiksach o Tytusie).

Michał R. Wiśniewski – pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz współczesnych obyczajach. Autor książek „Jetlag", „Wszyscy jesteśmy cyborgami", „Zabójcze aplikacje" i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci".

Transformacja ustrojowa i nagły napływ wszelakich dóbr z konsumpcji uczyniły cnotę. Dobre nawyki ekologicznego traktowania surowców zaczęły kojarzyć się z ubóstwem, czego symbolem stała się figura złomiarza ciągnącego wózek z metalowymi odpadami. To pozwala zrozumieć niechęć klasy średniej do biegania z workami butelek – czują się zdeklasowani. Zwłaszcza że często w kolejce do butelkomatu stoją razem z osobami w kryzysie bezdomności, dla których system kaucyjny okazał się doskonałym sposobem na zarobek.

Tymczasem nowe pokolenie podchodzi do sprawy zupełnie inaczej. Zbieranie butelek stało się wręcz modne. Jak wszystko, co robi młodzież, rzecz jest traktowana półżartem, półserio. Osoba zbierająca butelki (np. na festiwalu muzycznym) otrzymuje miano „kaucjusza" (wybitny zbieracz to „lord Kaucjusz"). Zbieranie butelek może być pomysłem na randkę (zakończoną hot dogiem w Żabce); okazuje się też, że wbrew powszechnym narracjom młodzi znają wartość pieniądza i są gotowi schylić się po 50 groszy – nawet jeśli robią to z ironicznym okrzykiem: „Kaucyjna!".

O ile młodzież licealna czy studenci mają raczej dostęp do pieniędzy (i możliwości ich zarabiania), to system kaucyjny otworzył zupełnie nowe możliwości dla dzieci. Odchodzenie od gotówki sprawia, że zniknęła instytucja „reszty" – zatrzymania sobie małej kwoty po zrobieniu zakupów dla rodziców, która po kilku wyprawach do sklepu mogła ufundować porządne lody. Dziś finanse dziecka są często pod ścisłą kontrolą opiekuna podającego przez telefon kod do Blika. Zbieranie porzuconych butelek kaucyjnych pozwala na odrobinę wolności finansowej i nabycie słodyczy poza czujnym okiem starszych. Oddawanie butelek stało się więc sposobem na zarobek łatwiejszym niż otwieranie stoiska z lemoniadą.

Doświadczenia krajów, w których system działa od dekad, pokazują, że zbieranie porzuconych butelek jest czymś naturalnym. Wypracowano nawet zwyczaje: komu nie chce się odnieść puszki czy butelki do automatu, zostawia je obok śmietnika, żeby kaucjusz nie musiał ich wygrzebywać. Tak jest choćby w Niemczech. Szwecja poszła dalej – przy kubłach na śmieci można znaleźć specjalny pojemnik do odkładania opakowań kaucyjnych. „Grosz do grosza i będzie kokosza", jak mówi przysłowie. ■

© GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 0ca0981d75

TECHNO

Halo, tu Commodore

Kultowy status starych komputerów to wręcz oczywistość. Wystarczy przejść się w koszulce z logo Atari i z pewnością spotka się kogoś, kto z ekscytacją opowie o grach z własnego dzieciństwa. Swoją miłością chętnie dzielą się też fani konkurencyjnego Commodore (jego historię opisaliśmy w POLITYCE 38/22). A nostalgia, jak wiadomo, stanowi dobrą okazję biznesową – charakterystyczny znaczek Atari można więc dziś zobaczyć na gadżetach takich jak słuchawki, przenośne emulatory konsoli czy repliki komputerów. W ubiegłym roku, po 30 latach od bankructwa Commodore, grupa miłośników pod przewodnictwem Christiana Simpsona założyła firmę, która nabyła własność intelektualną i znaki towarowe. Pierwszym produktem był sprzętowy klon klasycznego Commodore 64, sprzedawany pod nazwą „Ultimate" (ceny zaczynają się od ok. 1,3 tys. zł). Firma obiecywała klientom nie tylko sentymentalny powrót do czasów dzieciństwa, ale także narzędzie do pracy jak za dawnych lat, bez nieustającego rozkojarzenia i przebodźcowania.

Podobna narracja marketingowa towarzyszy premierze nowego produktu: telefonu **Commodore Callback 8020**. Z daleka wygląda jak klasyczny składany aparat z lat zerowych XXI w., tylko że z logo Commodore. To już nie powrót do przeszłości, ale wyprawa do świata, którego nie było. „Mniej skrolowania, więcej duszy", brzmi hasło reklamowe. I: „Smartfony są zbyt sprytne". Dołączony niezależny europejski system operacyjny Sailfish OS pozwala uruchamiać aplikacje z Androida, ale bez sieci społecznościowych (jedynie komunikatory) i przeglądania internetu. Ma także aparat na podzespołach Sony i radio, wysokiej jakości dźwięk oraz – tu ukłon w stronę miłośników retro – elektroniczne dzwonki w charakterystycznym stylu układu SID. Firma podkreśla też funkcje prywatności, takie jak tryb „poza siecią". I, co też ważne, aparat ma wymienną baterię.

Podejście Commodore przypomina filozofię twórców gier niezależnych, którzy nie mogąc ścigać się na budżety z wielkimi studiami, stawiają na pomysł, styl i „czynnik fajności". Callback 8020 wygląda na idealny sprzęt dla cyfrowych hipsterów i zbuntowanych nastolatków.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Opary wakacji

Początek wakacji to czas, do którego dojeżdżamy (albo dolatujemy) na oparach. Frazeologizm wziął się od benzyny lub ropy. I od sytuacji drogowych lub lotniczych. „Lecieliśmy na oparach, a na stołecznym lotnisku spędziliśmy znów trzy godziny" – można było przeczytać w „Gazecie Krakowskiej". Nie dalej niż w kwietniu sami w POLITYCE pisaliśmy w sytuacji kryzysu w Zatoce Perskiej o „liniach lotniczych na oparach" – tu metafora dotyczyła całych przedsiębiorstw, a nie pojedynczych lotów. Kryzysy przeżywają różne firmy komunikacyjne: „Deutsche Bahn leci na oparach bardzo odległej świetności" – czytamy na platformie X.

Ale ludziom, choć napędzani są innego typu paliwem, też się to zdarza. **Schafter** rapował w utworze „Pejzaż" o krawędzi wyczerpania psychicznego: „Bo czuję, że te twoje loty to są na oparach". „Lecieć na oparach" to również dość powszechne określenie funkcjonowania na skraju przemęczenia, kiedy wyparowują nam resztki sił.

MÓWIĄ RYMY
Rzadko w tłumie, ale lubię taki tłok,
Znowu włóczę się po mapie for the plot
Hubert., Zielona noc, 2026 r.
for the plot – dla fabuły (POLITYKA 50/23), bez określonego celu

Ostatnio opary – rozumiane też przecież jako wonie (opary perfum albo „w oparach lepszych fajek" u Kazika) – przeniosły się do branży beauty. Według kieleckiego Obserwatorium Języka i Kultury Młodzieży „frazeologizm ten przeżywa obecnie renesans w mediach społecznościowych w kontekstach związanych ze sferą beauty". Jako jedno ze źródeł wskazują tiktokowy profil Makemeup.sb. Stąd określenia w rodzaju „mój tusz jedzie na oparach, ale nadal daje radę". „Przed zbliżającym się urlopem mam wrażenie, że jadę dosłownie na oparach... W branży beauty pracujemy na wysokich obrotach, często własnym kosztem" – czytamy z kolei na Instagramie.

O tej porze roku zjawisko dotyczy każdej branży, ale trud tej konkretnej w tworzeniu magicznych remediów na wszystko odnotowali już Julian Tuwim i Antoni Słonimski w swoim purenonsensowym zbiorze „W oparach absurdu", gdzie opisali krem Palimol usuwający... inne kremy: „Po posmarowaniu twarzy jakimkolwiek kremem kosmetycznym, weźcie na watę odrobinę kremu Palimol i mocno natrzyjcie twarz. Z poprzednich kremów nie zostanie nawet śladu. Zaczerwienienia na skórze mijają natychmiast! Należy tylko po natarciu twarzy poczekać parę minut i obmyć Palimol wodą, a wszystko mija".

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 0ca0981d75

Zmiany klimatu rysują na nowo mapę winiarstwa. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Wino też woli chłodniej

WINO

Uff, jak gorąco! Historyczne rekordy upału zostały pobite nie tylko w Polsce (z ponad 40 stopniami w Słubicach), ale również w Niemczech czy na Węgrzech. Szybką karierę robi termin „noce tropikalne". Tropik nam na razie jednak nie grozi, bo klimat w Polsce jest coraz bardziej suchy, pada u nas cztery–pięć razy mniej niż w krajach położonych na zwrotniku. Dla winiarstwa to akurat dobrze, bo w klimacie tropikalnym wina się generalnie nie robi. Wyjątkiem jest wyspa Madera, gdzie winnice sąsiadują z plantacjami bananów. Co prawda pisałem już o anegdotycznych projektach winiarskich w takich miejscach jak Tajwan i Bali, gdzie klimat pozwala zbierać winogrona trzy razy do roku, ale trzeba powiedzieć sobie otwarcie: nie sprzyja to jakości.

Tę można osiągnąć, poddając winorośl kontrolowanemu stresowi. Wody nie za dużo, aby roślina zapuszczała korzenie jak najgłębiej i z podglebia czerpała wilgoć i mikroelementy. Temperatury powinny zaś oscylować na cienkiej granicy umożliwiającej dojrzewanie gron danej odmiany jak najpóźniej w ciągu sezonu. W lecie, w okresach suchych i gorących, roślina reaguje na stres, wytwarzając polifenole, które są najbardziej pożądanym elementem zwłaszcza win czerwonych. To tzw. klimat marginalny, który historycznie cechował takie miejsca jak Bordeaux, Burgundia, Szampania, Mozela czy Barolo, gdzie powstają najbardziej prestiżowe wina świata.

Wojciech Bońkowski
– dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Winorośl preferuje więc klimat umiarkowany i chłodny (tak modne dziś *cool climate*), nie wilgotny albo gorący – im więcej wody, tym roślina bardziej plenna, a wysoki plon generalnie oznacza rozwodnione cienkusze. Tam, gdzie naprawdę ciepło, np. w Emiratach, północnych Indiach czy w Egipcie, wina się nie robi. Tymczasem to w kierunku Sahary, a nie tropików, zmierza klimat w wielu regionach winiarskich. Pustynnienie nieużytków, brak opadów, ekstremalne nasłonecznienie, rosnące temperatury – to problemy, z którymi borykają się winiarze na południu Europy oraz w wielu regionach Nowego Świata, takich jak centralne doliny Kalifornii i Chile, argentyńska Mendoza, australijska Riverina.

Konieczne jest nawadnianie winnic – niesprzyjające jakości, więc generalnie niedozwolone w UE. Winobranie przeprowadza się coraz wcześniej, w porze gorącej, przez co trudniej kontrolować fermentację (dlatego w wielu miejscach grona zbiera się nocą), a i tak kwasowość w winach jest tak niska, że trzeba je dokwaszać. Globalne ocieplenie najbardziej daje się we znaki kosmicznymi poziomami alkoholu – 16,5 proc. to już norma dla zinfandela z Kalifornii i niektórych shirazów – czemu zaradza się genetycznie modyfikowanymi szczepami drożdży albo po prostu... dolewaniem wody (tego również nie wolno w UE, ale w USA jest to powszechne). Wedle prognoz za 20 lat produkcja wina w takich miejscach jak południowa Portugalia czy Sycylia będzie niemożliwe, a na trendzie zyskają m.in. **Kanada**, Dania i Polska.

Paradoksem jest więc, że Sycylia czy Alentejo robią dziś najlepsze wina w swojej historii – i to również białe (w ciepłym klimacie trudniej robić je dobrze niż te czerwone). Winiarskie Południe nie jest zatem skazane na porażkę. Co prawda niektóre miejsca, jak Santorini, mierzą się z dramatycznym niedoborem wody, ale gdzie indziej, np. na Etnie, średnia opadów w ostatnich latach wręcz wzrosła. W klimacie śródziemnomorskim, historycznie przecież dla wina najkorzystniejszym, producenci zwykle mogą zrównoważyć zmiany klimatu, wybierając winnice bliżej morza (które ten klimat łagodzi) albo położone wyżej. Na takiej Sycylii, ale też w Grecji, południowej Hiszpanii i Cyprze nie brakuje siedlisk na 500–700 m n.p.m., co tworzy zupełnie inne warunki dla rozwoju winorośli niż pustynniejące niziny. Zmienia się też metody uprawy i szczepy.

Fale upałów coraz bardziej dają nam się we znaki, ale winiarze – na razie – wciąż znajdują na to odpowiedź. ■

Casa Santos Lima Alentejo Monte da Caçada Alicante Bouschet 2022, 39 zł (wine-express.pl)
De Bortoli Riverina Willowglen Shiraz, 39,90 zł (darwina.pl)
Cline Lodi Old Vine Zinfandel 2023, 105 zł (wina.pl)
Carmel Private Collection Cabernet Sauvignon 2019, 119 zł (dobrewino.pl)
Gulfi Sicilia Nero d'Avola Nerojbleo 2021, 135 zł (vinoteka13.pl)

© MATERIAŁY PRASOWE (2), SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW

eprasa.pl 0ca0981d75

W wakacyjnym cyklu „Pocztówka POLITYKI" opisujemy ulubione kraje polskich turystów – ale od naszej, czyli właśnie politycznej, strony. Kto i jak rządzi, co to za system, czym martwią się obywatele, co im leży na sercu. Nasi najlepsi autorzy co tydzień opowiadają o kolejnym kraju.

Oman: Szwajcaria Bliskiego Wschodu

Nie Dubaj, nie Doha, ale Muskat, główne miasto Omanu, jest dzisiaj najspokojniejszą stolicą w regionie.

Pod względem ustrojowym nie różni się od pozostałych państw Zatoki Perskiej. Oman jest monarchią absolutną, na czele której od 2020 r. stoi sułtan Hajsam bin Tarik Al Said. Zanim przejął panowanie nad krajem, był ministrem kultury w rządzie swojego kuzyna Kabusa ibn Sa'ida. To szczegół wart zapamiętania, dlatego że omańskie państwo inwestuje spore pieniądze właśnie w instytucje kultury. Tak jak większość krajów bliskowschodnich, Oman rozwija się bardzo dynamicznie, stawia na nowe technologie, a tamtejsze budownictwo jest raczej nowoczesne – ze starych dzielnic, pamiętających jeszcze czasy tutejszego kolonializmu i małego imperium, rozciągającego się aż do Zanzibaru i innych części Afryki Wschodniej oraz Beludżystanu w dzisiejszym Pakistanie, niewiele już w Muskacie zostało. Ale nie znaczy to, że dziedzictwo i bogata historia tego kraju zostały utracone – przeciwnie, sułtanat próbuje je ocalić w nowoczesnych, choć często nieoczywistych instytucjach, jak chociażby **Opera Narodowa** (1). Ten budynek warto odwiedzić dla samych walorów architektonicznych i precyzyjnego wykończenia wnętrz. Wcześniej jednak warto zapoznać się z lokalną polityką. Choć nominalnie nie jest to kraj neutralny w rozumieniu prawa międzynarodowego – tak jak jest nim chociażby Austria – to właśnie taką ma opinię. Przez całe dziesięciolecia władzom w Muskacie udawało się skutecznie manewrować pomiędzy amerykańskimi interesami w regionie, morskim sąsiedztwem z Islamską Republiką Iranu – która znajduje się po drugiej stronie znanej dzisiaj doskonale cieśniny Ormuz – oraz innymi potęgami regionalnymi. A nawet zbudować pozycję ważnego dyplomatycznego pośrednika w strukturach zarówno bilateralnych, jak i wielostronnych. Oman jest członkiem Rady Współpracy Państw Zatoki (Gulf Cooperation Council – GCC), sześciopaństwowego ciała koordynującego interesy regionu, zwłaszcza w polityce zagranicznej. Ponadto, co w bieżącym układzie geopolitycznym nawet ważniejsze, przez lata był jednym z dwóch – obok Szwajcarii – państw pośredniczących w dialogu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Iranem. Nawet w czasach krótkiego zbliżenia pomiędzy tymi krajami, kiedy pod koniec drugiej kadencji Baracka Obamy John Kerry negocjował tzw. Joint Comprehensive Plan of Action, porozumienie przywracające Iran do światowej gospodarki w zamian za wstrzymanie programu nuklearnego, rozmowy odbywały się w Szwajcarii, ale w ich przygotowaniu pośredniczył właśnie Oman.

Mateusz Mazzini
– socjolog, reporter, latynoamerykanista. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie" i „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów". Współpracuje z POLITYKĄ, „Gazetą Wyborczą" i „Przeglądem"; publikował też m.in. na łamach „Washington Post", „Foreign Policy" czy „El País".

Podstawę tutejszego systemu prawnego stanowi prawo szariatu, a więc regulacje oparte na wierze muzułmańskiej. Zwłaszcza kwestie dotyczące życia prywatnego, małżeństwa, rodziny, roli kobiety w społeczeństwie czy dziedziczenia majątku są szczegółowo definiowane przez ramy prawne wywodzące się bezpośrednio z islamu. Nie oznacza to jednak, że kobiety są w Omanie niewidoczne. Jak wynika z danych Freedom House, po okresie marginalizacji i ograniczania praw

eprasa.pl 0ca0981d75

1

2

w tamtejszej gospodarce nastąpił stopniowy zwrot i kobiety stanowią dzisiaj prawie jedną piątą siły roboczej. To znacznie więcej niż np. w Arabii Saudyjskiej czy w Iranie, choć do wyniku regionalnego lidera, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie stanowią one jedną trzecią wszystkich aktywnych zawodowo mieszkańców, wciąż Omanowi daleko. Kobiety zobowiązane są ubierać się skromnie, wyzywające stroje są źle widziane – choć, co ważne, regulacje prawne nie zakazują obcokrajowcom takich ubiorów. Z powodów obyczajowych najważniejsze jest zakrywanie ramion i kostek, noszenie raczej luźnych, nieobcisłych ubrań, ale kobiety innego wyznania nie muszą zakrywać włosów w miejscach publicznych. Hotele i ośrodki turystyczne są z tych zasad wyłączone, traktowane jako niemal całkowicie eksterytorialne. Znów – nie chodzi tu o to, co w prawie, ale co komu przeszkadza. Łatwo się domyślić, że im droższy hotel, tym luźniejsze podejście do ubioru. W większości przypadków nawet noszenie bardzo skąpych strojów kąpielowych nie jest dla nikogo problemem. W czym swój udział ma pewnie i to, że zdecydowana większość pracowników niższego i średniego szczebla w hotelach to imigranci, często z Indii, Filipin, Tajlandii, czyli krajów niemuzułmańskich.

Na tle innych krajów Zatoki Oman jest krajem dość liberalnym, co jednak ma swoje granice. Omańczycy niespecjalnie przejmują się zachowaniem turystów, tak długo jak ci szanują ich święte miejsca i normy życia codziennego. Warto zresztą spędzić trochę czasu na poznawaniu tutejszej kultury, także tej sakralnej. Najlepszym do tego miejscem jest stołeczny **Wielki Meczet Sułtana Kabusa** (2), który, jeśli wziąć pod uwagę cały kompleks z przylegającymi budynkami, ma oszałamiającą wręcz powierzchnię 416 tys. m kw. Jego budowę rozpoczęto w 1995 r., skończono sześć lat później. Łącznie może pomieścić nawet 20 tys. jednocześnie modlących się wiernych, w tym 6,5 tys. w części głównej. Jego zwiedzanie jest bezpłatne, aczkolwiek warto przyjechać tu z przewodnikiem, najlepiej w ramach generalnego zwiedzania Muskatu. Obok meczetu znajduje się np. centrum kultury muzułmańskiej, prowadzone przez kobiety. Każdy, kto chce – zwłaszcza Europejczycy – może wejść na wykład poświęcony genezie islamu i prawdziwemu obrazowi tej religii. Słowo „prawda" należy tu jednak wziąć w cudzysłów, bo po pierwsze trudno w takich tematach o naukowy obiektywizm, po drugie zaś usłyszeć tu można m.in. o najbardziej zaawansowanych zachodnich odkryciach medycznych, włącznie z tymi pochodzącymi z XX w., jako o wywodzących się z objawień, których doznali islamscy prorocy.

Muskat jest najbardziej historyczną i bogatą w tradycję metropolią ze wszystkich stolic krajów Zatoki Perskiej, ale przemierzać go na własną rękę jest niezwykle trudno, nawet w czasie europejskiej zimy. Wysoka wilgotność, upały, a przede wszystkim brak publicznej, pieszej przestrzeni sprawiają, że najlepiej poruszać się tu samochodem. W przeciwieństwie jednak do Abu Dhabi, Dubaju, a nawet Dohy czy Rijadu, w Muskacie naprawdę trudno o korki. Miasto wypełnia się w godzinach porannych, wyludnia po zachodzie słońca, a pracownicy spędzają większość czasu w klimatyzowanych biurach. Poza stolicą na turystów czekają nieziemskie – dosłownie – widoki, bo tutejsze formacje skalne i pustynne przypominają krajobrazy z planety Tatooine z uniwersum „Gwiezdnych Wojen".

Większość ośrodków turystycznych położonych jest w aglomeracji stołecznej. Wyglądają bardziej jak zamknięte osiedla grodzone, jednak nie ze względu na potrzeby bezpieczeństwa – w Omanie trudno wyobrazić sobie zagrożenie publiczne – ale na samowystarczalność. Nie będzie specjalnym nadużyciem stwierdzenie, że to właśnie w luksusowych hotelach w Omanie przetrwała tradycja obozowisk rozbijanych w oazach.

Na terenie Omanu nie ma – w przeciwieństwie do innych państw regionu – amerykańskich stałych baz wojskowych. Jednak ta prawie pełna neutralność kraju została na moment naruszona na skutek konfliktu USA z Iranem, gdy irańskie drony i rakiety uderzyły w dwa porty tutejszej marynarki wojennej, czasami użyczane właśnie statkom amerykańskim. Nie oznacza to jednak, że kraj stał się bardziej niebezpieczny albo że wakacje tam trzeba odwoływać. Polacy nie wydają się być zresztą konfliktem zrażeni, od kilku lat liczba naszych rodaków odwiedzających sułtanat dochodzi nawet do 10 tys. osób miesięcznie. Mnożą się zarówno oferty biur turystycznych, jak i agencji nieruchomości, bo Oman staje się coraz bardziej popularnym kierunkiem inwestycyjnym w czasach zagrożenia wojną na kontynencie europejskim. Nawet jeżeli na Bliskim Wschodzie to widmo jest znacznie bardziej widoczne – wręcz permanentne – nikomu nie zdaje się to przeszkadzać. ■

© SHUTTERSTOCK (2), GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 0ca0981d75

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Czas na wielką reformę

Ta afera jest jak hydra: ciągle docierają nowe informacje o nieprawidłowościach i nadużyciach w warszawskim Szpitalu Południowym. **W „Polskim demo" wspólnie z dr Marią Liburą (Collegium Medicum Olsztyn, Polska Sieć Ekonomii) zastanawiamy się, jak postawić na nogi system, który dziś stoi na głowie.** Jakąś podpowiedzią dla polityków jest specjalny dekalog przykazań dla ochrony zdrowia. Omawiamy punkt po punkcie.

Cytologia znika?

Tysiące kobiet umarło w minionych latach na nowotwór, któremu można całkowicie zapobiec. Program profilaktyczny raka szyjki macicy ma sprawić, że takich tragedii będzie jak najmniej. A jednak budzi emocje. **Polki obawiają się, że rząd coś im odbiera (zniknie cytologia?), a badania wykonywane rzadziej nie zapewnią im bezpieczeństwa. Paweł Walewski na polityka.pl wyjaśnia, dlaczego ta reforma jest dobra i potrzebna.**

Kto wygra Tour de France?

W Hiszpanii ruszył właśnie Tour de France. W podkaście „Rowery, nie bajki" obstawiamy zwycięzcę. Czy to znów będzie Tadej Pogačar? W naszym studiu goszczą Tomasz Marczyński, były profesjonalny kolarz i twarz marki Raso, oraz Michał Kempa z Kultury Kolarskiej. „Wielka kasa, wielkie przygotowania, ale na szczęście ciągle wielkie emocje", zachęca gospodarz podkastu Juliusz Ćwieluch.

Klimat prawem

Czego powinno się domagać od państwa młode pokolenie? Czy uznając prawo człowieka do życia w znośnym klimacie, nie będzie się ograniczać innych praw? O tym m.in. rozmawiamy w podkaście „Pulsar nadaje" z dr. Robertem Rybskim (Uniwersytet Warszawski, opiekun Koła Naukowego Prawa Ochrony Środowiska). Rozmowa ukazała się w ramach cyklu „Podróż po wiedzę", którego sponsorem jest Enea.

Taylor wyszła za mąż

„Wesele, o którym nic nie wiadomo, ślub utrzymany w tajemnicy. Dziennikarze zgadują, internet się rozgrzewa" – pisze na polityka.pl Michał R. Wiśniewski. Mowa o Taylor Swift, która sformalizowała swój związek z gwiazdą amerykańskiego futbolu Travisem Kelcem. Skąd ta wielka tajemniczość i dlaczego celebrycki ślub tak elektryzuje w czasach, gdy dzieją się rzeczy jednak ważniejsze, wyjaśniamy na naszym portalu.

© LESZEK ZYCH, SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ (2), EAST NEWS

GALERIA POLITYKI

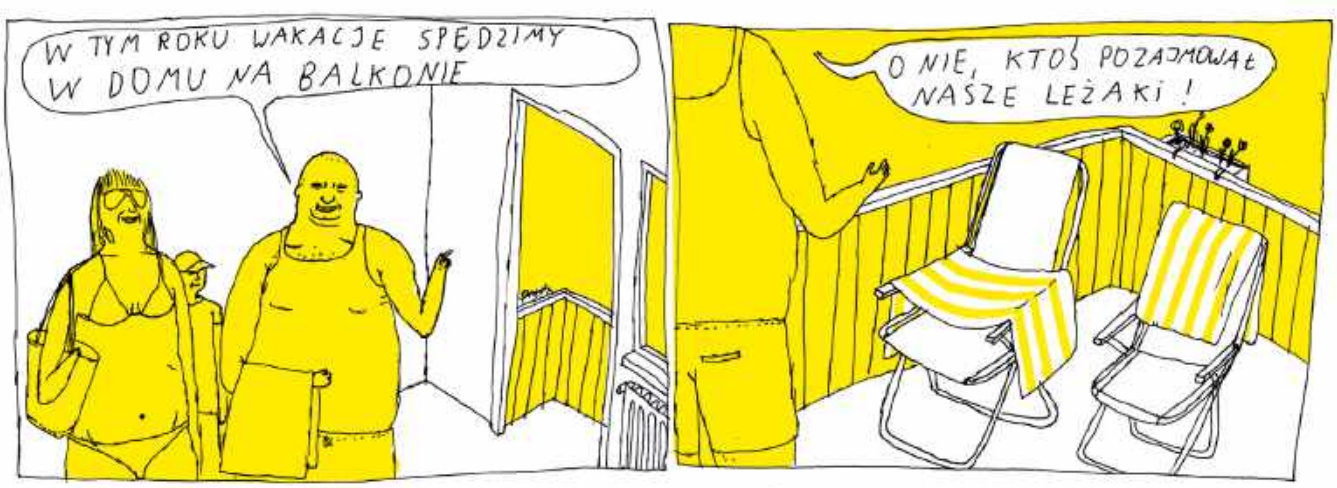

JAN KOZA

eprasa.pl 0ca0981d75

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 0ca0981d75

Albatros travel

Albatros 40 lat

Sorrento i czar Południowych Włoch

NOWOŚĆ

Zamieszkaj w Sorrento i poznaj skarby Neapolu, antyczne Pompeje, malownicze Wybrzeże Amalfi oraz inne atrakcje regionu Kampanii z polskim pilotem wycieczek.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Rzym. Półwysep Sorrentyński i Sorrento. **Dz. 2** Starożytne Pompeje, wizyta w winnicy i wulkan Wezuwiusz. **Dz. 3** Zwiedzanie Sorrento i okolic oraz wizyta w gospodarstwie z degustacją lokalnych przysmaków. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi – rejs do Amalfi i Positano oraz kolacja z pizzą. **Dz. 5** Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 6** Dzień wolny w Sorrento. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 8** Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 19/10 2026 | od 6.998,-

Klasyczna Toskania i Cinque Terre

NOWOŚĆ

Historyczne miasta, góry z marmuru w Carrara i malownicze wybrzeża Ligurii od Portofino aż do Pizy.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Florencji (lub Pizy) i przejazd do Montecatini Terme. **Dz. 2** Lukka i Piza – historyczne perły Toskanii. **Dz. 3** Florencja – kolebka renesansu. **Dz. 4** Dzień wolny lub wycieczka fakultatywna do San Gimignano z wizytą w winnicy. **Dz. 5** Montecatini Terme – marmury Carrara – lardo w górskim miasteczku Colonnata – Cavi. **Dz. 6** Rapallo, Portofino i San Fruttuoso – Rejs wzdłuż liguryjskiego wybrzeża. **Dz. 7** Cinque Terre – podróż pociągiem przez pięć wyjątkowych miasteczek. **Dz. 8** Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 08/09, 13/10 2026

od 6.298,-

Opera w Weronie

Dwa wieczory z klasyką muzyki operowej spędzone w amfiteatrze w Weronie, połączone z wycieczkami do Brescii, Borghetto.

Program wycieczki: Dz. 1 Krótki pobyt w Brescii oraz czas wolny. Nocleg w okolicach Werony. **Dz. 2** Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna). Werona – zwiedzanie i czas wolny. Wieczór z operą. **Dz. 3** Renesansowa Mantua, średniowieczne miasto Borghetto oraz opera. **Dz. 4** Krótka wizyta w Brescii. Powrót z Mediolanu do Warszawy.

***Nabucco i La Traviata* 27/08 2026**
***Aida i Turandot* 09/09 2026**

4 dni | Wyloty z Warszawy | od 4.698,-

Włoskie Wybrzeże Adriatyku

„Najpiękniejsze miasto Włoch", średniowieczne zamki, bizantyjskie kościoły, skarby UNESCO i zachwycające krajobrazy wzdłuż włoskiego wybrzeża Adriatyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bolonia i przejazd do hotelu w Cesenatico. **Dz. 2** Przekroczenie Rubikonu, Riviera del Conero z miasteczkiem Sirolo, podziemne korytarze w Osimo i wizyta w winnicy. **Dz. 3** Ravenna i wspaniałe mozaiki wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Wycieczka fakultatywna do renesansowego miasta Urbino (dodatkowo płatna). **Dz. 5** Republika San Marino i piękne miasteczko San Leo. **Dz. 6** Dzień wolny do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Wizyta na targu w Rimini i nadmorskie miasteczko Cattolica. **Dz. 8** Przelot z Bolonii do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 24/09 2026 | od 5.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL25**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 0ca0981d75